tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 23 (1378)
1-7.06.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

NAWROCKI – OD AWANTURY DO AWANTURY

MUNDIAL – GLOBALNY SHOW W AMERYCE

POCHWAŁA LENISTWA



PRYMAS POLSKI LUDOWEJ

45 lat po śmierci kardynała Stefana Wyszyńskiego

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 23
9 771509 311607

prasa.pl cc4

Niezwykła książka PRZEGLĄDU

Prof. Andrzej Karpiński bije na alarm

Co się dzieje na Ziemiach Odzyskanych po roku 1989?

- **Odpływ ludności**
- **Likwidacja zakładów**
- **Inwestycje głównie niemieckie**



Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską

68 zł

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Jan Józef Lipski

„Patriotyzm jest z miłości i do miłości ma prowadzić". Czy wyobrażacie sobie któregoś z dzisiejszych polityków, jak wychodzi do Polaków z takim przesłaniem? Ja niestety nie widzę nikogo formatu Jana Józefa Lipskiego, autora tych słów.

Tym cenniejsza jest mądra inicjatywa Senatu i Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, które 25 maja, w 100-lecie jego urodzin, zorganizowały poświęconą mu konferencję. Byłem tam. Warto było zobaczyć w jednym miejscu tylu mądrych ludzi. Byli kombatanci o lewicowych korzeniach, ale też sporo młodzieży. Dla nich życie Lipskiego może być inspiracją i punktem odniesienia. Jakże dziś potrzebnym. Społeczeństwo, od lat zasypywane łgarstwami Instytutu Pamięci Narodowej, którego szczególnie topornym reprezentantem jest były prezes, a dziś prezydent RP, potrzebuje prawdy o tak wybitnych postaciach lewicy jak Jan Józef Lipski. Jego historia jest przemilczana, bo IPN niczego złego nie może znaleźć w jego teczkach. A budowanie pomnika temu wybitnemu człowiekowi lewicy i wręcz modelowemu polskiemu inteligentowi jest sprzeczne z ich polityką. Trzeba o tym wiedzieć, ale nie warto lamentować. Wystarczy, że kolejne rządy dodają do budżetu IPN coraz więcej milionów złotych. Na kłamstwa, propagandę prawicową i apologię bandytów, którzy zamordowali po wojnie tysiące ludzi.

Dobrze, że Senat RP nie zapomniał o kimś, kto potrafił łączyć ludzi o bardzo różnych poglądach. Kto miał umiejętność budowania pomostów między różnymi środowiskami i pokoleniami. Lipski przez całe życie budował społeczną solidarność. Po to, by ponad wszelkimi podziałami i różnicami rozwiązywać problemy.

Za tydzień opublikujemy poświęcony tej konferencji artykuł Michała Syski „Demokrata, socjalista, patriota". Tak też sobie wyobrażam wypełnianie misji przez współczesną lewicę. Biorąc na sztandary te trzy słowa, ma ona bardzo wiarygodnego patrona, który całym swoim życiem dowiódł głębokiego sensu tych zasad.

Lem o PRZEGLĄDZIE

Regularnie czytam Wasz tygodnik i cenię go. „Przegląd" jest pismem odważnym, wiarygodnym i pisze w nim wielu znakomitych autorów. (grudzień 2001)



BĄKOWSKI



eprasa.pl cc4bb0ecd4

W NUMERZE

KRAJ

8 Nowe czasy, nowe traktaty
Polska w międzynarodowej grze

11 Nawrocki. Od awantury do awantury
Walki z rządem ciąg dalszy

13 Olek Miszalski padł
Gra o tron Krakowa

15 Referendum, którego nie było
Klęska przeciwników prezydenta Bytomia

18 Sukcesja bez podatku
Majątki ukryte w fundacjach rodzinnych

HISTORIA

22 Prymas Polski Ludowej
Wyszyński nigdy nie negował PRL

38 Berło dla Giedroycia
Wizyta w Maisons-Laffitte

42 Krótka pamięć apologetów NSZ
Zbrodnia w Wierzchowinach

ZAGRANICA

28 Czy demokraci odrobią republikańską lekcję?
Korespondencja z USA

32 Ben-Gwir nie jest twarzą Izraela
Netanjahu nie temperuje ministra

34 22 piłkarzy, a wokół pustka
Mundial – show, a nie sport

OBSERWACJE

46 Plac zabaw czy plac zakazów
Dzieci marzą o krzakach i błocie

50 Człowieku, leń się!
Kapitalizm wciąż nas pogania

KULTURA

54 Mono w językach obcych
Krakowskie święto teatru jednego aktora

56 Mirosław Baka z Nagrodą Boya

57 Qulturalia

58 VIII Ogólnopolski Konkurs na Rysunek Prasowy im. Aleksandra Wołosa

66 Obrazy ludzkiej natury
Malarstwo Dominika Jasińskiego

ZWIERZĘTA

60 Hierarchia zapisana na czole
Życie społeczne pukeko

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Jan Józef Lipski

21 Jan Widacki
Ściganie wykroczeń

27 Andrzej Szahaj
Kapitalizm kanciarzy i frajerów

37 Roman Kurkiewicz
Z mądrością i godnością o głupocie

45 Tomasz Jastrun
Czyste zło

53 Wojciech Kuczok
Dni dziecka



32
ZAGRANICA

BEN-GWIR NIE JEST TWARZĄ IZRAELA
Netanjahu nie temperuje ministra



46
OBSERWACJE

PLAC ZABAW CZY PLAC ZAKAZÓW
Dzieci marzą o krzakach i błocie



66
GALERIA

OBRAZY LUDZKIEJ NATURY
Malarstwo Dominika Jasińskiego



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Niewidzialne dziecko

Odnoszę wrażenie, że autor artykułu próbuje przerzucać na szkołę i inne instytucje państwowe odpowiedzialność za znęcanie się rodziców nad dziećmi. Brakuje spostrzeżenia, że interwencja nauczyciela, opiekuna społecznego itp. niesie ryzyko oskarżenia o zniesławienie. Głośny był przypadek dyrektora LO w Tarnowie, który po zgłoszeniu przemocy wobec uczennicy został przez rodzica oskarżony o kłamstwo, w efekcie zawieszony w czynnościach i postawiony przed komisją dyscyplinarną. Takie sytuacje, nagłaśniane w mediach, działają paraliżująco na osoby, które podejrzewają przemoc. W opisanej sprawie Kamilka trudno doszukać się winy instytucji. Autor ubolewa, że nikt nie został ukarany, a równocześnie opisuje, jak rodzice maltretowanego dziecka zmieniali miejsce zamieszkania, manipulowali nauczycielami. Wychowawca – jak wynika z opisu – interesował się losem dziecka, dopytywał, wysyłał do lekarza. Co jeszcze powinien zrobić? Być może opieka społeczna mogła zrobić coś więcej. Być może. *Włodzimierz Mytnik*



•

Mało kto ma świadomość, że lex Kamilek zamówił u obecnej rzeczniczki praw dziecka ścigany Romanowski (ten!) z osławionego Funduszu Sprawiedliwości rok przed śmiercią Kamilka. Po tej śmierci Solpol, czyli ziobryści in corpore, wniósł ten projekt do Sejmu, a obecna rzeczniczka właśnie na nim wypromowała się na tę funkcję. Szkoda, że autor o tym nie napisał.

Małgorzata Żuber-Zielicz

Konstytucja nowa, ale czy w ogóle?

Roman Kurkiewicz pisze w felietonie m.in.: „Więcej władzy dla prezydenta to więcej władzy dla skrajnej prawicy. Sama Polska jest tu całkowicie na marginesie". Zgoda, bo w Polsce ustrojem władzy jest bardziej totalitaryzm partyjny niż demokracja. Jednym z filarów demokracji jest trójpodział władz. Prezydent Nawrocki, mówiąc o dwuwładzy wykonawczej, ma rację, ale on chce, aby ta racja (i władza) była jego. Jestem za tym, aby w Polsce była jedna władza wykonawcza: prezydent lub premier. Ale ta władza powinna być niezależna od władzy ustawodawczej, a zależna od narodu. Nie byłoby normalniej? *Józef Brzozowski*



Rady od parady

Coraz więcej ludzi za cudze podatki – to źle wróży na przyszłość.

Waldemar Witkowski



•

Polaków we wszechświecie jest stanowczo zbyt mało, żeby obsadzić wszelkie niezbędne rady, obojętnie – prezydenckie czy rządowe.

Wojciech Helman

•

Prezydent Nawrocki będzie chciał być siłą na prawicy, ale pewnie mu się to nie uda. Ignorowanie prezydenta to nowa tradycja. Duda skutecznie się ośmieszył i sam ukręcił na siebie bat. *Wojtek Sańko*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski



Słynną „Japonkę" Józefa Pankiewicza można już zobaczyć w Warszawie. Powstały trzy jej wersje. Jedna znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie, druga uznawana jest za zaginioną, trzecia pozostawała w prywatnych zbiorach, teraz trafi na aukcję w DESA Unicum, wyceniana na 12-20 mln zł.

eprasa.pl cc4bb0ecd4

W Polsce żyje już ponad **10 tys. osób, które ukończyły 100 lat.**

•

Mimo protestów prezesa PiS i Sławomira Cenckiewicza prezydent Nawrocki powołał na I prezesa Sądu Najwyższego Zbigniewa Kapińskiego. Środowiska demokratyczne nie wiążą z nim większych nadziei.

•

Policja namierzyła podejrzanych o nękanie fałszywymi alarmami Jarosława Kaczyńskiego, matki prezydenta Nawrockiego i TV Republika.

•

Rząd Ukrainy zdecydował o uroczystym pochówku jednego z liderów OUN, współtwórcy SS Galizien, Andrija Melnyka. Szczątki Melnyka i jego żony Sofii spoczywały w Luksemburgu. Chowanie z honorami zbrodniarza mającego na sumieniu wielu zamordowanych Polaków jest policzkiem dla ofiar.

•

Na ok. 62,4 tys. twórców i artystów w Polsce tylko 11% jest zatrudnionych na podstawie umowy o pracę, 37% pracuje na umowie o dzieło, 18% prowadzi działalność gospodarczą, a 14% ma umowy-zlecenia.

•

Paweł Pawlikowski otrzymał w Cannes nagrodę za najlepszą reżyserię ex aequo z duetem reżyserskim Calvo i Ambrossi. Uhonorowano go za film „Ojczyzna" opowiadający historię wybitnego pisarza Tomasza Manna.

•

Nagrody Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek otrzymali: **Stefan Chwin** w kategorii Twórca, **Wydawnictwo Czarne** w kategorii Wydawca, **Księgarnia Artystyczna Firmin w Gdańsku** w kategorii Księgarnia i **Piotr Dobrołęcki** w kategorii Popularyzator Czytelnictwa.

•

Namalowany przez PiS czarną farbą obraz dotacji z Krajowego Planu Odbudowy po kontrolach okazał się fałszywy. Na 3206 projektów, które otrzymały dotację, rozwiązano 28 umów.

•

Serwis Zero.pl Krzysztofa Stanowskiego w lutym miał 864 270 użytkowników, a w marcu już tylko 532 980 **(„Press")**.

•

393 tys. uczniów klas ósmych z 12 953 szkół ma przed sobą decyzję, co dalej.

•

Ponad 90% szkół wprowadziło w statutach zasady korzystania z telefonów. W ponad połowie jest całkowity zakaz ich używania w czasie lekcji lub na terenie szkoły.

•

Ewa Pajor w finale Ligi Mistrzyń zdobyła w meczu FC Barcelona z Olympique Lyon (4:0) dwie bramki i przyczyniła się do wygrania Ligi.

•

Gdzie reklamuje się NBP kierowany przez Adama Glapińskiego? 67% budżetu telewizyjnego w 2026 r. trafiło do TV Republika. Reszta do kanału wPolsce24, Polsat News, tygodnika „Sieci" i rozgłośni sieci ESKA (panel adMonit IMM).

•

Polskie lotniska obsłużyły w 2025 r. 66,1 mln pasażerów.

•

PKO BP, który miał ok. 178 tys. kredytów frankowych, wykorzystał w latach 2019-2025 ok. 11,6 mld zł z rezerw na ryzyko prawne. W tym czasie zawarto 60,8 tys. ugód, ok. 15,5 tys. spraw rozstrzygnęły sądy.

•

W 2025 r. najwięcej rolniczek było w Rumunii (1,04 mln), we Włoszech (411,6 tys.) i w Polsce (403,3 tys.; Eurostat).

PRZEBŁYSKI

Cynicy czy wspólnicy?

Jaki numer musi jeszcze wywinąć Radosław Piesiewicz, skompromitowany prezes PKOl, by go wreszcie świat sportu pogonił? Piesiewicz tak się przywiązał do prezesury, że będzie bronił swoich ogromnych apanaży, póki go nie wyniosą z fotelem na ulicę. Kto w PKOl stoi za tym koszmarnym wynalazkiem PiS? Cezary Kulesza, prezes PZPN, Marek Leśniewski, prezes Polskiego Związku Kolarskiego, szefowie kajakarzy, badmintona i hokeja na trawie. I Andrzej Supron, członek zarządu PKOl. Legenda świata zapasów, trzykrotny olimpijczyk i multimedalista bardzo aktywnie broni Piesiewicza. Aż trudno uwierzyć, że tu też może chodzić o profity z Zondacrypto. A o co chodzi Grzegorzowi Bachańskiemu, prezesowi Polskiego Związku Koszykówki? Zbyt bliskie kontakty i interesy z Piesiewiczem?



Od początku było wiadomo, że taki typ jak Piesiewicz nigdy nie powinien trafić do PKOl. Jego miejsce jest tam, skąd trudno wyjść bez przepustki. Prokuratura będzie miała przy nim dużo roboty.

Biskup bez doktoratu



Tylko godziny dzieliły bp. Rakoczego od decyzji Senatu Uniwersytetu Bielsko-Bialskiego pozbawiającej go tytułu doktora honoris causa, który dostał w 2009 r. Bp Rakoczy miał jednak refleks. Wyprzedził Senat i zrzekł się tytułu. Nie miał zresztą wyboru. Zarzuty były bardzo poważne. Rakoczy tolerował pedofilię ks. Jana Wodniaka, byłego proboszcza z Międzybrodzia Bialskiego. Mimo dwukrotnych informacji ze strony ofiary pedofila biskup nie zrobił nic. Za tę bierność został ukarany przez Watykan. A ksiądz pedofil? Dostał symboliczne kary kanoniczne i żyje sobie w klasztorze w Bieniszewie.

Glinoludka niewinna



Prawie dwa lata Sąd Rejonowy w Bolesławcu zajmował się zwidami prezydenta tego miasta. Poszło o Święto Ceramiki w 2024 r. A precyzyjniej o jego fragment, czyli przemarsz glinoludków. A jeszcze dokładniej o to, że wśród glinoludków mających ciała pokryte gliną była Monika „Pacyfka" Tichy, która nie miała na sobie górnej garderoby. Niesiono hasło „Wszyscy jesteśmy z tej samej gliny" na tęczowym tle. Prezydent Bolesławca poczuł się urażony. Z pewnością nie jest to gość z rozwiniętym refleksem, bo w poprzednich latach glinoludki topless jakoś mu nie przeszkadzały.

Sędzia Aleksandra Dołharz umorzyła sprawę: „To była sztuka, nie wykroczenie".

FOT. FACEBOOK (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Rekrutacja do szkół średnich jest sprawiedliwa czy krzywdząca?

DR KAROL DUDEK-RÓŻYCKI,
nauczyciel chemii, przewodniczący Polskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych

Rekrutacja jest zdecydowanie krzywdząca. Szkoły często dla świętego spokoju podwyższają oceny w ósmej klasie, a te „wychodzone" przez rodziców stopnie odbierają dzieciom równe szanse. Z kolei egzamin ósmoklasisty jest nieróżnicujący – najzdolniejsi nie mogą się wykazać wiedzą. Na dodatek to jedyny egzamin w życiu, którego nie da się poprawić. Kolejny problem to kupczenie punktami za wolontariat, co uczy młodzież interesowności. Cały system jest wypaczony: rekrutujemy do klas biologiczno-chemicznych na podstawie wyników z polskiego czy angielskiego, co nic nie mówi o predyspozycjach ucznia. Należy zlikwidować oceny w podstawówkach i rekrutować wyłącznie na podstawie rzetelnego egzaminu z różnych przedmiotów, a w liceach wprowadzić najpierw klasy ogólne.

BARTŁOMIEJ ROSIAK,
polonista z Łodzi, wykładowca AHE, lider zespołu polonistycznego Więcej niż Matura

Obecny model rekrutacji próbuje sprawić, by egzamin nie decydował o wszystkim, ale wciąż generuje niesprawiedliwości. Bazowanie na stopniach ze świadectwa to błąd – przez zjawisko „inflacji ocen" rzadko odzwierciedlają one realną wiedzę, bo nauczyciele bywają po prostu zbyt szczodrzy. Wyścig napędzają też rankingi szkół średnich, którymi ślepo kierują się rodzice. Tymczasem kluczem powinna być edukacyjna wartość dodana (EWD). Ten wskaźnik pokazuje prawdę: renomowane licea często jedynie utrzymują poziom już zdolnych uczniów, podczas gdy mniej medialne szkoły wykonują tytaniczną pracę, wyciągając słabszych w górę. Nowe rozwiązania powinny premiować aktywność społeczną czy sukcesy w konkursach, a nie oceny z poszczególnych przedmiotów.

AGNIESZKA BORKOWSKA,
dyrektorka II LO im. św. Królowej Jadwigi w Siedlcach (Królówki)

Moim zdaniem rekrutacja jest sprawiedliwa, ponieważ jest ujednolicona – w każdej szkole obowiązują takie same zasady, co daje poczucie transparentności i jasności. Pod uwagę brane są rzetelne i miarodajne wyniki egzaminów zewnętrznych, oceny na zakończenie klasy ósmej, a także wolontariat czy osiągnięcia opisane w oficjalnym wykazie olimpiad przedmiotowych. Wszystko to ściśle reguluje rozporządzenie. Oczywiście w oddziałach sportowych, dwujęzycznych czy szkołach artystycznych obowiązują dodatkowe kryteria – takie jak sprawdziany sprawnościowe, językowe czy predyspozycji kierunkowych. Jednak w przypadku liceów o profilu ogólnym obecne zasady są w pełni uzasadnione.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Nowe czasy, nowe traktaty

Czy Polska wskoczy do światowej ekstraklasy?

Robert Walenciak

Ta umowa to znak czasu. W środę, 27 maja, Donald Tusk podpisał z Keirem Starmerem Traktat o Partnerstwie w Dziedzinie Bezpieczeństwa i Obronności. Traktat obejmuje 14 projektów obronnych. Zapowiada, że Polska i Wielka Brytania będą „wspólnie zwiększać swoje zdolności w zakresie uzbrojenia typu powietrze-powietrze, naziemnych systemów obrony powietrznej oraz zdolności lądowych". Mają także działać na rzecz wzmocnienia wschodniej flanki NATO.

Na stronie Kancelarii Premiera możemy przeczytać: „Celem Polski i Wielkiej Brytanii jest skuteczne odstraszanie potencjalnego agresora – Rosji.

– Nie ma dla nas większego wyzwania niż rosyjska agresja. Widzimy to nie tylko w samej Ukrainie, ale też poza jej granicami. Podpisany traktat jest naprawdę pokoleniowym wzmocnieniem relacji w zakresie bezpieczeństwa i obronności pomiędzy naszymi krajami – ocenił szef brytyjskiego rządu Keir Starmer".

Rok temu, 9 maja, podobny traktat – o wzmocnionej współpracy i przyjaźni – Polska podpisała z Francją. Przewiduje on wzajemne gwarancje bezpieczeństwa i zawiera klauzulę wsparcia militarnego na wypadek ataku na którekolwiek z państw.

– Od dziś Francja i Polska będą mogły naprawdę liczyć na siebie w każdej sytuacji. Dajemy sobie wzajemne gwarancje bezpieczeństwa i możecie być państwo pewni, że intencją prezydenta Francji i moją jest śmiertelnie poważnie traktować ten zapis – mówił Donald Tusk podczas wspólnej konferencji prasowej z Emmanuelem Macronem. Nancy, w którym podpisano polsko-francuską umowę, nie jest miejscem przypadkowym. To dawna siedziba króla Polski i księcia Lotaryngii Stanisława Leszczyńskiego.

Traktat polsko-brytyjski również podpisywany był w historycznym miejscu – w bazie lotniczej Northolt na północnych przedmieściach Londynu, w której w czasie bitwy o Anglię stacjonowały polskie dywizjony myśliwskie, w tym Dywizjon 303.

Dodajmy jeszcze jedno – te dwie umowy wkrótce ma uzupełnić trzecia, z Niemcami, planowana na 17 czerwca. I teraz pytanie: w jakim mieście będzie podpisana?

•

Odłóżmy jednak to pytanie na bok. Ważniejsze jest, że wewnątrz Europy tworzy się system zacieśnionej współpracy – militarnej, przemysłów zbrojeniowych. Zanim Wielka Brytania podpisała umowę w Northolt, podobne zawarła z Francją, Niemcami i Norwegią. Ten system tworzy się z przymusu. Jest odpowiedzią na nową sytuację międzynarodową. Na działania prezydenta Putina, który siłą militarną próbuje odbudować dawną pozycję imperium, i na działania prezydenta Trumpa, który parokrotnie zdążył ogłosić, że Ameryka NATO nie potrzebuje, a jeśli chodzi o Europę, to on umywa ręce.

Państwa europejskie nie mają wyjścia – same muszą zbudować swoją obronę.

Dorzućmy do tego wypowiedzi ludzi z administracji Trumpa, że Europa jest dla Ameryki przeciwnikiem. No i plany NATO 3.0, z których wynika, że wojska amerykańskie radykalnie ograniczą obecność na naszym kontynencie czy wręcz z niego się wycofają. Jest to zapisane w amerykańskiej doktrynie. Państwa europejskie nie mają więc wyjścia – same muszą zbudować swoją obronę. I w tym kontekście powinniśmy patrzeć na ich działania.

•

Polską prawicę to przeraża. Ona wciąż sądzi, że bezpieczeństwo może nam zapewnić polityka czepiania się płaszcza USA. Im bardziej będziemy wobec Donalda Trumpa ulegli i przymilni, tym on będzie dla nas łaskawszy. Jest to jakiś pomysł, aczkolwiek ma podstawową wadę – nie uwzględnia sytuacji, że ktoś (w tym przypadku Rosja) zaproponuje Trumpowi lepszy deal.

Padają też zarzuty, że dogadywanie się państw europejskich osłabia NATO. Osłabia gwarancje słynnego art. 5. Kłopot w tym, że głównym osłabiającym wartość tego artykułu jest sam Donald Trump.

Poza tym posłuchajmy europejskich liderów – zastrzegają oni, że te dwustronne umowy nie uderzają w NATO ani w stosunki z Ameryką, przeciwnie, wzmacniają je. Czy deklaracje te są szczerze, czy zgodne z zasadą, że nie należy drażnić niedźwiedzia – tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że sporo lat musi minąć, by Europa zbudowała własny skuteczny system obronny. Brakuje jej wiele, więc i o zerwaniu z Ameryką nie ma mowy.

A argument, że można to wycofanie przyśpieszyć, bo przecież Rosja nie może być mocna, skoro nie daje sobie rady z Ukrainą? Może nie daje sobie rady dlatego, że Ukraina ma dziś potężną armię? Liczy ona ponad 500 tys. żołnierzy. Polska armia to 50 tys. Ukraińcy walczą piąty rok, Polacy nie powąchali prochu… Istotnie więc, armia rosyjska w zderzeniu

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Friedrich Merz, Donald Tusk, Keir Starmer i Emmanuel Macron na spotkaniu w Rzeszowie, w drodze do Kijowa, 9 maja 2025 r.

z armią ukraińską nie daje rady, ale czy tak by było w konfrontacji z armiami państw europejskich?

Patrząc z drugiej strony, trudno sądzić, by USA zdecydowały się na wycofanie wojsk z Europy. Bo dużo więcej by na tym straciły, niż zyskały. Bazy w Niemczech, we Włoszech i w Hiszpanii znakomicie służą armii amerykańskiej, także do działań w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Te bazy i obecność wojsk w Europie tworzą rzeczywistość geopolityczną. Pozwalają też amerykańskim firmom działać na rynku europejskim na uprzywilejowanych warunkach. Spory o opodatkowanie big techów są tego namacalnym przykładem.

Państwa europejskie muszą na tę sytuację się godzić. Miliardy, które Europa płaci za amerykańską broń, uprzywilejowane warunki działania amerykańskich firm – to ukryta forma opłaty za bezpieczeństwo. A jak wiemy z historii, gdy jedna strona jest przez drugą chroniona, nie obowiązuje zasada: kto płaci, ten wymaga. Tu obowiązuje zasada: kto ma siłę, ten dominuje i to on wymaga.

•

Można więc przyjąć, że Stany Zjednoczone, owszem, mówią, że mają ochotę wycofać wojska z Europy, ale tylko mówią. To sposób na wywieranie presji. Bo USA chciałyby zachować w Europie obecne wpływy, tylko mniejszym kosztem. A liderzy Europy, owszem, woleliby kontynent bez obcych wojsk, ale wiedzą, że w perspektywie 5-10 lat jest to niemożliwe, groziłoby katastrofą. Niemniej kierunek działania został wyznaczony.

•

Co na to Polska? Jeżeli posłuchamy polskiej debaty na temat działań państw europejskich, umów o obronie, przede wszystkim widać w niej wiele historycznych reminiscencji. We wrześniu 1939 r. też mieliśmy sojusze z Francją i z Wielką Brytanią i na niewiele się zdały.

Co na to odpowiedzieć? Że Ameryka również nas wystawiła do wiatru, że w Jałcie prezydent Roosevelt sprzedał nas Stalinowi? Ale to także byłaby nietrafna odpowiedź. Europa dziś jest zupełnie inna niż w roku 1939 czy 1945 – i sytuacja jest inna. Wtedy wojna w Europie była wojną o panowanie nad światem czy raczej nad wschodnią półkulą. Dziś Europa gra o życie. O to, żeby nie być daniem, które skonsumują wspólnie Ameryka z Rosją. Karty ma różne. Nie ma surowców energetycznych, ma coraz mniej konkurencyjną gospodarkę. I wciąż wielkie zaległości, jeśli chodzi o siły obronne. Kilka kart ma mocnych – Unia Europejska jest konstrukcją, która czyni państwa europejskie silnymi wobec Ameryki i Rosji. Ma swój wielki rynek wewnętrzny, bogate społeczeństwa i wykształconych obywateli.

Pozostaje więc pytanie, jak tę sytuację, mając karty silne i słabe, rozegra.

•

A jak rozegra ją Warszawa? To rzecz bez precedensu – Polska może powalczyć o najwyższą stawkę. O miejsce w europejskim dyrektoriacie. I, idąc dalej, o miejsce Europy w gronie światowych supermocarstw.

Od czasu uzyskania niepodległości Polska miała dwa krótkie epizody, gdy uczestniczyła w międzynarodowej grze. Po raz pierwszy w 1920 r., gdy zatrzymała pochód rewolucji bolszewickiej. Wpłynęło to na losy Europy. Po raz drugi zaś w 1989 r., gdy gen. Jaruzelski był aktywnym aktorem ówczesnych przemian, odcinania Europy Środkowej

FOT. KANCELARIA PREMIERA RP/FACEBOOK

eprasa.pl cc4bb0ecd4

od ZSRR. Ale to były momenty krótkie. Teraz natomiast pojawia się możliwość odegrania roli ważnej i na długo.

Gdy Donald Tusk podpisywał z Keirem Starmerem traktat w Northolt, brytyjska prasa opisywała Polskę jako kraj, który przeszedł w ostatnich latach wielką metamorfozę. Dziś nie jest już jedynie wschodnim skrzydłem NATO, ale staje się jednym z filarów bezpieczeństwa całej Europy.

Czy to nie jest ocena na wyrost? Pewnie tak, ale wiele argumentów przemawia za tym, że tym filarem się stajemy. Polska jest zaproszona do grupy G20. Jest krajem o najszybszym wzroście gospodarczym w UE. Wicepremier i minister finansów Andrzej Domański prognozuje, że za 10 lat polska gospodarka będzie trzecią siłą w Europie. Do tego dochodzą nakłady na zbrojenia, które mają uplasować naszą armię w gronie najsilniejszych w Europie. Efektem tej zmiany są nie tylko umowy z Francją, Wielką Brytanią i wkrótce z Niemcami, ale i ambicje Polski, by dołączyć do grupy E3.

Tworzą ją Francja, Niemcy i Wielka Brytania. Format istnieje od czasów wojny z Irakiem i mimo brexitu zacieśnia się. Paryż, Londyn i Berlin połączone są dwustronnymi umowami o obronności, ich domknięciem był traktat między Wielką Brytanią a Niemcami, podpisany w lipcu 2025 r. w Kensington. Format okazał się na tyle poręczny, że występuje tam, gdzie trzeba negocjować sprawy militarne w imieniu Europy. Widzimy to teraz, gdy stało się jasne, że nie będzie żadnego pokoju między Rosją a Ukrainą bez udziału Europy.

E3 działa w sprawach ukraińskich. Wcześniej na jego forum uzgadniana była odpowiedź na propozycje amerykańskie dotyczące zakończenia wojny. Teraz, podczas niedawnej wideokonferencji przywódców Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Ukrainy, jednym z tematów rozmów był ewentualny udział Europy w negocjacjach pokojowych z Kremlem. Wołodymyr Zełenski miał wręcz namawiać rozmówców, by grupa E3 przejęła rolę, którą do tej pory odgrywała w tych sprawach Ameryka.

Czy tak się stanie, nie wiemy, choć wszystko zmierza w tym kierunku. Rosjanie, którzy jeszcze niedawno kpili z Europy, coraz częściej mówią, że nadchodzi czas na tego typu rozmowy. Jaka może być ich ranga? Pewne ich wyobrażenie zarysował w lutym w Sejmie Radosław Sikorski. Mówił wtedy: „Stawką wojny w Ukrainie jest nie tylko niepodległość tego państwa i nie tylko bezpieczeństwo naszego regionu Europy. Ta wojna zdecyduje o tym, który podmiot stanie się trzecim – obok Stanów Zjednoczonych i Chin – filarem nowego, globalnego układu sił. Czy będzie to Rosja, czy Unia Europejska?".

Polska prawica wciąż uważa, że bezpieczeństwo może nam zapewnić polityka czepiania się płaszcza USA.

W tej perspektywie wojna w Ukrainie ma dwa oblicza. Pierwsze to wojna samych Ukraińców o niepodległość, o prawo decydowania, gdzie chcą być. Drugie to rywalizacja Zachodu z Moskwą o pozycję w świecie. Zachodnia Europa to wie. Dlatego popiera dziś Ukrainę.

•

A rola Polski? Polska chce być w grupie E3, czyli w grupie liderów trzeciej siły świata, i o to zabiega. Ma atuty. Przede wszystkim położenie geograficzne. Jakakolwiek pomoc dla Ukrainy czy w przyszłości jej odbudowa nie ma szans bez współdziałania z Polską. Tu jesteśmy państwem kluczowym. Istotna jest rosnąca pozycja naszej gospodarki oraz armii.

Mamy też swoje ograniczenia. Wciąż jesteśmy dużo słabsi na tle Niemiec czy Francji, no i jest bariera psychologiczna przed stawianiem nas w tym gronie. Poza tym format E3 pracuje od ponad 20 lat, więc jego powiększenie naruszałoby wypracowaną równowagę. Jeśli chodzi o siłę polskiej armii – cieniem na jej przyszłości kładzie się sprawa chaotycznych wydatków oraz braku żołnierzy, więc pewnie czeka nas dyskusja nad przywróceniem poboru. I przede wszystkim mamy niezrozumiały w Europie dualizm, jeśli chodzi o politykę zagraniczną. Zapis konstytucji jest wyraźny – art. 146 stanowi, że „Rada Ministrów prowadzi politykę wewnętrzną i zagraniczną Rzeczypospolitej Polskiej". A prezydent, jak czytamy w art. 133, „w zakresie polityki zagranicznej współdziała z Prezesem Rady Ministrów i właściwym ministrem".

Praktyka pokazała, że od tych zapisów są wyjątki. Bo to Karol Nawrocki był zapraszany przez Donalda Trumpa do rozmów o Ukrainie, a nie Donald Tusk. Zatem wszystkim przeciwnikom obecności Polski w E3 daliśmy do ręki argument. Kogo mają zaprosić? Z kim uzgadniać stanowisko wobec Rosji, Ukrainy, USA? Z polskim premierem czy z polskim prezydentem, który otwarcie mówi, że premiera zwalcza?

W stolicach europejskich odbiła się echem awantura między prezydentem a premierem w sprawie traktatu z Wielką Brytanią. Prezydent miał pretensję, że traktatu wcześniej nie widział, ogłosił też, że nie wie, czy go podpisze. Innymi słowy, zażądał, żeby w negocjacjach nad umowami międzynarodowymi uczestniczyli jego przedstawiciele i zgłaszali uwagi. To oczywiście żądanie bezczelne, niepoparte żadnymi zapisami konstytucyjnymi. Ale taką sytuację dziś mamy. I to Polskę osłabia.

W efekcie działania ministra Sikorskiego, by Polskę uplasować w gronie najważniejszych aktorów, nie mają potrzebnej mocy. Tak było podczas negocjowania traktatu z Brytyjczykami, którzy w sprawie rozszerzenia E3 byli głusi. Ale czy to znaczy, że gra się skończyła?

W polityce nic nigdy się nie kończy, więc gra się nie skończyła. Ona trwa.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cc4bb0ecd4

NAWROCKI.
OD AWANTURY DO AWANTURY

Kancelaria Prezydenta wiedziała wszystko o traktacie z Wielką Brytanią

Robert Walenciak



Prezydent Karol Nawrocki zmierza na spotkanie z przedstawicielami mediów przed Pałacem Prezydenckim, 29 maja 2026 r.

Czy to jest zwykła wojna Karola Nawrockiego z rządem w kolejnej odsłonie, czy coś ważniejszego?

Było o tym głośno od kilku dni. Gdy Donald Tusk podpisał w środę, 27 maja, w Northolt pod Londynem, bazie Dywizjonu 303, traktat obronny z Wielką Brytanią, jeszcze tego samego dnia odezwał się Karol Nawrocki: „Dobrze byłoby przed podpisywaniem zobowiązań w imieniu narodu polskiego informować Kancelarię Prezydenta i samego prezydenta o tym, że takie rozwiązania są przygotowywane". I dodał, że informacje na ten temat pozyskiwał wyłącznie „z opinii publicznej".

Dzień później szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz napisał na portalu X, że treść traktatu „trafiła do Kancelarii Prezydenta 26 maja br. na dzień przed podpisem w Northolt".

Czy tak było faktycznie? Tego samego dnia rzecznik MSZ Maciej Wewiór przedstawił harmonogram informacji, które ministerstwo przekazywało Kancelarii Prezydenta w sprawie traktatu. I okazuje się, że już w styczniu, przed wizytą prezydenta RP w Londynie, MSZ przygotowało i przekazało do Kancelarii Prezydenta „specjalną, pogłębioną informację na temat Traktatu oraz przebiegu negocjacji". A w marcu na prośbę Kancelarii Prezydenta „odbyło się spotkanie robocze na poziomie ekspertów, podczas którego przedstawiciele KPRP zostali szczegółowo poinformowani o przebiegu negocjacji, treści oraz celach Traktatu". Rzecznik zaznaczył też, że „MSZ od początku procesu regularnie informowało Kancelarię Prezydenta RP o stanie negocjacji i planowanej treści traktatu".

O cóż więc chodzi? Czy odkryliśmy gigantyczny bałagan w Kancelarii Prezydenta i to, że jej urzędnicy spotykali się z urzędnikami MSZ, ale prezydenta o tym nie informowali? Żadne papiery z MSZ nie docierały na jego biurko? Czy po prostu Nawrocki celowo wywołuje awanturę? A jeżeli tak, to dlaczego?

Awantura z rządem ma jeszcze odnogę – zupełnie niespodziewanie do grona swoich wrogów Nawrocki włączył wicepremiera, szefa MON, Władysława Kosiniaka-Kamysza. Wszystko zaczęło się od wypowiedzi Kosiniaka-Kamysza, który podczas wizyty w Kanadzie gorzko skomentował słowa prezydenta: „Chciałbym, żeby chociaż raz kancelaria pana prezydenta ucieszyła się z tego, że Polska jest bezpieczniejsza. Już nie powiem, że szlag trafia człowieka, jak ciągle słyszy tylko o własnym ogródku Kancelarii

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Prezydenta jako o pępku świata. To nie jest pępek świata. Najważniejsze dla nas jest bezpieczeństwo i o to dbamy".

Na co brutalnie odpowiedział Nawrocki. „Pan premier Kosiniak-Kamysz się wygłupił. Rząd nie wykonał pewnej pracy, pan premier Kosiniak-Kamysz nie wykonał pracy", mówił dziennikarzom. Czyli pozostał przy tezie, że o traktacie polsko-brytyjskim nie był informowany. Wspominał o tym zresztą chwilę później:

„Nie mam informacji na temat prowadzonych rozmów, dyskusji. BBN nie przeprowadziło analiz. Jakiej odpowiedzi oczekiwalibyście od logicznie myślącego prezydenta, który ma wziąć odpowiedzialność za pełen podpisany dokument? Chyba rzeczą naturalną jest, że jeśli chcę podpisać dokument, to muszę mieć świadomość tego, co w tym dokumencie jest".

Oto ciosy, które padły. Co oznaczają? Czy była to erupcja emocji, efekt wrogości i braku zaufania między obozem prezydenta a rządem, czy wstęp do większej gry? Erupcja – bo przecież do niedawna stosunki Nawrockiego i Kosiniaka-Kamysza były dość spokojne.

Jeżeli więc ta awantura to efekt jedynie wybuchu emocji, za chwilę sprawa ucichnie i o niej zapomnimy. Ale może być zupełnie inaczej. Karol Nawrocki ma przecież swoje polityczne cele. Po pierwsze, chce za wszelką cenę utrudnić działanie Donaldowi Tuskowi – co też robi. Po drugie, chce rozepchać się w systemie władzy, mieć więcej kompetencji, o co także regularnie się stara. Chociaż konstytucja stanowi wyraźnie, w art. 146, że „Rada Ministrów prowadzi politykę wewnętrzną i zagraniczną Rzeczypospolitej Polskiej". A prezydent, jak czytamy w art. 133, „w zakresie polityki zagranicznej współdziała z Prezesem Rady Ministrów i właściwym ministrem".

Tymczasem minister Przydacz jest na te zapisy głuchy i mówi coś zupełnie innego – że konstytucja obliguje rząd do współdziałania w sprawie polityki zagranicznej z prezydentem. A konsekwencje tego są oczywiste: i Nawrocki, i Przydacz de facto domagają się, by rząd, prowadząc negocjacje traktatowe, zaprosił do nich przedstawicieli Kancelarii Prezydenta. Z prawem negocjowania. To znaczy decydowania, jak taki traktat ma wyglądać.

Niespodziewanie do grona swoich wrogów Nawrocki włączył szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Czyli chcą, żeby rząd oddał politykę zagraniczną w ręce Nawrockiego. Do tego zmierza również bój o ambasadorów – Nawrocki chce mieć swoich. Wyobraźmy to sobie – minister Sikorski mówiłby jedno, ambasador od Nawrockiego drugie. To oczywiście się nie udaje, bo Sikorski twardo i skutecznie broni prerogatyw MSZ, ale w tym kierunku zmierzają działania Dużego Pałacu.

Po trzecie, jeżeli już próbujemy dociec, dlaczego Nawrocki kręci nosem na traktat z Northolt, musimy pamiętać, że ma inną wizję polityki zagranicznej niż rząd. Jest przeciwny zacieśnianiu relacji europejskich, a bezpieczeństwo Polski widzi w związkach z Ameryką Donalda Trumpa. Amerykański prezydent go w tym wspiera. Dla Trumpa Europa, zwłaszcza w obecnym kształcie, to przeciwnik. Chce ją rozbić, bo z pojedynczymi państwami może rozmawiać z pozycji siły. A z Unią Europejską już nie.

Karol Nawrocki chce za wszelką cenę utrudnić działanie Donaldowi Tuskowi – co też robi.

Polska jest więc w zamyśle ruchu MAGA koniem trojańskim, który ma wspomóc Amerykę w jej działaniach. Nawrocki, tego powinniśmy się spodziewać, może chętnie, w imię przypodobania się Ameryce, podważać traktat polsko-brytyjski. Podkreślając, że tylko Donald Trump może nas obronić. A wszelkie traktaty między państwami europejskimi osłabiają NATO i w efekcie polskie bezpieczeństwo.

Czy to jest możliwa gra? Jak najbardziej. Takich działań spodziewa się Donald Tusk, który już zdążył, wyprzedzając ewentualne ruchy Nawrockiego, powiedzieć: „Nie chce mi się wierzyć, żeby ktoś mógł wpaść na tak niebezpieczny i tak niemądry pomysł, żeby blokować – poprzez np. brak podpisu prezydenta – traktat, który po prostu wzmacnia bezpieczeństwo Polski".

Wszystko zatem jest możliwe, zwłaszcza że Nawrocki w niepodpisywaniu ustaw i umów ma już wprawę. Buduje przecież swoją pozycję na polskiej prawicy, chce być jej liderem. Musi być sprawczy – w tym pomógł mu Donald Trump i jego obietnica (na razie nieskonkretyzowana) wysłania dodatkowych 5 tys. żołnierzy do Polski. Musi też wchodzić w zwarcia i narzucać ton. Widzimy to. Postawił się Jarosławowi Kaczyńskiemu, wybierając Zbigniewa Kapińskiego na stanowisko prezesa Sądu Najwyższego. Teraz zapowiedział weto w sprawie ustawy o związkach partnerskich.

Poza tym inicjuje proces odebrania Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego za gloryfikowanie UPA. Tu może liczyć na poklask i na to, że zapowiadająca się wielka awantura przyniesie mu korzyści polityczne. Ponadto podstawia nogę rządowi, wołając, że nie Europa, tylko USA. Po awanturze o SAFE, która nie skończyła się dla niego jakimiś specjalnymi stratami, wie, że dużo może. Że prawica chce, by walczył z Tuskiem. A polska racja stanu to abstrakcja. I on z tego korzysta.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Olek Miszalski padł

Gra o tron Krakowa rozegra się w trójkącie KO-PiS-Gibała

Adam Jaśkow

W referendum za odwołaniem Aleksandra Miszalskiego, prezydenta Krakowa, głosowało 171 tys. obywateli i to wystarczyło do jego odwołania w mieście liczącym 810 tys. mieszkańców. W 2024 r. Aleksander Miszalski zwyciężył przy niskiej frekwencji, uzyskując 133 tys. głosów i pokonując kontrkandydata, Łukasz Gibałę, 5434 głosami. Gibała, wieczny kandydat na prezydenta Krakowa, siostrzeniec Jarosława Gowina, przegrał wybory po raz trzeci, zadając kłam powiedzeniu, że do trzech razy sztuka. To jemu przypisuje się sprawczość i główne finansowanie komitetu organizacyjnego referendum w sprawie odwołania prezydenta miasta. I on chciałby być głównym beneficjentem referendalnego sukcesu.

Rada miasta ocalała, choć niewiele brakowało, by podzieliła los prezydenta. W wyborach do rady miasta Koalicja Obywatelska, mająca na pokładzie kandydatów Lewicy, zdobyła 118 641 głosów. Na pozostałe komitety, z których część nie uzyskała mandatów, głosowały 177 133 osoby. Taki wynik dał Koalicji bezpieczną większość w radzie miasta.

Pierwszy rzut oka mógłby sugerować, że przeciwnicy prezydenta po prostu zmobilizowali swoich wyborców. Oznacza to również, że nawet gdyby prezydent przekonał do udziału w referendum wszystkich swoich zwolenników, efekt byłby taki sam. Porażka po części wynikała ze słabego mandatu wyborczego prezydenta i słabnącej pozycji PO/KO w Krakowie. Warto przypomnieć, że po upokarzających klęskach w kolejnych wyborach na prezydenta miasta PO w 2018 r. przyłączyła się do Jacka Majchrowskiego, tworząc wspólny z jego kandydatami komitet wyborczy.



Aleksander Miszalski, były już prezydent Krakowa, 28 maja 2026 r.

W wyborach w 2024 r., po długo odkładanym zakończeniu rządów Jacka Majchrowskiego, KO nie przeprowadzała procesu prawyborów kandydata. Aleksander Miszalski, pełniący funkcję przewodniczącego partii w Małopolsce (od 2017 r.), sam się ogłosił kandydatem. Co prawda, musiał czekać prawie trzy miesiące na zatwierdzenie swojej kandydatury przez Donalda Tuska, ale nominację uzyskał i wybory, choć w niezbyt imponującym stylu, wygrał.

Jak się okazało, rządził w sumie tak, jak zgłosił się do wyborów. Samodzielnie.

Rządy rozpoczął od konfliktu ze swoim koalicjantem, Lewicą. Wbrew postanowieniom umowy koalicyjnej powołał wiceprezydentów bez konsultacji z koalicjantem, a jednego, a właściwie jedną – wbrew niemu. O tym, skąd w Krakowie na funkcji zastępczyni prezydenta znalazła się urzędniczka z Sopotu, współpracowniczka Jacka Karnowskiego, huczało od wiosny do wiosny, a nawet do jesieni. W efekcie radni Lewicy formalnie wyszli z klubu radnych i koalicji rządzącej. Faktycznie współpraca trwała, choć była raz bardziej, raz mniej szorstka.

Zrozumiałe więc, że w poniedziałek, tuż po ogłoszeniu wyników referendum, Włodzimierz Czarzasty ogłosił, że Aleksander Miszalski nie był w koalicji z Lewicą. Marszałek Sejmu i szef Lewicy zostawił odwołanego prezydenta samego ze swoją porażką. Można, a nawet trzeba się zastanawiać, co oprócz bardzo słabej pozycji startowej przyczyniło się do przegranej. Raczej nie były to powody, które oficjalnie wskazywali

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl cc4bb0ecd4

organizatorzy referendum. Zadłużenie miasta na pewno nie było efektem niespełna dwuletnich rządów Miszalskiego. Narastało przez lata i miało wiele przyczyn. I nie wszystkie miały źródło w Krakowie.

Drugim powodem referendum i odwołania prezydenta miała być Strefa Czystego Transportu. Przy jej planowaniu i wprowadzaniu, do czego zresztą Kraków zobowiązywały przepisy, popełniono chyba wszystkie możliwe błędy i wypaczenia. Niemniej jednak regulacje w ich ostatecznym kształcie nie nakładały na mieszkańców Krakowa w zasadzie żadnych ograniczeń. Bardziej dolegliwe byłyby w wersji zaproponowanej wcześniej przez prezydenta Majchrowskiego. Tamte przepisy zostały uchylone w drodze postępowania sądowego. W aktualnym kształcie restrykcje dotyczą tylko pojazdów osób niemieszkających w Krakowie. Czy więc mogły stanowić silną motywację do wzięcia udziału w referendum? Nie sądzę. Co najwyżej kwestia strefy mogła wspierać narrację o słabych rządach prezydenta.

Trzecim podnoszonym argumentem było zatrudnianie przez niego swoich „kolesi". Faktycznie zauważono takie nominacje i powołania osób z Koalicji Obywatelskiej, zwłaszcza spośród radnych KO, dla których trudno było znaleźć merytoryczne uzasadnienie. Jak wykazały jednak śledztwa dziennikarskie, m.in. „Gazety Wyborczej" i Onetu, w porównaniu z działaniami PiS w Małopolsce były to drobiazgi. Media wskazały ponad 70 osób, które albo należały do PiS, albo blisko z partią współpracowały, albo były z takimi osobami w relacjach rodzinnych, a znalazły przyjazne zatrudnienie w jednostkach podległych Małopolskiemu Urzędowi Marszałkowskiemu. Jeśli więc niektóre nominacje Miszalskiego uznamy za co najmniej problematyczne, i tak skala zjawiska blednie wobec poczynań PiS. Cytując partię Razem, KO też obiecywała, że inna polityka jest możliwa, ale w praktyce, przynajmniej jeśli chodzi o KO, ta inna bywa bardzo trudna.

Ostatnim zarzutem wobec Miszalskiego był brak wizji miasta i jego dalszego rozwoju. Ten zarzut równie dobrze można by postawić komitetowi referendalnemu i w sumie wszystkim siłom politycznym w mieście.

Dlaczego więc referendum odniosło sukces? Nie była to raczej antyczna tragedia, bardziej mały dramat prowincjonalny. Miszalski odegrał rolę wielkiego człowieka do małych interesów. Jak był osamotniony na starcie, tak pozostał sam ze swoją porażką. Jego koalicjant, Lewica, zostawił go, nie mogąc się doczekać realizacji umowy koalicyjnej. Macierzysta partia Miszalskiego wykazywała słabe zaangażowanie w jego obronę. Co więcej, lokalne media ujawniały listy potencjalnych następców Miszalskiego, rozważanych przez PO na długo przed datą referendalnego głosowania. Sam Miszalski przyjął taktykę wycofywania się z wcześniejszych decyzji, czy to w kwestii korekt SCT, czy podwyżek cen biletów komunikacji publicznej. To raczej ani nie osłabiało krytyki, ani nie zwiększało liczby zadowolonych mieszkańców. Poza tym organizatorzy referendum poczytywali sobie to za sukces, wskazując, że ich krytyka działań prezydenta przekonała nawet jego samego.

Przy planowaniu i wprowadzaniu Strefy Czystego Transportu popełniono chyba wszystkie możliwe błędy.

Tę taktykę Miszalskiego skrytykował jego poprzednik Jacek Majchrowski, który także był zagrożony referendum odwoławczym. Z tym że ówczesnym wnioskodawcom nie udało się nawet zebrać wystarczającej liczby podpisów za przeprowadzeniem głosowania. Wtedy również za wnioskodawcami stał Łukasz Gibała wraz z rodzinnym majątkiem.

To zdecydowany zwycięzca akcji referendalnej i jej główny beneficjent. Jak się powszechnie twierdzi, murowany kandydat na prezydenta. A przynajmniej na kandydata. Co nie znaczy, że tym razem będzie mu łatwiej nie tylko zwyciężyć, ale nawet wejść do drugiej tury wyborów. Karuzela kandydatów już ruszyła, choć deklaracje składają na razie ci, którzy będą walczyć bardziej o pozycje polityczne, a nie o zwycięstwo. Jako pierwsza zgłosiła się Aleksandra Owca, radna miejska z Razem, do niedawna jeszcze koalicjantka Gibały, z którego komitetu wyborczego uzyskała mandat. Na pewno wystartuje Jan Hofman, lider komitetu referendalnego, dawny kolega Miszalskiego z PO. Obie Konfederacje też zechcą wystawić kandydatów, chociaż raczej nie Konrada Berkowicza, który do dalszej kariery politycznej powinien wybrać okręg bez sklepu Ikei.

Włodzimierz Czarzasty zadeklarował, że krakowskie struktury Lewicy zgłoszą kandydata/kandydatkę na prezydenta. W lewicowych kuluarach mówi się, że może to być posłanka klubu Lewicy, aktualnie bezpartyjna, Daria Gosek-Popiołek. Do walki o rząd lewicowych dusz stanęłyby przeciw sobie niedawna członkini Razem i aktualna współprzewodnicząca tej partii.

Jednak właściwa gra o tron Stołecznego Królewskiego Miasta rozegra się prawdopodobnie w trójkącie KO-PiS-Gibała. Z tej trójcy tylko Gibała jest oczywistym kandydatem. Zarówno KO, jak i PiS dopiero zaczynają proces poszukiwań kandydatów z szansami na zwycięstwo. Co prawda, KO jest może o krok dalej, bo „szukała" kandydata, zanim tron został oficjalnie opróżniony. PiS zdawało się nie wierzyć w sukces referendum i poważne poszukiwania rozpoczęło chyba dopiero po nim. (Jedną z kandydatur jest Małgorzata Wassermann, ponoć namaszczona przez Karola Nawrockiego). Od efektu tych poszukiwań będzie zależał los wyborów, Krakowa i Gibały. Jeśli partie wybiorą źle, pogląd, że prezydenturę Krakowa można sobie wykupić, stanie się bliższy prawdy. Jeśli wybiorą dobrze (dla siebie), to wcale nie musi być dobre dla Krakowa i jego mieszkańców. Maszyna losująca ruszyła. Kto wie, czy najbardziej przezorni mieszkańcy miasta nie rozważają już przeprowadzki, jeśli nie w Bieszczady, to choćby do Kłaja.

Adam Jaśkow

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Referendum, którego nie było

W Krakowie mieliśmy święto demokracji. W Bytomiu jej karykaturę

Mateusz Cieślak

Niedawno oczy całej Polski zwrócone były na Kraków, gdzie w niedzielę 24 maja trwało głosowanie w sprawie odwołania prezydenta miasta. Znacznie ciekawsze było jednak referendum, które się nie odbyło.

W Bytomiu inicjatorzy referendum chcieli odwołania prezydenta Mariusza Wołosza i rady miejskiej. Złożyli 12 166 podpisów, choć do zarządzenia referendum potrzeba było nieco ponad 10,6 tys. ważnych podpisów. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na sukces. Po sprawdzeniu list okazało się jednak, że ważnych podpisów było tylko 7410. Za wadliwe uznano 4621 wpisów, czyli ponad 38% pozycji. Na listach znalazło się także 179 numerów PESEL osób zmarłych. Komisarz wyborczy w Katowicach odrzucił więc wniosek, a prezydent Wołosz zapowiedział złożenie zawiadomienia do prokuratury.



Prezydent Mariusz Wołosz na sesji rady miejskiej, październik 2025 r.

To już nie była zwykła polityczna przegrana. To była kompromitacja. Na kartach pojawiły się osoby niemające prawa udziału w referendum w Bytomiu. Inne adresy niż w rejestrze wyborców. Błędne albo niepełne numery PESEL. Powtórzone podpisy. Osoby niewidniejące w Centralnym Rejestrze Wyborców. I wspomniane już numery PESEL osób zmarłych.

„Mając świadomość tego, kto i w jaki sposób zbierał podpisy pod inicjatywą referendalną, w trosce o bezpieczeństwo Bytomian składam zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa fałszerstwa – ogłosił Mariusz Wołosz. – Grupa osób związanych z byłym prezydentem, który przez lata swoich rządów doprowadził do zapaści naszego miasta, będzie musiała się teraz tłumaczyć. Będę wnioskował do prokuratora o zabezpieczenie kart z podpisami – za dopuszczanie się nadużyć w sporządzaniu list z podpisami i podrabianie dokumentów może grozić nawet pięć lat pozbawienia wolności".

Problemy Bytomia oraz innych samorządów wynikają ze zmian wprowadzonych przez rząd PiS.

Ponieważ Wołosz wskazał grupę związaną z byłym prezydentem, organizatorzy referendum odnieśli się do tego wątku. W oświadczeniu przekonywali: „Jakby ktoś chciał w te teorie spiskowe wierzyć, Pan Damian Bartyla z tego, co wiemy, dawno się wycofał z lokalnej polityki, jak również z naszego miasta i wszelkie insynuacje na temat rzekomego udziału w referendum to zwykle kłamstwa".

Ktoś im podłożył świnię?

Referendyści tłumaczyli, że listy można było pobrać z internetu, wypełnić gdziekolwiek i przynieść do punktów zbiórki. Sugerowali nawet, że nieprawidłowe wpisy mogli celowo dostarczyć przeciwnicy referendum. W ich stanowisku pojawiła się teza, że ktoś mógł im, mówiąc potocznie, podłożyć świnię.

FOT. FACEBOOK/MARIUSZ WOŁOSZ

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Pisali: „Przypominamy, że listy poparcia były do pobrania w internecie i każdy mógł wypełnić je w dowolnie błędny sposób i przynieść do stałych punktów zbiórek, zwłaszcza zwolennicy obecnej władzy, którzy kurczowo chcą się tam utrzymać, bo wiedzą, czym grozi jej utrata i późniejsze konsekwencje ich rozliczenia".

Najbardziej przyciąga uwagę chęć udziału w głosowaniu niemal 200 nieboszczyków. Skoro złożyli podpisy na listach poparcia referendum, to znaczy, że musieli co najmniej wystawić ręce z grobów, wysunąć głowę, by podać adres oraz numer PESEL. Oczywiście istnieje też inna możliwość – że ktoś odwiedził bytomskie cmentarze, spisał informacje z nagrobków, a potem dopisał im adresy oraz numery PESEL.

Tu RODO nie istnieje

Kompromitacja śląskich referendystów skłoniła prezydenta Bytomia do próby uzdrowienia przepisów. Mariusz Wołosz zapowiedział podjęcie kroków w celu wprowadzenia do ustawodawstwa zabezpieczeń, które uniemożliwiłyby podobne patologie w przyszłości. Chodzi przede wszystkim o dwie sprawy: możliwość elektronicznego popierania inicjatywy referendalnej oraz większą odpowiedzialność za konkretne karty z podpisami.

Wołosz mówił o tym na antenie TVP Katowice, zwracając uwagę na uderzający paradoks. W wielu dziedzinach życia publicznego przepisy o ochronie danych osobowych są bardzo restrykcyjne. Urzędnicy, szkoły, placówki medyczne czy instytucje publiczne muszą przestrzegać wielu procedur związanych z RODO. Tymczasem przy referendach odwoławczych można gromadzić dużo wrażliwych danych osobowych na papierowych listach, które krążą między ludźmi, trafiają do punktów zbiórki i – jak pokazuje bytomski przypadek – mogą zawierać tysiące wadliwych wpisów.

Według prezydenta Bytomia najlepszym rozwiązaniem byłoby zbieranie podpisów również drogą elektroniczną, np. przy użyciu aplikacji mObywatel. Wtedy znacznie trudniej byłoby wpisać cudze dane, podpisać się kilka razy albo dopisać osobę, która nie żyje. Elektroniczne potwierdzenie tożsamości ograniczałoby pole do fikcji, pomyłek i politycznej kreatywności.

Drugim rozwiązaniem mogłaby być większa odpowiedzialność za każdą kartę z podpisami. Na przykład obowiązek wskazania osoby, która daną kartę przyniosła. Dziś komitet może powiedzieć, że listy dostarczali różni ludzie. Niewykluczone, że w tej sprawie prezydent Bytomia złoży petycję do Sejmu.

Referendyści z Bytomia próbowali przedstawić swoją akcję jako bezpartyjną – spontaniczny ruch mieszkańców. Pisali, że inicjatywy nie poparły żadne ugrupowania polityczne. Ten obraz wymaga jednak dopowiedzenia. Pełnomocnikiem komitetu był Mariusz Tazbir, który w 2024 r. kandydował do Rady Miejskiej w Bytomiu z listy Prawa i Sprawiedliwości. Jednym z głównych krytyków obecnego prezydenta jest Maciej Bartków, szef bytomskiego PiS, późniejszy



eprasa.pl cc4bb0ecd4

kontrkandydat Wołosza w wyborach prezydenckich.

W tym samym oświadczeniu, w którym organizatorzy stwierdzali, że były prezydent Bartyla nie jest ich patronem, odcinali się także od PiS. „Pragniemy również zauważyć, że referendum dobitnie pokazało współpracę głównych graczy w Bytomiu, czyli KO oraz PiS, którym to zależy na utrzymaniu władzy za wszelką cenę, aby nie stracić intratnych stanowisk, diet radnych i aktualnych przywilejów", pisali.

Titanic, ale dlaczego

Jedna z grafik referendalnych miała przedstawiać Bytom jako tonącego Titanica. Tylko że za sytuację miasta trudno winić obecnego prezydenta. Problemy Bytomia oraz innych samorządów wynikają ze zmian wprowadzonych przez rząd Prawa i Sprawiedliwości. Polski Ład ograniczył dochody samorządów z podatku PIT, czyli jednego z najważniejszych źródeł ich dochodów własnych.

Najwyższa Izba Kontroli zwracała uwagę, że najważniejszą przyczyną spadku dochodów własnych samorządów był właśnie spadek dochodów z PIT po wprowadzeniu Polskiego Ładu. Według ustaleń NIK „wśród 66 miast na prawach powiatu aż w 61 realne dochody z PIT były w 2022 r. niższe niż w 2018 r., mimo że w tym czasie gospodarka urosła o ponad 15%. To szczególnie ważne, bo wpływy z PIT stanowią największe źródło dochodów własnych takich samorządów".

Bytom został „ukarany" podwójnie. W listopadzie 2025 r. Wołosz wybrał się do Sejmu, apelując o ratunek dla miasta. Informował posłów, że „zgodnie z rządowymi wyliczeniami przyszłorocznych dochodów średnie dochody na mieszkańca miałyby wynieść w Bytomiu 5222 zł, podczas gdy w Warszawie 10 025 zł, a w Krakowie 7707 zł". Przypominał, że z powodu reform poprzedniego rządu Bytom w latach 2019-2023 miał stracić niemal 157 mln zł.

Prezydent Bytomia wskazywał też nowelizację ustawy o dochodach jednostek samorządu terytorialnego, którą uznał za krzywdzącą dla takich miast jak Bytom, Krynica Morska, Włocławek, Jastrzębie-Zdrój czy Elbląg. Zestawiał przy tym planowane wzrosty dochodów wielkich miast z sytuacją Bytomia: Warszawa miała otrzymać 1,6 mld zł więcej, Kraków ponad 600 mln zł więcej, Wrocław ponad 550 mln zł więcej, a Bytom 2,5 mln zł mniej.

W kampaniach referendalnych łatwo sprowadzić miejskie problemy do jednego nazwiska. Tymczasem utrzymanie szkół, dróg, usług publicznych, urzędów, pomocy społecznej i miejskiej infrastruktury zależy nie tylko od decyzji prezydenta miasta, ale także od zasad podziału pieniędzy między państwo i samorządy. Lokalnych finansów nie da się więc uczciwie oceniać bez uwzględnienia decyzji podejmowanych w Warszawie.

Demokracja nie polega na tym, że wszystko wolno, byle było głośno.

W Bytomiu pojawiały się też wątki charakterystyczne dla ogólnopolskiej polityki prawicy. Komitet „Uratujmy Bytom" miał opublikować materiał ze zdjęciem Wołosza i pytaniem: „Mariuszu Wołosz, czy to prawda, że w Bytomiu powstaną mieszkania dla imigrantów?". Taki przekaz nie był rzeczową rozmową o polityce mieszkaniowej. Był próbą uruchomienia lęku. W lokalnym referendum, które miało dotyczyć oceny prezydenta i rady miejskiej, nagle pojawił się dobrze znany straszak z krajowych kampanii Konfederacji i PiS.

Krakowski trop

Bytom ma ciekawą referendalną historię. W 2012 r. mieszkańcy odwołali prezydenta Piotra Koja i radę miejską. Po przedterminowych wyborach władzę objął Damian Bartyla, który z kolei w 2018 r. przegrał z Wołoszem. Następne wybory, w 2024 r., Wołosz wygrał w pierwszej turze.

Jeszcze w 2023 r. przeciwnicy Wołosza hucznie zapowiadali referendum, ale do niego nie doszło. Wtedy nie zebrali wymaganej liczby podpisów. W 2026 r. miało być inaczej. Tym razem wniosek złożono. Informowano o tysiącach podpisów, ogłaszano sukces. Zamiast referendum był jednak blamaż na niespotykaną skalę.

Tu warto wspomnieć o kolejnej zastanawiającej sytuacji. Aż na 149 kartach z podpisami poparcia dla referendum znajdowało się błędne pouczenie, że podpisy i dane są zbierane wyłącznie w celu przekazania ich komisarzowi wyborczemu – zamiast komisarza z Katowic wskazano na tych kartach komisarza z Krakowa.

Ten krakowski ślad na bytomskich kartach jest doprawdy osobliwy. Może był zwykłym błędem przy kopiowaniu wzoru. Może to tylko niechlujstwo. Ale skoro referendyści nie zauważyli, że pomylili Bytom z Krakowem, to może pomylili prezydenta miasta?

Krakowscy referendyści doprowadzili do głosowania. Bytomscy nie potrafili doprowadzić nawet do tego, by ich podpisy przeszły przez sito podstawowej kontroli. Skala nieprawidłowości szokuje. Dlatego sprawa Bytomia powinna mieć ciąg dalszy. Nie tylko w prokuraturze, która powinna wyjaśnić, czy zmarli rzeczywiście powychodzili z grobów. Także w debacie o prawie. Referendum lokalne jest zbyt poważnym przejawem demokracji, by opierało się na kartach krążących po internecie, anonimowych dostarczycielach list i komitetach, które po klęsce tłumaczą, że ktoś mógł im wadliwe dane podrzucić.

Demokracja nie polega na tym, że wszystko wolno, byle było głośno. Polega na szacunku dla przyjętych zasad, np. warunków, jakie trzeba spełnić, by odwołać władze miasta. Dlatego narzędzie, jakim jest referendum samorządowe, musi być odporne na fałsz, bałagan i polityczną nieodpowiedzialność.

W Krakowie odbyło się referendum. W Bytomiu odbyła się lekcja. I dobrze by było, gdyby ustawodawca jej nie zlekceważył.

Mateusz Cieślak

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Sukcesja bez podatku

Klasa polityczna i biznesowa zamieniła fundacje rodzinne w osobisty portfel poza zasięgiem fiskusa

Marek Czarkowski

W założeniach miał to być pomysł na uchronienie polskich firm rodzinnych przed rozpadaniem się po śmierci ich założycieli, sprzedażą wieloletnich biznesów i kłótniami spadkobierców. Za stworzeniem polskiego odpowiednika znanych w Europie prywatnych fundacji od lat lobbowały Business Centre Club oraz Instytut Biznesu Rodzinnego. Projekt wspierały też kancelarie prawne i doradcze, wyczuwając, że na nowej instytucji będzie można nieźle zarobić.

Rząd PiS, a konkretnie Ministerstwo Finansów z Ministerstwem Rozwoju i Technologii przygotowały projekt ustawy, którą ostatecznie aż 441 głosami, a więc niemal jednomyślnie, przyjął Sejm pod nazwą Ustawa z dnia 26 stycznia 2023 r. o fundacji rodzinnej. Prezydent Andrzej Duda podpisał ją bez zbędnej zwłoki.

Wystarczyły trzy lata, by okazało się, że fundacja rodzinna to genialny instrument chroniący polityków, prezesów i wszelkiej maści biznesmenów przed podatkami. Ustawa zapewniła bowiem fundacjom rodzinnym wyjątkowo przyjazny pakiet podatkowy: zwolnienie z bieżącego podatku CIT od dochodów uzyskiwanych w ramach działalności statutowej, zerową stawkę PIT na rzecz świadczeń wobec beneficjentów z najbliższej rodziny oraz preferencyjną stawkę 15% CIT od wypłacanych świadczeń. Wystarczy minimalny fundusz założycielski, wynoszący zaledwie 100 tys. zł, jeden akt notarialny, wpis do rejestru – i jesteś właścicielem rodzinnej skarbonki.

Rząd Mateusza Morawieckiego reklamował to jako sukces. Pytanie czyj, bo do gry weszły osoby i podmioty, którym sukcesja rodzinnego majątku była całkowicie obojętna. Tak naprawę liczyły się podatki, a raczej ich brak, oraz możliwość ucieczki z aktywami.

Wielka ucieczka przed podatkami i komornikiem

Nad Wisłą obowiązuje zasada jawności majątkowej osób pełniących funkcje publiczne. Posłowie, senatorowie, ministrowie, prezesi spółek skarbu państwa czy sędziowie mają obowiązek składania oświadczeń majątkowych. Muszą wykazać, kto ile zarabia, co posiada, jakie ma zobowiązania, od kogo pożyczył pieniądze itp. Tylko że od połowy 2023 r., czyli od wejścia w życie ustawy, bez problemu można przerzucić do fundacji rodzinnej większość majątku i w stosownych oświadczeniach pojawi się co najwyżej wzmianka o „prawach do świadczeń z fundacji". Bez szczegółów, a więc bez wartości poznawczej.

Gdy 15 października 2023 r. Prawo i Sprawiedliwość przegrało wybory parlamentarne, stało się jasne, że dla takich osób jak Obajtek nadeszły ciężkie czasy. Właśnie wtedy, niemal natychmiast po ogłoszeniu wyników wyborów, zaczęły się – jeśli wierzyć mediom – zmiany w księgach wieczystych nieruchomości należących do Daniela Obajtka.

Według ustaleń poczynionych przez Polskie Radio 24 przekazał on synowi Piotrowi umową darowizny niemal wszystkie nieruchomości. Dziesięć dni później, 30 listopada 2023 r., Daniel Obajtek podpisał u notariusza akt założycielski KP76 Fundacji Rodzinnej. Deklarowany cel – ochrona majątku rodziny fundatora i zarządzanie nim. Syn Obajtka dokonał następnie transferu posiadanych (przekazanych mu przez ojca) nieruchomości do fundacji w postaci darowizny. 10 stycznia 2024 r. Daniel Obajtek ustanowił syna pełnomocnikiem fundacji, uprawnionym do nabywania majątku w imieniu

Niemal natychmiast po wyborach z 2023 r. zaczęły się zmiany w księgach wieczystych nieruchomości należących do Daniela Obajtka.

Media ustaliły, że z fundacji rodzinnych korzystają posłowie różnych opcji politycznych. Sławomir Mentzen z Konfederacji ma Fundację Rodzinną Rodziny Mentzen. Przemysław Wipler to Fundacja Rodzinna RW. Ryszard Petru, jak wskazują media, to z kolei Fundacja Rodzinna Vinci.

Największe zainteresowanie mediów wzbudziła KP76 Fundacja Rodzinna założona przez byłego prezesa Orlenu Daniela Obajtka, mająca siedzibę w Myślenicach.

KP76 Fundacji Rodzinnej, i de facto odzyskał kontrolę nad majątkiem. Formalnie nieruchomości należą do KP76, a nie do niego. Lecz KP76 to przecież jego fundacja, a syn jest jej pełnomocnikiem.

To nie wszystko. Pod koniec 2024 r. nowy zarząd Orlenu zapowiedział dochodzenie roszczeń od byłych członków zarządu. W tym samym czasie, w grudniu 2024 r., do fundacji KP76 trafiły kolejne nieruchomości. Domki letniskowe, działki na Mazurach. Portal Bankier.pl pisał:

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Przemysław Wipler to Fundacja Rodzinna RW, z kolei Sławomir Mentzen ma Fundację Rodzinną Rodziny Mentzen.

„Fundacja Obajtka puchnie". Money.pl dodawał: „Obajtek ucieka z majątkiem". A tygodnik „Newsweek": „Willa i domki letniskowe są już w rodzinnej fundacji Obajtka". Według doniesień medialnych majątek fundacji obejmuje również dzieła sztuki, zegarki i inne dobra luksusowe. Pełna lista aktywów nigdy nie ujrzała światła dziennego, bo rejestr fundacji rodzinnych nie publikuje inwentarza majątku.

Prawnicy tłumaczą, że przeniesienie majątku do fundacji rodzinnej w sytuacji, gdy ktoś chce go ukryć przed wierzycielami lub komornikiem, może wykazywać znamiona przestępstwa z art. 301 Kodeksu karnego. Odzyskanie czegokolwiek jest jednak bardzo trudne. Należałoby iść drogą skargi pauliańskiej (pozwala to m.in. na prowadzenie egzekucji z majątku, który został przekazany lub sprzedany osobie trzeciej), lecz takie procesy trwają latami. Wolno domniemywać, że Obajtek doskonale o tym wie. Dlatego jeśli w bardzo odległej przyszłości zapadłby prawomocny wyrok uznający roszczenia zarządu Orlenu z roku 2024, to prawdopodobnie minęłyby kolejne dekady, zanim udałoby się odzyskać cokolwiek z majątku fundacji rodzinnej. W tym samym czasie były prezes PKN Orlen lub jego pełnomocnik, czyli syn, mogliby obracać majątkiem fundacji, ograniczając się do symbolicznych świadczeń wobec fiskusa. Oczywiście zgodnie z prawem.

Jak to działa? Jeśli przeciętny obywatel sprzeda swoje udziały w spółce, powiedzmy za 1 mln zł, zapłaci podatek od dochodu w wysokości 19%. Kolejne 4% od dochodów powyżej 1 mln zł. Z fundacją rodzinną jest inaczej. Jeśli ktoś wnosi udziały (majątek ruchomy lub nieruchomy) jako darowiznę – nie płaci podatku. Jeśli fundacja sprzeda podarowane udziały – nie zapłaci CIT, stawka wynosi 0%. Gdy fundacja rodzinna wypłaca świadczenia najbliższej rodzinie – dzieciom, małżonkom, rodzicom, rodzeństwu – oni także skorzystają ze zwolnienia z podatku dochodowego od osób fizycznych.

Promotorzy fundacji rodzinnych dowodzą, że o to przecież chodziło ustawodawcy – czyli posłom zasiadającym w Sejmie w roku 2023 – aby ułatwić sukcesję. Rzecz w tym, że owa sukcesja czasem wygląda tak: udziały fundatora lądują w fundacji, która po kilku miesiącach je sprzedaje, a pieniądze trafiają do jego kieszeni jako „świadczenia". Wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

Fundacje rodzinne nad Wisłą

Oto kilka opisanych w mediach schematów wykorzystywania fundacji rodzinnych.

Wyobraźmy sobie biznesmena mającego udziały w prosperującej

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl cc4bb0ecd4

spółce. Chce on je sprzedać. Pojawia się kupiec gotowy zapłacić 100 mln zł. Gdyby nasz bohater sprzedał je bezpośrednio, fiskus otrzymałby sporą kwotę. Jeśli zaś przeniesie aktywa do fundacji rodzinnej i je sprzeda – CIT wyniesie zero. A pieniądze wrócą do naszego biznesmena jako „świadczenia". W ten elegancki sposób minister finansów zostanie pozbawiony kilkudziesięciu milionów złotych.

10 stycznia 2024 r. Daniel Obajtek ustanowił syna pełnomocnikiem KP76 Fundacji Rodzinnej i de facto odzyskał kontrolę nad majątkiem.

Inny schemat to reinwestowanie. Fundacja rodzinna może sprzedawać aktywa, nie płacąc podatku, a za pozyskane środki kupować nieruchomości, samochody, meble itp. Beneficjenci będą mieszkali w należących do fundacji eleganckich willach, poruszali się samochodami należącymi do fundacji i wyjeżdżali na wycieczki „w ramach działalności statutowej". Co prawda, urzędnicy podatkowi mogą podjąć próbę udowodnienia oszustwa, lecz będzie to działanie bardzo żmudne, a jego wynik może się okazać niepewny.

Jeszcze inny scenariusz przewidziany jest dla osób, które oszukały byłych partnerów biznesowych. Czując, że sprawa w sądzie źle rokuje, delikwent zakłada fundację rodzinną i przenosi do niej cały swój majątek. Jeśli zdąży, egzekucja na mocy wyroku będzie bardzo utrudniona. Wierzyciele będą musieli skorzystać ze skargi pauliańskiej, co może się ciągnąć latami. A oszust będzie miał czas, by skonsumować zgromadzony majątek.

Z opublikowanego w maju br. raportu „Trzy lata Fundacji Rodzinnej" będącego wspólnym przedsięwzięciem Bussines Insider Polska, Kancelarii Tomczykowski Tomczykowska oraz UniCredit wynika, że od maja 2023 r. do 30 kwietnia br. złożono 7037 wniosków o rejestrację fundacji rodzinnych. W tym czasie zarejestrowano 3677 fundacji – średni czas rozpatrywania wniosków o założenie takiej fundacji wynosi 14 miesięcy.

W lipcu 2025 r. notowano gigantyczny wzrost liczby wniosków o zmianę wpisów w rejestrze: z kilkuset miesięcznie do ponad 1 tys. Trzeba wiedzieć, że fundację rodzinną można zarejestrować tylko w jednym, centralnym rejestrze prowadzonym przez Sąd Okręgowy w Piotrkowie Trybunalskim. Niezależnie od miejsca siedziby fundacji czy zamieszkania fundatora w Polsce. I tylko w tym sądzie jest specjalne stanowisko, terminal komputerowy dla interesantów, przy którym można sprawdzić podstawowe dane dotyczące fundacji rodzinnych.

Powodem lipcowego oblężenia w Piotrkowie Trybunalskim była zapowiedź zmian w fundacjach rodzinnych, m.in. wprowadzenia 36-miesięcznego lock-upu (karencji) – zakazu zbywania aktywów przed upływem trzech lat od ich wniesienia. Do tego zapowiedziano ograniczenie zwolnień z podatku CIT. Takich regulacji chciał rząd Donalda Tuska. Biznesmeni, którzy wybrali się w lipcu 2025 r. do Piotrkowa Trybunalskiego, chcieli zdążyć przed wprowadzeniem zmian, bo prawo nie działa wstecz.

Jesienią 2025 r. Sejm uchwalił nowelizację przepisów podatkowych dotyczących fundacji rodzinnych. Prezydent Nawrocki ustawę zawetował.

Jesienią 2025 r. Sejm uchwalił proponowaną przez rząd nowelizację przepisów podatkowych dotyczących fundacji rodzinnych. Prezydent Nawrocki zawetował ustawę. Uderzałaby ona w tych, którzy na fundacjach rodzinnych korzystają najbardziej. Jak należy domniemywać, mieli oni dojście do ucha gwaranta konstytucji. W kręgach rządowych, zwłaszcza w otoczeniu ministra finansów, pojawiły się głosy, że coś z tym trzeba zrobić. Główne postulaty dotyczyły następujących kwestii:

- rejestr fundacji rodzinnych powinien być dostępny online (będzie to możliwe od 29 lipca br.);
- oświadczenia majątkowe osób publicznych powinny zawierać pełną informację o fundacjach rodzinnych, których osoby te są fundatorami lub beneficjentami – łącznie z informacją o wartości majątku;
- powinien obowiązywać 36-miesięczny zakaz sprzedaży aktywów wniesionych do fundacji rodzinnej;
- Krajowa Administracja Skarbowa powinna regularnie publikować statystyki postępowań przeciwko fundatorom i beneficjentom – a nie dotyczące tylko samych fundacji.

Istnieje poważna obawa, że bez tych zmian fundacje rodzinne mogą pozostać wehikułem pozwalającym na unikanie podatków. Eksperci z Kancelarii Tomczykowski Tomczykowska we wspomnianym raporcie piszą bardziej elegancko: „Cieniem na sukcesie kładzie się wykorzystywanie fundacji przez część z fundatorów głównie w celach optymalizacji podatkowej".

Przeciętny obywatel RP pracuje i płaci podatki według pełnych stawek. Nie ma doradców podatkowych, holdingu, a tym bardziej fundacji rodzinnej. Za to ZUS i Urząd Skarbowy w przypadku jakichkolwiek zaległości będą go ścigać z całą surowością. Zamożny biznesmen wraz z rodziną założy zaś fundację i płacić nie musi. Nic dziwnego, że fundacje rodzinne rosną w siłę. Ich aktywa można już liczyć w miliardach, a za parawanem ustawy z maja 2023 r. kryją się menedżerowie, biznesmeni, politycy…

Czy to się zmieni? Wątpię. Co prawda, wiosną ruszyły konsultacje społeczne i prace nad nowelizacją ustawy o fundacjach rodzinnych. Lecz jeśli nawet Sejm uchwali przepisy, które mogłyby ograniczyć ten raj podatkowy, nie ma gwarancji, że prezydent ich nie zawetuje.

Marek Czarkowski

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Z Galicji Jan Widacki

Ściganie wykroczeń

Niedawno młody Ukrainiec, influencer z zawodu czy zamiłowania, wjechał swoim sportowym samochodem pod schronisko w Morskim Oku, łamiąc obowiązujący tam zakaz wjazdu. To ewidentne wykroczenie drogowe zostało ukarane przez policję stuzłotowym mandatem i ośmioma punktami karnymi. Można rozważać, dlaczego wysokość mandatu wynosiła tylko 100 zł, a nie chociażby 200. Ale to temat do dyskusji między policjantem wystawiającym mandat a oficerem dyżurnym w jego jednostce.

Okazało się jednak, że jest to sprawa wagi państwowej. Zabrali w niej głos minister spraw wewnętrznych i administracji oraz sam premier. W mediach rozpętała się ogólnonarodowa dyskusja. W zwierciadle polskiej duszy, jakim jest internet, można było tę duszę obejrzeć bardzo szczegółowo. A dusza ta wygląda, jak wygląda. Jest, jaka jest. Czasami obrzydliwa.

Przeważały głosy oburzenia. Nie dość, że wjechał mimo zakazu, to jeszcze Ukrainiec! Okolicznością obciążającą okazało się, że był z dziewczyną, w dodatku ładną. Tego już zdecydowanie za dużo! Bezczelnie, lekceważąc ponadtysiącletnie dziedzictwo narodu polskiego, z całym jego tragicznym heroizmem i martyrologią, misją cywilizacyjną, jaką nieśliśmy Europie i światu, i sporem o Morskie Oko, który bohatersko wygraliśmy na polu bitwy pod Grazem czy też przed sądem polubownym w Grazu (to nie jest jasne, ale wszystko jedno, wygraliśmy!), ten Ukrainiec, w dodatku z tą dziewczyną (i to ładną dziewczyną!), zrobił sobie focię! Skandal! A poza tym, co robił ten Ukrainiec nad Morskim Okiem? Dlaczego nie walczył w Donbasie? Kolejny dowód na ukraińskie rozpasanie, do którego doprowadziły w Polsce lewacko-liberalne elity. Do tego doszło, że młody Ukrainiec, zamiast walczyć w Donbasie, sportowym samochodem, z ładną dziewczyną, łamiąc zakaz wjazdu, wyraźnie lekceważąc porządek prawny Rzeczypospolitej – a więc pośrednio ją samą – wjechał nad Morskie Oko! Czyż nie wpisuje się w kontekst ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu?

Nieliczne głosy rozsądku tonęły w morzu ksenofobii, nacjonalizmu i po prostu zwykłej głupoty. Prób nieudolnego przełamywania kompleksów. Oj, chora ta polska dusza, której zwierciadłem jest internet!

W tej atmosferze publicznie oburzył się pan premier. Ale oburzył się nie na stan polskiej duszy, tylko na wykroczenie drogowe warte stuzłotowego (a niechby nawet dwustuzłotowego!) mandatu. Pan minister od spraw wewnętrznych polecił do mandatu dorzucić pięcioletni zakaz wjazdu do Polski.

Nie wiem, dlaczego pan premier i pan minister ulegają aż tak bardzo populizmowi. I to nie po raz pierwszy. „To więcej niż zbrodnia, to błąd", jak powiedział Talleyrand czy też Antoine Boulay de la Meurthe. Ściganie się na populizm z PiS i Konfederacją nie ma sensu. Po pierwsze, skazane jest na przegraną. Oni w populizmie i tak będą lepsi. Po drugie, elektoratu tych partii do siebie się nie przyciągnie, za to część swoich wyborców straci.

A jeśli już o ściganiu wykroczeń mowa, pan minister od spraw wewnętrznych mógłby z powodzeniem wykazać się w działaniach innych niż pojedyncze złamanie zakazu wjazdu nad Morskie Oko. W Polsce nie ma danych statystycznych dotyczących ścigania wykroczeń.

Ściganie się na populizm z PiS i Konfederacją nie ma sensu.

Nawet pan minister nimi nie dysponuje, choć ustawa zobowiązuje go do nadzoru nad polityką ścigania wykroczeń. W Polsce wykroczenia karane są mandatami przez policję, ale równocześnie przez ponad 20 innych podmiotów. Straży, inspekcji, z których tylko część nadzoruje MSWiA. Resztę inne resorty i samorządy. W oficjalnych statystykach odnotowywane są tylko te wykroczenia, za które karę wymierzył sąd. Czyli jedynie te przypadki, w których osoba ukarana mandatem nie przyjęła go i sprawa trafiła do sądu. Ile wykroczeń ukarano mandatem, tego nie wie nikt.

Na czym polega polityka zapewniania porządku, czyli stanu, w którym nie są popełniane wykroczenia, bez znajomości rozmiarów tego zjawiska, pozostaje tajemnicą resortu. Może tym warto się zająć, a nie pojedynczym sprawcą pojedynczego wykroczenia? Nawet gdy jest to Ukrainiec, który ma samochód i ładną dziewczynę. ■



Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Prymas Polski Ludowej

Nigdy nie przyszło mu do głowy negować państwo, jego sytuację geopolityczną i ustrój społeczno-gospodarczy

Paweł Siergiejczyk

„Dziś pogrzeb prymasa Polski, kard. Stefana Wyszyńskiego. Uroczystości żałobne rozpoczęły się o godzinie 16. Delegacji państwowej przewodniczy Henryk Jabłoński. W składzie delegacji: współprzewodniczący Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu Kazimierz Barcikowski, marszałek Sejmu Stanisław Gucwa, wicepremierzy Jerzy Ozdowski i ja, minister spraw zagranicznych Józef Czyrek, kierownik Urzędu ds. Wyznań Jerzy Kuberski i przewodniczący Zespołu ds. Stałych Kontaktów Roboczych ze Stolicą Apostolską Kazimierz Szablewski. Delegacji FJN przewodniczył Jan Szczepański. Uroczystość zaczęła się w prezbiterium katedry św. Jana. Po wyniesieniu trumny uformował się kondukt, który przez Krakowskie Przedmieście i ulicę Królewską dotarł na Plac Zwycięstwa. O 17 rozpoczęła się msza. Po wystąpieniu kard. Agostina Casarolego, który reprezentuje papieża, homilię papieską odczytał kard. Franciszek Macharski. Po mszy wyruszyliśmy do katedry. Trumna została wniesiona do XVII-wiecznej krypty. Przeszliśmy przed nią i na tym zakończył się ten szczególny dzień”. Tak opisał ten iście królewski pogrzeb Mieczysław Rakowski w swoim dzienniku 31 maja 1981 r.

Śmierć kard. Wyszyńskiego, która nastąpiła trzy dni wcześniej, przypadła na szczególny okres w najnowszej historii Polski. Na dobre trwał wówczas „karnawał Solidarności”, czyli kilkanaście miesięcy między sierpniem 1980 r. a 13 grudnia 1981 r., które cechowała faktyczna dwuwładza: z jednej strony oficjalne rządy PZPR i jej sojuszników, a z drugiej nieformalny wpływ NSZZ Solidarność na wszystko, co w PRL wtedy się działo. Owa dwuwładza coraz bardziej nosiła cechy anarchii, tak fatalnie zapisanej w dziejach szlacheckiej Rzeczypospolitej albo w historii Rosji pomiędzy rewolucją lutową a październikową 1917 r. W tak krytycznym momencie zabrakło człowieka, który bez wątpienia stanowił największy autorytet moralny – ale i polityczny – dla zdecydowanej większości Polaków, po obu stronach ówczesnej barykady.

W dominującej dziś IPN-owskiej, czyli antykomunistyczno-klerykalnej wersji historii prymas Wyszyński przedstawiany jest jako przywódca narodu walczącego przez cały okres powojenny z komunistycznym totalitaryzmem. Trudno o bardziej kłamliwą wizję naszej przeszłości, bo ani Polska Ludowa nie była państwem totalitarnym (zwłaszcza po 1956 r.), ani cały naród nie kwestionował tamtego państwa i panującego w nim systemu, ani sam kardynał nie aspirował do roli lidera walki z tym systemem i władzami PRL.

Dwie ściany

Jeszcze dwa miesiące przed śmiercią, 25 marca 1981 r., w Natolinie prymas spotkał się z gen. Wojciechem Jaruzelskim, wtedy świeżo powołanym szefem rządu. Jak generał relacjonował Rakowskiemu, Wyszyński powiedział, że Solidarność „powinna iść po linii społeczno-zawodowej, a napięcia, które się pojawiają, są wręcz irracjonalne. Ludziom trudno zrozumieć, o co chodzi”. Samą Solidarność określił jako „romantyczno-renesansowy prąd”, ale dodał, że obecnie „następuje infiltracja, żeby uczynić z niej ruch polityczny. To jest obce, narzucane z zewnątrz. Wałęsa to rozumie. To człowiek dobrej woli, ale wpływy z zewnątrz, zwłaszcza korowskie, popychają go niekiedy do niefortunnych posunięć”.

Podczas spotkania z premierem rządu PRL padły jeszcze dwie ciekawe uwagi prymasa, natury bardziej ogólnej. Pierwsza: „Jeżeli człowiek stoi w jakimś pomieszczeniu, to nie może jednocześnie opierać się o dwie przeciwległe ściany. Kraj nasz znajduje się jak gdyby między dwiema ścianami – germańską i słowiańską. Polska w tej sytuacji powinna opierać się o ścianę słowiańską”. I druga, dotycząca rewolucji październikowej, o której prymas powiedział, że „elementy wspólnotowe, komunistyczne i egalitarne tej rewolucji stanowią trwały wkład do dorobku kultury ogólnoludzkiej. Wzbogaciły jej rozwój, dały pożyteczne impulsy”.

Kard. Wyszyński: Kraj nasz znajduje się między dwiema ścianami – germańską i słowiańską. Polska w tej sytuacji powinna opierać się o słowiańską.

Rakowski dodał, że to samo usłyszał od Wyszyńskiego w nieco wcześniejszej rozmowie Stanisław Kania, ówczesny I sekretarz KC PZPR. Na koniec zaś autor dziennika zanotował: „Generał był bardzo zadowolony z rozmowy z prymasem i z tego, co od niego usłyszał”. Z kolei Kania

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Kard. Stefan Wyszyński, 1980 r.

– według Rakowskiego – uznał, że „prymas ocenia Solidarność podobnie jak my. Analizuje Solidarność tak, jakby był marksistą".

Oczywiście kardynał marksistą nie był, lecz niewątpliwie znał marksizm, i to znacznie lepiej niż większość funkcjonariuszy PZPR, dla których oficjalna filozofia partyjna coraz częściej stanowiła rytualny dodatek do władzy. W 1977 r. podczas rozmowy z kierownikiem Urzędu ds. Wyznań, ministrem Kazimierzem Kąkolem, Wyszyński wspominał, że „zajmuje się od 1922 r. komunizmem, socjalizmem jako uczeń, student, profesor nauk społecznych". Żartobliwie dorzucił, że „nawet kiedyś stawał do konkursu z panem Gomułką na temat znajomości doktryny i historii marksizmu-leninizmu". Również w tej rozmowie prymas konsekwentnie doceniał ogólnoludzkie znaczenie rewolucji, ale też dodał: „Niektórych błędów można było uniknąć i polscy komuniści mają w tym zakresie zasługę".

Warto przypomnieć, że Stefan Wyszyński był księdzem nietypowym. W latach 30. nie tylko wykładał ekonomię społeczną w seminarium duchownym we Włocławku, ale także działał w Chrześcijańskich Związkach Zawodowych, prowadził Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy, organizował Katolicki Związek Młodzieży Robotniczej. Do 1939 r. opublikował ponad 100 prac poświęconych chrześcijańskiej nauce społecznej i problematyce robotniczej. Jak mało kto w kręgach kościelnych rozumiał więc i doceniał znaczenie radykalnych reform społeczno-gospodarczych, które nastąpiły w Polsce po II wojnie światowej.

Akt porozumienia

A że reformy te wprowadzali głównie komuniści, którzy wyznawali światopogląd materialistyczny, i w dodatku pod dyktando stalinowskiej Moskwy? Wyszyński przyjmował to jako element rzeczywistości, na który ani polskie społeczeństwo, ani tym bardziej Kościół nie miały żadnego wpływu. Natomiast od momentu, gdy jako młody biskup lubelski (od 1946 r.) stał się następcą zmarłego w 1948 r. prymasa Augusta Hlonda, zdecydował się zawrzeć porozumienie z ówczesnym rządem polskim. Dokument ten, podpisany 14 kwietnia 1950 r., nie jest dziś chętnie cytowany, szczególnie przez IPN-owską propagandę historyczną. Episkopat bowiem zobowiązywał się w nim do nakłaniania duchowieństwa, „aby nauczało wiernych poszanowania prawa i władzy państwowej", nie przeciwstawiało się „rozbudowie spółdzielczości na wsi, przeciwdziałało wrogiej Polsce działalności, a zwłaszcza antypolskim i rewizjonistycznym wystąpieniom części kleru niemieckiego" oraz „nadużywaniu uczuć religijnych w celach antypaństwowych".

Biskupi deklarowali poza tym, że „Kościół katolicki, potępiając zgodnie ze swymi założeniami każdą zbrodnię, zwalczać będzie również zbrodniczą działalność band podziemia oraz będzie piętnował i karał konsekwencjami kanonicznymi duchownych winnych udziału w jakiejkolwiek akcji podziemnej i antypaństwowej".

Warto pamiętać o tych zapisach w kontekście dzisiejszego kultu „żołnierzy wyklętych", który zupełnie ignoruje zarówno powojenne nastroje społeczne, jak i linię polityczną oraz nauczanie moralne kard. Wyszyńskiego. Oczywiście nie można zapominać o ogromnej presji, jaką na Kościół wywierały ówczesne władze

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Rzeczypospolitej Polskiej (jeszcze nie PRL!), jednak prymas nie miał wątpliwości, że tak sformułowane porozumienie nie stanowi wygórowanej ceny za utrzymanie warunków do normalnego funkcjonowania Kościoła w sferze duszpasterskiej. Wszak w tym samym dokumencie rząd Józefa Cyrankiewicza deklarował utrzymanie „obecnego stanu nauczania religii w szkołach", zachowanie istniejących dotychczas szkół o charakterze katolickim oraz KUL, zgodę na ukazywanie się prasy i wydawnictw katolickich, gwarantował też, że kult publiczny, pielgrzymki i procesje nie będą napotykały przeszkód, a zgromadzenia zakonne będą miały całkowitą swobodę działalności.

Porozumienie to, bardzo krytycznie przyjęte przez Watykan i skrajnie antykomunistycznego papieża Piusa XII, niewątpliwie opóźniło jednak zasadniczą rozprawę stalinowskich władz z Kościołem. Trzeba również pamiętać, że choć z każdym rokiem nasilały się szykany wobec duchowieństwa i instytucji katolickich, to dopóki żył Stalin, Moskwa nie wyrażała zgody na zbyt daleko idące kroki wobec Kościoła. Z pewnością miało to związek z wojennymi zamiarami radzieckiego dyktatora, który nie chciał zbytnio antagonizować katolickiego społeczeństwa zamieszkującego polskie zaplecze planowanego frontu. Paradoksalnie więc to śmierć Stalina i wywołany nią chaos na Kremlu umożliwiły ekipie Bieruta bezkarne podjęcie antykościelnej ofensywy w 1953 r. Wyszyński został wtedy internowany i osadzony w kolejnych miejscach odosobnienia.

Silne osobowości

Wolność – zarówno jemu osobiście, jak i polskiemu Kościołowi – przyniósł dopiero Październik 1956 r. Nowa ekipa Władysława Gomułki od razu wycofała się z wszystkich antykościelnych decyzji poprzedników, sam kard. Wyszyński mógł nawet wygłosić w Polskim Radiu bożonarodzeniowe orędzie do narodu, a w Wigilię 1956 r. niespodziewanie transmitowano pasterkę. Trudno się dziwić, że przed wyborami do Sejmu w styczniu 1957 r. Episkopat wydał oświadczenie wzywające katolików, aby spełnili „swój obowiązek sumienia wzięcia udziału w głosowaniu". Zrobił to także sam prymas, który zresztą nigdy nie bojkotował wyborów w powojennej Polsce. Wziął udział nawet w wyborze posłów do pierwszego Sejmu PRL w październiku 1952 r., oddając głos na… Bolesława Bieruta, którego tak charakteryzował w zapiskach: „Ludzie tego typu, co pan Bierut, szczerze są zatroskani o los Polski. Nie widzą też innej możliwości służenia Polsce obecnie, jak tylko na drodze jej komunizowania".

Lata 60. przyniosły zaostrzenie relacji pomiędzy państwem a Kościołem, co było naturalną konsekwencją rywalizacji dwóch niezwykle silnych osobowości: Gomułki i Wyszyńskiego. Głównym punktem sporu była ofensywa religijna podjęta przez prymasa w związku z rocznicą tysiąclecia chrztu Polski. Milenijny program Wyszyńskiego, mocno osadzony w tradycyjnej, zwłaszcza maryjnej pobożności, nie mógł się podobać I sekretarzowi partii, dlatego władze podjęły takie kroki jak usunięcie religii ze szkół czy powoływanie kleryków do wojska.

Prymas nigdy nie bojkotował wyborów w powojennej Polsce. W październiku 1952 r. oddał głos na Bolesława Bieruta.

A jednak owa rywalizacja przyniosła nieoczekiwane skutki w postaci gigantycznej skali oficjalnych obchodów tysiąclecia państwa polskiego, których roli w umocnieniu tożsamości narodowej do dziś stanowczo się nie docenia. Gomułka bowiem za punkt honoru postawił sobie przekonanie Polaków, że PRL stanowi nie tylko naturalną kontynuację tysiącletnich dziejów Polski, ale wręcz ich ukoronowanie, gdyż po raz pierwszy istnieje nad Wisłą państwo, z którym może się utożsamiać cały naród, a nie tylko jego uprzywilejowane warstwy.

Zasadnicza poprawa stosunków między państwem a Kościołem nastąpiła wraz z przejęciem władzy przez Edwarda Gierka. Nowy przywódca PZPR nie miał ideologicznych uprzedzeń swojego poprzednika, ponieważ ukształtował się na wzorcach francuskich i belgijskich, a nie radzieckich, do tego pochodził z tradycyjnej, katolickiej rodziny górniczej. Dzięki temu lata 70. okazały się okresem największych wpływów politycznych kard. Wyszyńskiego. „W ogóle dziwny jest ten nasz kraj. Gdyby nie stanowcza postawa Episkopatu, znacznie więcej głupstw byśmy narobili. Znam towarzyszy partyjnych, którzy idą do Wyszyńskiego i proszą go, by wystąpił i storpedował jakiś kolejny głupawy krok", mówił w 1977 r. ZSL-owski marszałek Sejmu Stanisław Gucwa w prywatnej rozmowie z Rakowskim, który w swoich zapiskach dodawał: „Faktem jest, że Wyszyński reprezentuje dziś jedyną siłę w kraju, z którą Gierek się liczy. Członkowie partii mogą od rana do nocy ostrzegać przywódcę partii, że źle postępuje, i nie przyniesie to żadnych pozytywnych skutków".

A nieco wcześniej, gdy na prośbę prymasa Gierek zdecydował o uwolnieniu robotników z Ursusa skazanych za udział w czerwcowym proteście z 1976 r., Rakowski zauważył: „Chwilami naprawdę nie wiadomo, kto rzeczywiście rządzi Polską. Gierek czy Wyszyński? Jedno jest pewne: dla Wyszyńskiego nastały złote czasy. Takiego »żniwa« jeszcze nie miał".

Kłopotliwe kazanie

Nic dziwnego, że Edward Babiuch, jeden z najbliższych ludzi Gierka, w 1977 r. oświadczył Rakowskiemu: „Prosiliśmy papieża o pozostawienie Wyszyńskiego", co redaktor naczelny „Polityki" skomentował, że „nasi towarzysze bardzo obawiają się następcy prymasa. Ten starzec jest ostry, ale jednocześnie realistycznie patrzy na rzeczywistość".

Warto zacytować jeszcze jeden fragment dzienników Rakowskiego, z 8 lipca 1980 r., czyli w przeddzień największej fali strajków w historii PRL: „Otóż kilka dni temu odbyło się

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Kard. Wyszyński i delegacja biskupów niemieckich z przewodniczącym episkopatu Niemiec kard. Josefem Höffnerem (pierwszy z lewej) i z kard. Josephem Ratzingerem (obok), 1980 r.

posiedzenie Episkopatu, na którym [Wyszyński] przedstawił swoją ocenę sytuacji. Uznał ją za bardzo poważną i jednocześnie wystąpił z tezą, że należy udzielić poparcia partii i rządowi. Dowodził, że każdy następca Gierka będzie gorszy. Jego ocena nie została jednomyślnie przyjęta. Biskup Tokarczuk z Przemyśla, znany przeciwnik »reżimu«, miał odmienne zdanie. »Skoro – dowodził – rząd i partia są słabe, to trzeba ich dobić, a nie wspierać«. Prymas, odstępując od uświęconego zwyczaju, zwrócił się do niego nie per »księże biskupie«, lecz »mój synu« i jął mu tłumaczyć, dlaczego nie ma racji. Zmierzał do udowodnienia Tokarczukowi, że nie ma oleju w głowie. Nazajutrz wysłał sekretarza Episkopatu, bp. Dąbrowskiego, do Kuberskiego z deklaracją poparcia dla władzy. Takie to są czasy".

W sierpniu 1980 r. prymas nie miał wątpliwości, jakie zająć stanowisko. 25 sierpnia spotkał się z Gierkiem, który poprosił go o pomoc w opanowaniu sytuacji. Następnego dnia na Jasnej Górze kardynał wygłosił kazanie, które zostało nawet pokazane w telewizji. Stanowiło ono syntezę myśli politycznej i społecznej prymasa, który wzywał strajkujących do roztropności, zwłaszcza w formułowaniu żądań, i przypominał, że domaganie się praw powinno się wiązać z wypełnianiem obowiązków. Nie był to zresztą pierwszy głos przywódcy polskiego Kościoła w tym czasie, bo już 17 sierpnia Wyszyński w kazaniu wygłoszonym w Wambierzycach przypomniał, „co jest potrzebne naszej Ojczyźnie, aby zapanował spokój i rozwaga": „Po pierwsze, pracować rzetelnie w poczuciu odpowiedzialności sumienia. Po drugie, nie trwonić, nie marnować darów ziemi, ale oszczędzać, bo, pamiętajmy, jesteśmy narodem ciągle jeszcze na dorobku. (…) Po trzecie, mniej pożyczać, ale i mniej wywozić, natomiast lepiej zaspokajać wszystkie potrzeby narodu, a więc potrzeby moralne, społeczne, religijne, kulturalne i gospodarcze".

Ten prawdziwie pozytywistyczny program prymasa nie spotkał się wtedy z dobrym przyjęciem dużej części społeczeństwa, która niebawem stanęła pod sztandarem Solidarności. Dlatego ostatnie miesiące życia ciężko chory już kardynał poświęcił na ostrzeganie przed radykalizacją polityczną nowego związku zawodowego. Jego linię kontynuował wyznaczony przez Wyszyńskiego następca, prymas Józef Glemp, któremu przyszło kierować polskim Kościołem w jeszcze trudniejszym czasie stanu wojennego, ostatnich lat PRL i początków III RP. Nie dysponował autorytetem poprzednika, toteż solidarnościowi radykałowie bez skrupułów atakowali go ostro za postawę, jaką zajął po 13 grudnia 1981 r.

Bezbożnicy i masoni

Ideologicznie Stefan Wyszyński najbliższy był zapewne myśli endeckiej. Bo choć sam wywodził się

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Spotkanie kard. Stefana Wyszyńskiego z członkiem Biura Politycznego KC Henrykiem Jabłońskim w ambasadzie polskiej w Rzymie, 24 października 1978 r.

z chrześcijańsko-demokratycznego ruchu robotniczego (o którego tradycjach w Polsce się nie pamięta), to jego poglądy wyrażane w okresie powojennym można określić jako narodowo-katolickie. Stąd brały się jego twierdzenia o konieczności „oparcia się o ścianę słowiańską" – przeciw „germańskiej", jego przewrażliwienie na punkcie przyszłości demograficznej narodu, dla której widział zagrożenie w powszechności aborcji i antykoncepcji, wreszcie obsesja na punkcie masonerii i kojarzonych z nią środowisk, takich jak KOR.

Na tę ostatnią kwestię trafnie zwrócił uwagę Rakowski, notując w lutym 1976 r.: „Gierek spotkał się z Wyszyńskim. Podobno obaj byli zadowoleni. Historia się powtarza. Gomułka także zawarł w pewnym momencie niepisany sojusz polityczny z Wyszyńskim. Nasi kolejni szefowie zawsze mogą być pewni, że spotkają się z Wyszyńskim na jednej płaszczyźnie, a mianowicie: niechęci do intelektualistów. Wyszyński powiedział: nie chcę mieć nic wspólnego z tymi bezbożnikami i masonami (miał na myśli intelektualistów). Za to z »prawdziwymi« komunistami – jak najbardziej".

O tym, jak silny był u prymasa wpływ myślenia endeckiego, świadczy też jego pretensja do Kazimierza Kąkola, który jako szef Urzędu ds. Wyznań odmówił przejęcia przez Kościół rzymskokatolicki poukraińskich cerkwi w południowej Polsce: „Niesłusznie pan postąpił w sprawie cerkwi. Pan Gierek również uważa, że Ukraińcy to jest bardzo groźny element, że nie można im ufać i że w związku z tym trzeba wzmacniać polskość na tych ziemiach".

Dziś, 45 lat po śmierci Stefana Wyszyńskiego, warto zatem odkłamać jego postać i sens polityki, którą prowadził. Nie tylko w kręgach kościelnych zwykło się go nazywać Prymasem Tysiąclecia. Tytuł ten, wiążący się oczywiście z obchodami milenijnymi z lat 60., sugeruje wszakże, iż był on najważniejszą postacią w tysiącletnich dziejach polskiego Kościoła. To teza dyskusyjna, przede wszystkim dlatego, że nie da się porównywać różnych epok historycznych, w których kolejnym prymasom przychodziło działać.

Jedno wszakże jest pewne: był kard. Wyszyński Prymasem Polski Ludowej – choć to stwierdzenie szokujące dla dzisiejszych antykomunistów. W Polsce Ludowej bowiem – a nie w żadnej innej – pełnił posługę biskupią i stał na czele Episkopatu. Nigdy nie przyszło mu do głowy negować to państwo, jego sytuację geopolityczną i ustrój społeczno-gospodarczy, za to starał się zawsze zrozumieć ludzi tym państwem rządzących i utrzymywać z nimi jak najlepszy kontakt. Wiedział, że Kościół to wierni, czyli miliony Polaków, którym przyszło żyć w takich, a nie innych warunkach historycznych. I na tym właśnie polega dziejowa wielkość kard. Wyszyńskiego.

Paweł Siergiejczyk

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS, RYSZARD RZEPECKI/REPORTER, PAP/CAF

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Bodźcem do napisania tego felietonu stała się oczywiście afera Zondacrypto. Ale nie tylko. Nie ma bowiem dnia, abym nie przeczytał o jakiejś aferze finansowej, polskiej lub światowej. Zaostrzam nieco swoją tezę, choć upieram się, że jest zasadna. Oto ona: dzisiejszy kapitalizm to kapitalizm kanciarzy i frajerów. Kanciarze starają się znaleźć frajerów, żeby ich wykorzystać, frajerzy są zawsze obecni i gotowi dać się nabrać, ponieważ jako dzieci neoliberalnego kapitalizmu opartego na wszechobecnej spekulacji wierzą, że można szybko i bez nadmiernego wysiłku się wzbogacić. Nikt nie chce długo pracować na sukces, wszyscy chcą spekulować. A to wspaniała wiadomość dla kanciarzy. Tworzą różne bzdurne aktywa jak kryptowaluty, działając wedle zasady, która spowodowała gorączkę tulipanową w XVII-wiecznej Holandii: żarliwa wiara w pewny zysk z jakiejś operacji finansowej jest zaraźliwa, nawet jeśli opiera się na całkowitym złudzeniu.

Kapitalizm kanciarzy i frajerów

Holendrzy uwierzyli kiedyś, że cebulki tulipanów będą zawsze drożeć, ponieważ przez chwilę drożały, dzisiejsi wielbiciele kryptowalut uważają, że będą one zawsze drożeć, ponieważ dotąd na ogół drożały. Cebulki tulipanów były faktycznie przez moment tyle warte, ile uważali, że są warte ich właściciele i nabywcy, ale szybko się okazało, że poza ową wiarą nic nie napędzało wzrostu ich wartości.

Podobnie jest z kryptowalutami. Wiszą one w powietrzu finansowym. Nie stoją za nimi żadne wiarygodne instytucje, np. państwo czy banki centralne, i jak typowa piramida finansowa zyskują na wartości tak długo, jak długo w owo zyskiwanie na wartości wierzą ich posiadacze i wyznawcy. Gdy wiara ta upadnie, a stanie się to prędzej czy później, miliony ludzi pozostaną z ręką w nocniku. Rzecz jasna, niektórzy bajecznie się wzbogacą. To ci, którzy szybko wyjdą z interesu. Zarobią na stratach innych, jak to ma miejsce w każdej piramidzie finansowej. Napompowana bańka pęknie niebawem z hukiem.

Najbardziej bawi mnie zaiste magiczna proweniencja kryptowalut, wiara w ich nadprzyrodzoną moc wynikającą z udawanej rzadkości. Przypomina to magiczną wiarę w wartość paciorków, za które Indianie sprzedawali swoje terytoria. Do tego dochodzi libertarianistyczna mitologia niezależności i wolności pojmowanej jako samowola, wymykania się władzy państwa. Niezwykle dziś popularne wciskanie kitu, od Doliny Krzemowej do polskiej Konfederacji. Nadzieja na zbudowanie alternatywnej rzeczywistości poza prawem i władzą, gdzie rządzić będą indywidualny spryt i siła przebicia. Ulegają jej przede wszystkim młodzi mężczyźni, którzy wierzą w swoją moc i szczęście. Mają nadzieję, że tak jak ich polityczni idole potrafią zbić fortunę na kiwaniu państwa i bezgranicznym egoizmie, a przy tym nigdy się nie zestarzeją i nie będą potrzebować żadnej pomocy. I tak powstaje poparcie dla obecnego kapitalizmu: bezwzględnej walki wszystkich ze wszystkimi, w której zwycięża ten, kto jest bardziej pozbawiony skrupułów i lepiej oszukuje innych.

Na drodze do całkowitej wolnoamerykanki stoją regulacje państwowe. Słabe i nieskuteczne, ale wciąż istniejące. Trudno się dziwić, że drażnią one tych, którzy wedle libertarianistycznej mitologii śnią o świecie pozbawionym jakichkolwiek regulacji, gdzie po prostu zwycięża silniejszy. Tymczasem potrzebujemy więcej regulacji, a nie mniej. Więcej wtrącania się państwa w mechanizmy działania kapitalizmu. Więcej nadzoru nad potworem, który spuszczony z łańcucha zniszczy nas wszystkich. Moralność już sięgnęła dna, albowiem odwrócone zostały wszelkie wartości i np. chciwość – przez wieki słusznie uważana za wadę – stała się naczelną cnotą naszego „nowego wspaniałego świata". Gorzej, że z pewnością kapitalizm w dzisiejszej postaci doprowadzi do zagłady ludzkości. Zasada „zysk ponad wszystko" ostatecznie zdemoluje naszą planetę, już dziś ledwo żywą. I na nic się zdadzą wszelkie „protokoły z Kioto" czy inne dokumenty, na nic klimatyczne deklaracje rządów. Na nic zaklęcia mówiące o „zielonym kapitalizmie".

Wszystko to czcza gadanina. Liczą się fakty. A te pokazują, że emisje szkodliwych substancji ciągle rosną. Rośnie też produkcja przemysłu odzieżowego – obok kopalnictwa minerałów i wydobycia ropy naftowej najbardziej szkodliwego na świecie. Kupujemy i wyrzucamy, wyrzucamy i kupujemy. Działalność, która musi doprowadzić gatunek ludzki do zagłady. Kłopot w tym, że nawet nie wiemy, co z tym wszystkim zrobić. Jak bowiem pisał brytyjski filozof Mark Fisher: „Łatwiej wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu". No właśnie. Nie ma dziś pilniejszego zadania niż stworzenie przekonującej i realistycznej wizji tego, jak powinien wyglądać świat po kapitalizmie.

Jeśli nie żądza zysku ma napędzać naszą gospodarkę, to co? W literaturze światowej jest wiele wskazówek, w którą stronę powinniśmy pójść. Jedno jest pewne – w dokładnie odwrotną, niż zmierza Dolina Krzemowa i jej libertarianistyczni władcy z Peterem Thielem i Elonem Muskiem na czele, marzący o władzy nad światem bez państw i jakiegokolwiek nadzoru nad rynkiem kapitalistycznym. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Czy demokraci odrobią republikańską lekcję?

Partia Demokratyczna ma sporą szansę na sukces, ale musi popracować nad tym, co nie działa



Mallory McMorrow, kandydatka Partii Demokratycznej w wyborach do Senatu, odpowiada na pytania mediów podczas stanowej konwencji wyborczej w Michigan. Detroit, 19 kwietnia 2026 r.

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Gdyby wybory połówkowe odbyły się za tydzień lub dwa, demokraci roznieśliby republikanów w pył. W kraju tak bardzo podzielonym jak obecna Ameryka o wyniku elekcji przesądzają wyborcy zarejestrowani jako „niezależni". Skłonni zmieniać sympatie partyjne nawet z kampanii na kampanię i – co niezwykle istotne – tworzący największy blok wyborczy, bo stanowią aż 40% amerykańskiego elektoratu.

Właśnie oni, wściekli na wojnę w Iranie, rosnące koszty życia i prezydenta, który nie tylko złamał większość obietnic wyborczych, ale też jawnie wykorzystuje swój urząd do bogacenia się, odpowiadają za to, że notowania Trumpa są tak kiepskie. W najnowszych sondażach popiera go już tylko 31% ankietowanych (American Research Group, 16-20 maja 2026).

A w polityce amerykańskiej jest niemal żelazną regułą, że partia urzędującego prezydenta, i to nawet jeśli jemu uda się zachować nienajgorsze poparcie (Obama w 2010 r. wciąż cieszył się sympatią 47% Amerykanów!), dostaje za jego pierwszej kadencji łomot w wyborach połówkowych. Amerykanie traktują je bowiem jako swoiste referendum na temat sprawczości nowego prezydenta, a że oceniają surowo, to pokazują jego partii czerwoną kartkę. W praktyce oznacza to utratę kontroli nad przynajmniej jedną izbą Kongresu.

W oczekiwaniu na niebieską falę

Polityczna i ekonomiczna koniunktura sprawiają obecnie, że demokraci w zasadzie nie muszą w tych wyborach zbytnio się wysilać. Wyborcy pokazują palcem ważne dla nich sprawy, a codzienne sytuacje same układają się w nośne hasła. „Ekonomia Trumpa wysysa z ciebie krew", mogliby śmiało głosić przedstawiciele demokratów i nie byłaby to żadna metafora. Amerykanom dzieje się już tak źle, że aby związać koniec z końcem, aż 200 tys. osób dziennie sprzedaje swoje osocze (informacja pochodzi z badań prof. Petera Jaworskiego z Georgetown University).

Powodów do optymizmu partia ma niemało. Choć jeszcze rok temu szczytem marzeń wydawało się odbicie w 2026 r. niższej izby Kongresu, dzisiaj coraz więcej ekspertów daje demokratom nadzieję na „niebieską falę", czyli przejęcie obu izb. Dlaczego? Bo oprócz wspomnianych szorujących po dnie notowań Trumpa solidnym probierzem wyborczych sympatii są wygrane demokratycznych kandydatów w niemal wszystkich wyborach specjalnych i lokalnych, jakie odbyły się od zeszłej jesieni. Przypomnijmy choćby zwycięstwo Zohrana Mamdaniego w wyścigu o fotel burmistrza

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Nowego Jorku czy Emily Gregory, która zdobyła mandat do stanowego Kongresu Florydy, i to z okręgu obejmującego Mar-a-Lago.

I wreszcie – większość republikańska w Senacie to tylko trzy mandaty, podczas gdy na mapie wyborczej pojawiło się aż pięć stanów, gdzie może dojść do wymiany przynajmniej jednego senatora republikańskiego na demokratycznego. Są to: Północna Karolina, Maine, Alaska, Ohio, a nawet Teksas. Sukces 37-letniego Jamesa Talarica, demokratycznego pastora podbijającego serca Teksańczyków, jest tak nieoczekiwany i budujący dla demokratycznej części Ameryki, że zaczyna się mówić, iż Talarico powinien myśleć o kampanii prezydenckiej w 2028 r.

Prognozy wyników kampanii politycznych, jeśli chodzi o szansę na przejęcie Senatu przez demokratów, też ostatnio zmieniły się z „raczej niemożliwe" na „50:50".

Odnaleźć tożsamość

Czy demokraci mogą więc już kupować szampana? Mogą i pewnie się nie zmarnuje. Pod jednym wszakże warunkiem. Muszą być świadomi, że jesienny sukces zależy od tego, czy już teraz zaczną pracować, i to w pocie czoła, nad tym wszystkim, co w partii nie działa. A nie działa niestety dużo. Mimo ostatnich zwycięstw demokraci jako partia mają mniejsze poparcie niż wojna w Iranie. Pozytywnie ocenia ich tylko 30% (NBC News, maj 2026), podczas gdy wojnę popiera 35,5% respondentów (Silver Bulletin, maj 2026).

Na pytanie, z jakiego powodu tak nisko punktują demokratów, Amerykanie w większości odpowiedzą bez zastanowienia: za ich porażkę w 2024 r. A szczególnie za to, jak fatalnie na nią zareagowali, bo ich przedłużająca się inercja pomogła Trumpowi przekształcić Kongres w osobisty dwór, a fotel prezydenta w cesarski tron.

Prawda jest jednak bardziej skomplikowana i niewygodna – zarówno dla demokratycznych elit, jak i dla demokratycznych wyborców. Demokraci zaczęli się dzielić i gubić tożsamość już za prezydentury Billa Clintona. Gdy nadeszła era Bidena, kryzys sięgnął zenitu, a fatalna decyzja Bidena o ponownym starcie tylko przyśpieszyła na lewicy moment ostatecznego zwątpienia we własne przywództwo.

Mówiąc wprost, na utratę wiarygodności w narodzie demokraci pracowali nie miesiącami, lecz latami. To dlatego gorycz jest dziś tak wielka, że obserwujemy zjawisko nazwane przez ekspertów „demokratycznymi punktami karnymi". Oznacza to, że jeśli np. propozycję reformy ekonomicznej przedstawia się Amerykanom jako wychodzącą od polityka niezależnego, oceniają ją nawet o kilkanaście punktów wyżej, niż gdy słyszą, że stoi za nią polityk demokratyczny (Labor Institute i Rutgers University, 2025).

Demokratyczni wyborcy wskazują dwie przyczyny rozczarowania partią. Pierwsza to złość, że jest tak nieskuteczna w walce z Trumpem, co jednocześnie stawia pod ścianą partyjne przywództwo. Wyborcy postrzegają je jako towarzystwo wzajemnej adoracji, desperacko utrzymujące status quo, mimo że od dawna nic nie działa ani ideowo, ani strukturalnie. Ideowo, bo zdaniem wyborców partia wciąż nie otrząsnęła się z „całego tego wokeizmu". Strukturalnie – bo nadal obowiązuje w niej scentralizowany sposób premiowania kandydatów, których dobiera się pod kątem zaplecza finansowego, a nie realnej popularności wśród wyborców.

O wyniku elekcji przesądzają dziś wyborcy zarejestrowani jako „niezależni", stanowiący aż 40% amerykańskiego elektoratu.

Żenująca, ale symptomatyczna dla tego sposobu myślenia była postawa przywódcy demokratycznego w Senacie, Chucka Schumera (75 lat), który niemal do ostatniej chwili nie udzielił poparcia nowicjuszowi Zohranowi Mamdaniemu. Podobnie ignorował Grahama Platnera, jedną z najjaśniejszych gwiazd w tegorocznych demokratycznych prawyborach do Kongresu, kandydata na senatora z prowincjonalnego – dlatego tym trudniejszego do zdobycia przez demokratów – stanu Maine. Wyciągnął do niego rękę ze wsparciem dopiero wtedy, gdy „nieznany Platner" wygrał prawybory z „rozpoznawalną" Janet Mills, wieloletnią gubernatorką stanu Maine.



eprasa.pl cc4bb0ecd4

Przyczyna druga to powszechne na lewicy poczucie, że… właściwie nie wiadomo, czym dzisiejsza Partia Demokratyczna jest. Nie tylko nie wie, co popiera, ale nawet czego nie popiera. To rażący kontrast z ruchem MAGA, którego publiczny wizerunek kształtuje właśnie precyzyjna świadomość tego, o co i przeciw komu toczy się walka.

Silne poczucie tożsamości nie tylko jest dla MAGA pochodnią oświetlającą drogę, ale też daje odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie w czerwonych czapeczkach wiernie trwają przy swoim liderze. Trumpa popiera obecnie tylko nieco ponad połowa elektoratu identyfikującego się jako republikanie, ale wewnątrz MAGA to ciągle trzech na czterech wyborców.

Odrobić lekcje

Demokratyczni stratedzy bez ogródek mówią o tym, że demokraci największą przysługę oddadzą sobie i swoim wyborcom, jeśli zaczną się uczyć od rywali. MAGA może i wygląda na samonapędzający się ruch wyrastający ze szczerych potrzeb i nadziei, ale prawda jest taka, że za jego sukcesem od początku stoi przemyślana, długofalowa strategia działania, od której republikanie po prostu odcinają kupony.

Co mają republikanie, a czego brakuje demokratom? Prof. Hahrie Han, politolożka, badaczka demokracji z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa i autorka książek o politycznym aktywizmie, uważa, że republikanie mają przede wszystkim organizację, a nie wyłącznie mobilizację. Różnica między tymi pojęciami jest zasadnicza. Mobilizacja, jak wyjaśnia Han, jest wyłącznie „transakcyjna". To strategia aktywizująca ludzi już zmotywowanych do działania, bez próby rozwijania ich możliwości. Organizacja tymczasem jest „transformacyjna", bo inwestuje w członków, budując ich motywację, umiejętności i zdolności do dalszego działania i przywództwa („How Organizations Develop Activists: Civic Associations and Leadership in the 21st Century", 2014).

Czy Han ma rację? Popatrzmy. W ubiegłym roku demokraci kilkukrotnie poderwali swoich wyborców do działania, wysyłając ich na imponujące skalą protesty pod hasłami „Hands Off" oraz „No Kings". Był to książkowy przykład mobilizacji i zgodnie z teorią Han nic z tego nie wynikło. Nie pomogło to demokratom stworzyć nowych punktów informacji wyborczej, wolontariatu czy rejestracji wyborców – bo nie tędy droga. „Transakcje" były tu jednorazowe, w dodatku działanie ograniczało się do aktu zbiorowego upustu emocji.

Ostatni raz z szeroko zakrojonymi wysiłkami organizacyjnymi mieliśmy do czynienia na amerykańskiej lewicy za pierwszej kampanii prezydenckiej Obamy. Była skuteczna, nowatorska i doczekała się własnej nazwy: ruch grassroot, oddolny, działający „u korzeni trawy". Jej znakiem rozpoznawczym stały się legiony wolontariuszy.

Sukces Jamesa Talarica, demokratycznego pastora podbijającego serca Teksańczyków, jest tak budujący, że mówi się nawet o kampanii prezydenckiej w 2028 r.

Gorzką ironią jest fakt, że o wiele skuteczniejsi w organizowaniu swoich wyborców republikanie przejęli strategię właśnie od sztabu Obamy, po drodze oczywiście ją udoskonalając. Działać zaczęli już w roku 2009. Powołali wówczas do życia nadal niezbyt znaną organizację The Faith and Freedom Coalition (FFC), która funkcjonuje na podobieństwo franczyzy. Werbuje i wspiera finansowo aktywistów chętnych do otwierania lokalnych oddziałów, ale pozostawia im dużą swobodę, bo przecież to oni najlepiej znają swoje społeczności i wiedzą, jak z nimi pracować. FFC od początku nastawiła się na aktywizację bazy religijnej, współpracuje więc przede wszystkim z kościołami, ale tak naprawdę nie przegapi żadnej okazji. Chętnie rozstawia swoje namioty i wykłada biuletyny informacyjne na targach broni, wiejskich festynach, dniach miast. Trump, jak twierdzi Ralph Reed, założyciel FFC, wygrał wybory w 2016 r., bo FFC zaktywizowała religijną bazę Ameryki w sposób nieoglądany od czasów Ronalda Reagana.

Identycznie, lecz namierzając kampusy uniwersyteckie, a nawet licea, działa założona przez Charliego Kirka organizacja Turning Point USA (TPUSA). Do historii TPUSA przeszła opowieść, jak to Kirk w ramach szkolenia z zakresu organizacji politycznej miał w zwyczaju wysyłać wszystkim książkę współautorstwa wspomnianej już Hahrie Han „Groundbreakers: How Obama's 2.2 Million Volunteers Transformed Campaigning in America", po to by uczestnicy uczyli się z niej abecadła efektywnej organizacji.

Sarah Longwell, republikańska strateg i wydawczyni serwisu The Bulwark, przypomina też, że na sukces republikańskiej strategii grassroot działała od 2016 r. idea szeroko otwartych drzwi. Przynajmniej tak to na pierwszy rzut oka wyglądało. „Aktywiści i koordynatorzy wykonali fantastyczną robotę, bo zapraszali do siebie każdego, kto tylko chciał włożyć na głowę czerwoną czapeczkę. Jedynym wymogiem było uznanie, że Trump jest wspaniały", wyjaśniała w artykule autorstwa Charlesa Duhigga dla magazynu „The New Yorker" („What MAGA Can Teach Democrats About Organizing – and Infighting", 26 stycznia 2026).

Nie bać się rewolucji

Lekcja druga dotyczy metod komunikacji z wyborcami. Eksperci są zdania, że demokraci przespali sprawę mediów społecznościowych, w których zaistnieli z większym przytupem dużo później niż republikanie). Przede wszystkim przegapili zaś krytyczną dla komunikacji, zwłaszcza z młodszymi pokoleniami, instagramizację politycznego przekazu.

O co tu chodzi? Emily Amick, polityczna influencerka, prawniczka i współautorka bestsellera „Democracy in Retrograde: How to Make Changes Big and Small in Our

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Country and in Our Lives" („Demokracja w odwrocie. Jak wprowadzać zmiany, duże i małe, w kraju i w życiu"), wyjaśnia, że to rewolucja najważniejsza od dekad – definiująca czasy, w jakich żyjemy. Podczas gdy demokraci wciąż namaszczają na swoich rzeczników członków partyjnej wierchuszki – podstarzałych nudziarzy wędrujących po tradycyjnych mediach i opowiadających o polityce wprost oraz tym samym językiem, jakiego używali 20 lat temu – megafonami republikanów już od dłuższego czasu są młodzi i atrakcyjni influencerzy budujący zasięgi w mediach społecznościowych.

Szczególnie istotny jest fakt, podkreśla Amick, że przypadkowi odbiorcy, którym algorytm podsuwa kontent, na początku nawet się nie orientują, że stoją za nim odpowiednio przeszkoleni republikańscy stratedzy. Po pierwsze, dlatego że wszyscy obowiązkowo pozują na nadawców niezależnych i działających wyłącznie na własne konto – a to kluczowe czynniki budowania wiarygodności w czasach, gdy ludzie uciekają na sam dźwięk słowa polityka. Po drugie – bo z zasady są twórcami treści kulturowych i lajfstajlowych, angażujących odbiorców wizualnie i emocjonalnie. Przekaz polityczny pojawia się na tych profilach wyłącznie jako didaskalia, w łatwo przyswajalnej formie i po mistrzowsku wpleciony między dobre rady, jak żyć, wyglądać oraz co podawać rodzinie na obiad. Może to wyglądać tak, że podpowiadając matce, co kupić dziecku na urodziny, nadmienią mimochodem, że miliony dzieci żadnych urodzin obchodzić nie będą, bo nie było im dane się urodzić. Z kolei polecając majsterkowiczowi markę wiertarki, przypomną, ile w ostatnich dekadach w USA zamknięto fabryk i że stoją za tym demokratyczni globaliści, którzy na dodatek blokują wysiłki na rzecz rewitalizacji przemysłowej kraju.

„Nie jest nowością, że polityka to dziś przede wszystkim wojna kulturowa. Nowe jest to, że w dzisiejszym klimacie medialnym i społecznym polityka musi wypływać z kultury, być jej pochodną", wyjaśnia Emily Amick. „Prawica buduje więc ekosystem influencerów świadomie, jako infrastrukturę, i traktuje to jako projekt długofalowy. Do demokratów, z drobnymi wyjątkami, takimi jak Zohran Mamdani czy Alexandria Ocasio-Cortez, potrzeba takiego działania wciąż nie dotarła" („What Democrats could learn from the GOP", WBUR, 11 maja 2026).

Amick przypomina i alarmuje, że instagramizacja przekazu politycznego działa szczególnie dobrze na kobiety – to tłumaczy, dlaczego widzimy obecnie trendy „uprawicowienia" kanonów mody, urody i całej kultury. I dlaczego tak się dzieje, mimo że na prawicy rosną w siłę frakcje otwarcie mizoginistyczne, a nawet skrzydło postulujące odwołanie 19. poprawki, która, wchodząc w życie w 1920 r., dała Amerykankom prawo do głosowania.

Przed startem prawyborów w styczniu br. Chuck Schumer i lider demokratów w Izbie Reprezentantów Hakeem Jeffries uzgodnili, że wspólną strategią wyborczą dla demokratów ma być referendum w sprawie kosztów życia w duchu hasła „Przywróćmy Ameryce przystępność cenową" („Make America Affordable Again"). Aluzja do MAGA jest oczywista, podkreśla też priorytety partii – trzeba rzucić wszystkie siły tam, gdzie można coś ugrać na antytrumpowym sentymencie wśród wyborców.

Na początku maja stacja CBS News wyemitowała wywiad z Pamelą Shifman, szefową i doradczynią strategiczną demokratycznych darczyńców Democracy Alliance (DA), w którym Shifman opowiedziała o planach współpracy DA z twórcami kontentu online. DA chce w nich zainwestować kilkadziesiąt milionów dolarów. Na pytanie, kiedy to nastąpi, Shifman odpowiedziała, że nie wiadomo, ale pewnie niebawem („Democratic donors recruit influencers in midterm push", 7 maja 2026).

Czy demokraci zdążą na czas odrobić swoje lekcje? Odpowiem optymistycznie. Nie wiadomo, ale może zabiorą się do tego niebawem.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Demokraci zaczęli się dzielić i gubić tożsamość już za prezydentury Clintona. Gdy nadeszła era Bidena, kryzys sięgnął zenitu.



eprasa.pl cc4bb0ecd4

Jakub Katulski



Ben-Gwir nie jest twarzą Izraela

Bezkarność ministra w rządzie Beniamina Netanjahu

Kontrowersyjny minister Itamar Ben-Gwir bywa nazywany „izraelską wersją Grzegorza Brauna". Rzeczywiście panowie mają ze sobą wiele wspólnego, szczególnie opieranie polityki na ksenofobicznym nacjonalizmie i religijności oraz happeningowy styl działania. Może nawet znaleźliby wspólny język, gdyby Braun nie osadził swoich przekonań na fundamencie spiskowego antysemityzmu, co zamyka drogę do rozważań o sojuszu z izraelską skrajną prawicą.

Najważniejszą różnicę stanowi jednak to, że Braun jest europosłem opozycji ściganym za swoje wybryki po sądach, a Ben-Gwir nie tylko przewodzi jednej z koalicyjnych partii w Izraelu, lecz także jest ministrem bezpieczeństwa narodowego w rządzie Beniamina Netanjahu i najwyraźniej może sobie pozwolić na wszystko, włos mu z głowy nie spadnie.

Porwanie aktywistów

Gdy izraelscy żołnierze zatrzymali na wodach międzynarodowych łodzie Global Sumud Flotilla, Itamar Ben-Gwir pojawił się wśród aresztowanych aktywistów, szydził z nich i nagrywał materiały wideo skrojone pod gust izraelskiej skrajnie prawicowej publiki. Poniżanie przez prawicowego polityka i jego świtę zmuszonych do klęczenia aktywistów, zakutych w kajdanki, popychanych przez izraelskich mundurowych, może skłaniać do rozważań, czy Izrael nie złamał konwencji ONZ w sprawie zakazu stosowania tortur (a od lat jest oskarżany o stosowanie tortur wobec Palestyńczyków przebywających w izraelskich więzieniach).

Wydarzenie to wzburzyło międzynarodową opinię publiczną – we flotylli płynęło wielu obywateli krajów europejskich, w tym Polacy. Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski szybko wezwał izraelskiego chargé d'affaires do złożenia wyjaśnień i podkreślił, że nie ma zgody Polski na takie traktowanie jej obywateli. Nie wszystkim ta reakcja się spodobała – komentarze internetowe z jednej strony podkreślają, że Sikorski zbyt łagodnie podszedł do sprawy i zbyt późno zdecydował się na działanie, zwłaszcza że doniesienia o łamaniu praw człowieka przez Izraelczyków docierają do nas bez przerwy od końca 2023 r.

Druga strona przekonuje, że Izrael ma prawo do zatrzymywania osób, które łamią legalną blokadę morską (choć jej legalność jest kwestią dyskusyjną – międzynarodowi prawnicy od lat dyskutują o tym, czy okupant może dokonać blokady terytorium okupowanego; par. 104 Podręcznika z San Remo, najważniejszego dokumentu określającego stosowanie prawa międzynarodowego w konfliktach zbrojnych na morzu, nakazuje państwu prowadzącemu blokadę dopuszczenie statków ze środkami medycznymi dla ludności cywilnej lub rannych i chorych członków sił zbrojnych, a par. 103 nakazuje zapewnienie swobodnego przepływu statków z żywnością).

Ruchy pozorowane polskiego MSZ

Polski rząd postanowił podjąć kroki wyglądające na radykalne, ale w istocie raczej groteskowe. MSZ złożyło do MSWiA wniosek o zakazanie ministrowi Ben-Gwirowi wjazdu na terytorium Polski. Sytuacja jest kuriozalna, bo nic nie wskazuje na to, by Ben-Gwir był zainteresowany

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gwir otoczony zwolennikami skrajnej prawicy podczas świętowania Dnia Jerozolimy, 14 maja 2026 r.

przyjazdem do Polski w najbliższej przyszłości. A mógłby wręcz poczuć się do przyjazdu zachęcony.

Pamięta się w Izraelu, że w styczniu 2025 r. rząd na prośbę prezydenta Andrzeja Dudy podjął uchwałę o zapewnieniu Beniaminowi Netanjahu swobodnego wjazdu do naszego kraju i zagwarantowaniu, że nie zostanie on aresztowany, jeśli zdecyduje się przyjechać na obchody rocznicy wyzwolenia byłego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i ośrodka zagłady KL Auschwitz.

Bibi ostatecznie z tej gwarancji nie skorzystał. W Izraelu jednak odnotowano, że polskie władze cenią spokój ducha Netanjahu bardziej niż zobowiązania wynikające z członkostwa w Międzynarodowym Trybunale Karnym, który wydał nakaz aresztowania izraelskiego premiera oskarżonego o zbrodnie wojenne. Czy zatem Itamar Ben-Gwir nie zechce sprawdzić, jak bardzo Sikorski ceni swoje słowa?

Takie zachowania dla Itamara Ben-Gwira są chlebem powszednim. Zrobił karierę, bo w 1995 r. podczas wywiadu telewizyjnego groził śmiercią premierowi Icchakowi Rabinowi w ramach „protestu" przeciwko trwającemu wówczas izraelsko-palestyńskiemu procesowi pokojowemu, przez część prawicy uznawanemu za zdradę stanu. Niedługo później zresztą Icchak Rabin został zabity przez wywodzącego się z tego samego co Ben-Gwir środowiska politycznego Jigala Amira, studenta prawa na Uniwersytecie Bar-Ilana.

Po śmierci premiera Rabina Ben-Gwir kontynuował karierę aktywistyczną, a ze względu na działalność w skrajnie prawicowych partiach Moledet, Kach i Kahane Chaj oraz nawoływanie do wypędzenia Arabów z terytorium Izraela czy występowanie z transparentami z hasłem „Śmierć Arabom" ściągnął na siebie liczne zarzuty prawne. Partie Kach i Kahane Chaj zostały zresztą w Izraelu zdelegalizowane jako ugrupowania terrorystyczne. Ben-Gwir przez związki z nimi miał po zakończeniu studiów prawniczych problem z przystąpieniem do egzaminów zawodowych.

Decyzję jednak po kilku apelacjach zmieniono, a Ben-Gwir jako adwokat zaczął reprezentować przede wszystkim środowiska związane z ruchem osadniczym, w tym tzw. młodzież ze wzgórz – religijnych syjonistów. Znani są z budowania nielegalnych osiedli na terytoriach palestyńskich, w tym na prywatnych ziemiach należących do rodzin arabskich, jak również z atakowania pasterzy czy niszczenia gajów oliwnych, z których żyją palestyńskie rodziny.

Itamara Ben-Gwira i Grzegorza Brauna wiele łączy, szczególnie opieranie polityki na ksenofobicznym nacjonalizmie i religijności oraz happeningowy styl działania.

Kiedy Ben-Gwir założył partię Ocma Jehudit (Żydowska Siła), okazała się ona duchową spadkobierczynią zdelegalizowanych ugrupowań kahanistycznych. On sam osiągnął o wiele więcej – został ministrem bezpieczeństwa narodowego w rządzie Beniamina Netanjahu, odpowiadającym m.in. za działania policji. To o tyle kuriozalne, że sam ma bogatą kartotekę kryminalną, a ze względu na sympatie polityczne i zarzuty Siły Obrony Izraela zwolniły go z obowiązku odbycia służby wojskowej, dotyczącego niemal wszystkich Żydów w Izraelu.

Prawicowe społeczeństwo

Ben-Gwir cieszy się sporą sympatią izraelskiej skrajnej prawicy, zwłaszcza w środowiskach osadniczych, które z roku na rok rosną w siłę. Dowodzenie, że jest przypadkiem wyjątkowym, że nie można go postrzegać jako twarzy Izraela – jest zwyczajnie nieuczciwe intelektualnie. Chociaż ściągnął na Izrael międzynarodową krytykę, a najnowsza afera związana z Global Sumud Flotilla sprawiła, że ponoć otrzymał reprymendę od Netanjahu, który „zdystansował się" od wyczynów swojego ministra – Itamar Ben-Gwir pozostaje na stanowisku i nie ponosi żadnych konsekwencji. Co więcej, w izraelskich mediach społecznościowych, a także w dyskusjach w środowiskach proizraelskich popularne jest przekonanie, że w istocie wyszydzanie aresztowanych aktywistów to „nic takiego".

Problemem w Izraelu nie jest dzisiaj sam Itamar Ben-Gwir. Jest nim społeczeństwo karmione kultem siły, wiarą we własną wyjątkowość, przekonane o tym, że „nigdy więcej" oznacza wyłącznie „nigdy więcej nam", a nie „nigdy więcej wszystkim". Pozwalające na funkcjonowanie takich postaci w polityce i nierozliczające władzy, która te działania legitymizuje.

Przekonanie o tym, że premier Netanjahu nie ma wyjścia i musi zezwalać Ben-Gwirowi na swobodę, bo w przeciwnym razie koalicja może się rozpaść, nie sprawia, że jego postępowanie staje się choć odrobinę bardziej usprawiedliwione. W istocie, kiedy wiadomo, że broniący się w licznych procesach korupcyjnych Beniamin Netanjahu ma ograniczone możliwości koalicyjne, więc jego przyszły rząd najpewniej składać się będzie z tych samych ugrupowań, które tworzą go dzisiaj, zwolennicy premiera muszą zdawać sobie sprawę z tego, że głosują jednocześnie na Ben-Gwira.

Co gorsza, w dzisiejszym Izraelu nie ma realnej politycznej alternatywy. Jeśli dojdzie do zmiany władzy, krajem wciąż będzie rządzić prawica, która coraz bardziej przesuwa granice akceptowalnych zachowań. Dzisiejszy Izrael nie widzi bowiem innego rozwiązania swoich regionalnych problemów niż występowanie z pozycji siły. Ben-Gwir nie jest przyczyną tego problemu. Jest jego symptomem. ■

eprasa.pl cc4bb0ecd4

22 piłkarzy, a wokół pustka

Mundial wzbudza olbrzymie zainteresowanie, choć ze sportem ma niewiele wspólnego

Mateusz Mazzini

Pod wieloma względami będzie to po prostu kulminacja procesów, które w futbolu zachodzą od dekad. Po pierwsze, kalendarz rozciągnięty do granic fizycznych możliwości zawodników. W tym roku po raz pierwszy w historii turnieju zagrają aż 64 drużyny, dwa razy więcej niż dotychczas. To oznacza nie tylko więcej meczów, ale także obciążenia wynikające z nieustannych podróży. A będą one częste i uciążliwe, bo tegoroczny mundial będzie też pierwszym rozgrywanym jednocześnie w trzech krajach: Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Meksyku. To już nie będą krótkie loty czarterowe albo przejazdy autobusem z jednego do drugiego miasta we Francji, we Włoszech czy w Niemczech. Raczej podróże o skali kontynentalnej, bo mundialowa mapa obejmuje cały kontynent.

A że już teraz, w czasie sezonu klubowego, trwającego w Europie od sierpnia do połowy maja, piłkarze są ogromnie obciążeni, tego, co czeka ich latem, nie powinien zazdrościć nikt. Nawet pamiętając o wielomilionowych apanażach.

Ma być po amerykańsku

Jeszcze kilkanaście lat temu, uśredniając, najlepsi piłkarze na świecie grali w sezonie maksymalnie 50 spotkań, a i to przy założeniu, że nie są kontuzjowani, nie unikają powołań do kadry, a trenerzy nie dają im ani razu odpocząć. Rytm był zresztą dość przewidywalny. Co weekend mecze w lidze krajowej – bywało ich nieco ponad 30. Najskuteczniejsze drużyny dokładały do tego środtygodniowe mecze w europejskich pucharach, ale przecież mało kto dochodzi w nich do samego końca, więc nawet najlepsi dorzucali może 10 meczów z tej puli. Do tego kilka występów w reprezentacji i można jechać na wakacje.

Teraz ligi europejskie są większe, formaty pucharów na kontynencie zostały analogicznie do mundialu rozciągnięte, stworzono nowe rozgrywki międzypaństwowe w stylu europejskiej Ligi Narodów. W rezultacie liderzy zespołów grają już regularnie po 65-70 meczów w jednym kilkumiesięcznym cyklu.

Laikom niezaznajomionym z dynamiką i logistyką tego sportu może to się wydać nic nieznaczącym szczegółem, ale oznacza doprowadzenie organizmu na skraj wydolności. Zawodowi piłkarze najwyższego szczebla przebiegają w ciągu 90 minut 8-10 km. Po meczu, kończącym się z reguły późno wieczorem, muszą przejść regenerację i albo wrócić do domu, albo pakować się do samolotu powrotnego, często lecącego do innej strefy czasowej. W przypadku amerykańskiego mundialu będzie to jeszcze inny klimat. Mecze odbędą się w miejscach tak skrajnie różnych jak kanadyjskie Vancouver, Miami na Florydzie czy meksykańska Guadalajara. Następnego dnia czeka ich trening, zapewne więcej niż jeden w ciągu doby.

Biorąc pod uwagę obciążenia, zaburzenia snu, reakcję na zmiany klimatu i odkładające się w nogach zmęczenie z sezonu z 60 meczami granymi co trzy dni, łatwo się domyślić, że wygra ten, kto będzie miał najszerszą kadrę i najmniej kontuzjowanych zawodników. Pedri, gwiazda dzisiejszej FC Barcelony i reprezentacji Hiszpanii, w sezonie 2020-2021 zagrał aż 73 mecze pomiędzy klubem, reprezentacją i kadrą olimpijską. Tylko po to, żeby po paryskich igrzyskach natychmiast rozpocząć kolejny sezon. Nikogo nie powinien więc dziwić fakt, że od czasu ukończenia tego maratonu piłkarz odniósł do dziś aż 12 kontuzji mięśniowych, czyli wynikających głównie z przeciążenia konkretnych partii organizmu.

Powód tego absurdalnego rozdmuchania piłkarskich turniejów jest banalny. Więcej drużyn to więcej meczów i więcej transmisji, ergo większy zysk ze sprzedaży praw telewizyjnych. Co prawda, prezes FIFA, Włoch Gianni Infantino z lubością opowiada historyjki „o powiększaniu globalnej piłkarskiej rodziny", dzięki czemu na mundialu zadebiutuje drużyna Curaçao czy ekipa Uzbekistanu, ale nikt chyba mu już nie uwierzy. Kontrowersyjny, lubiący luksus, zbratany z niejednym autokratą tego świata Infantino od dawna dąży do systemowej amerykanizacji najbardziej europejskiego ze sportów. Masowe dodawanie nowych spotkań jest tylko jednym z elementów tego procesu.

Prezes FIFA od dawna dąży do systemowej amerykanizacji najbardziej europejskiego ze sportów.

Drugim jest zamiana stadionów piłkarskich w sale koncertowe, a samego sportu w wydarzenie z dziedziny show-biznesu. W tym roku po raz pierwszy w historii mundialu odbędzie się tzw. halftime show, czyli występ muzyczny w przerwie finałowego spotkania. To manewr znany z Super Bowl, ostatecznego starcia w lidze futbolu amerykańskiego. Tyle że tam istniał od zawsze, wybór artysty jest szeroko komentowany,

eprasa.pl cc4bb0ecd4



ceny reklam idą gwałtownie w górę, a czasami z tego, co się dzieje na Super Bowl, artyści robią manifest polityczny jak w tym roku portorykański raper Bad Bunny, apelujący o latynosko-amerykańską jedność w swojej wyliczance państw półkuli zachodniej.

Piłka nożna była dotychczas wolna od takich atrakcji. W opinii zdecydowanej większości kibiców występ muzyczny w przerwie jest zbędny. Wprawdzie od jakiegoś czasu przed finałami europejskiej Ligi Mistrzów też występują gwiazdy pop, ale to dzieje się przed pierwszym gwizdkiem i ma raczej formę gali wieńczącej sezon na Starym Kontynencie. Dua Lipa śpiewająca w Kijowie przed triumfem Realu Madryt to co innego niż Madonna, Shakira i koreański zespół BTS w przerwie meczu, gdy dwie najlepsze drużyny narodowe będą się koncentrować na tym, kto i jak ma realizować założenia taktyczne.

Makdonaldyzacja mistrzostw

Sam fakt zaplanowania mundialu głównie w USA spowoduje, że turniej ulegnie makdonaldyzacji. Będzie jak w amerykańskich ligach zawodowych, z NBA na czele. Konkursy dla fanów, pokazy cheerleaderek, słynna „kiss cam" wymuszająca na siedzących na trybunach parach publiczne pocałunki. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że w krajach tradycyjnie zainteresowanych piłką nożną pomysł ten został przyjęty z wściekłością i obrzydzeniem. Wystarczy wejść na pierwsze lepsze forum kibicowskie we Włoszech, Anglii czy Niemczech, żeby zrozumieć, że większość kibiców po prostu tych zmian nie chce.

Infantino jest jednak na to głuchy, bo kusi go wizja przeniesienia środka ciężkości światowego futbolu tam, gdzie są ogromne pieniądze i jeszcze niezagospodarowane rynki. Z tego względu przy organizacji poprzednich mistrzostw świata kompletnie zignorował gniew globalnej opinii publicznej skierowany pod adresem ich gospodarza – Kataru. Nie jest tajemnicą, że przy budowie stadionów i innych obiektów potrzebnych na tamte mistrzostwa ginęły dziesiątki migrantów, a mała monarchia z Zatoki Perskiej nie przestrzega praw człowieka, nie uznaje wolności słowa czy innych przywilejów obywatelskich. Dla szefa FIFA to informacje zbędne, liczyło się poszerzanie mapy jego wpływów, przyciąganie arabskich petrodolarów do futbolu i zamiana sportu w cyrk.

W tym stwierdzeniu również nie ma większej przesady, bo wielu fanów z krajów mocnych piłkarsko nie było stać na podróż do Kataru, inni nie chcieli jechać z powodów politycznych, żeby nie legitymizować swoją obecnością tzw. sportwashingu, czyli wykorzystywania przez dyktatorski reżim popularnego sportu do wybielania się.

Tym razem nie będzie lepiej, bo Stany Zjednoczone, główny gospodarz tegorocznego turnieju, pod rządami administracji Donalda Trumpa w szybkim tempie idą w ślady katarskich monarchów. USA pędzą na złamanie karku w kierunku autorytaryzmu, a polityka imigracyjna rządu federalnego i ogólnospołeczny stosunek do obcokrajowców – zwłaszcza z krajów afrykańskich, latynoskich czy azjatyckich – pogarszają się. Kraj ulega stopniowej faszyzacji właśnie na poziomie społecznym,

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl cc4bb0ecd4

bo politycy spod znaku MAGA zatruwają debatę publiczną, internet i tradycyjne media przekazem otwarcie rasistowskim, religijno-nacjonalistycznym, pełnym nienawiści.

Najlepiej chyba widać to na przykładzie reprezentacji Iranu, tradycyjnie jednej z najsilniejszych piłkarsko w całej Azji. Iran zakwalifikował się na mundial, oficjalnie ma w nim wziąć udział, ale nikt nie wie, jak miałoby to wyglądać. Między Waszyngtonem a Teheranem trwa wojna, prezydent USA na swojej platformie internetowej regularnie drwi z proroka Mahometa (nawet jeśli robi to nieświadomie), a amerykańscy nacjonaliści, z szefem Pentagonu Pete'em Hegsethem na czele, budują wokół wojny w Zatoce narrację zderzenia cywilizacji, wojny praktycznie religijnej.

A przecież Iran to niejedyna reprezentacja kraju, gdzie większość mieszkańców wyznaje islam. Na mistrzostwa świata po czterech dekadach wraca Irak, kolejny kraj zdewastowany przez amerykańskie działania wojenne. Napływu fanów z tych dwóch państw nie należy się spodziewać. Inna sprawa, że Trump czy Marco Rubio i tak by ich nie wpuścili na terytorium USA.

Organizacyjna panika

Nie trzeba jednak pochodzić z miejsca uznawanego za wrogie amerykańskiej cywilizacji, żeby obawiać się tego, do czego może dojść na amerykańskiej granicy. Cały ubiegły rok upłynął pod znakiem opowieści o dziennikarzach, aktywistach, nawet politykach z innych krajów czy zwykłych obywatelach, których nie wpuszczano do Stanów, przetrzymywano w aresztach albo którym skanowano telefony, ściągając całą ich zawartość na państwowe twarde dyski. Nie każdy chce przez to przechodzić, nie każdy chce ryzykować konieczność natychmiastowego powrotu z powodu wpisu w mediach społecznościowych, które sprawdzą mu agenci Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego albo straż graniczna. Nie każdy kocha futbol tak bardzo, żeby znosić kilkanaście dni w pełzającej dyktaturze.

To pokazują zresztą twarde dane. Według informacji stacji CNN tylko w ubiegłym roku liczba turystów w USA zmniejszyła się o 5,5%, czyli o 3,9 mln osób. Ten rok nie jest lepszy, trend się utrzymuje, co stawia FIFA i amerykańskich organizatorów turnieju w bardzo trudnym położeniu. W połowie maja Henry Bushnell z „New York Timesa" postanowił na podstawie publicznie dostępnych danych i deklaracji samego Infantina przeliczyć stan dystrybucji biletów na mecze mundialowe. Włoch twierdzi, że na 104 mecze tegorocznego turnieju łącznie dostępnych jest ok. 7 mln wejściówek, co najpewniej jest liczbą przesadzoną.

Bushnell jednak proponuje, żeby na potrzeby tej analizy przyjąć za prawdę hurraoptymizm szefa światowej federacji. W ostatnich dwóch latach w pierwszych dwóch turach sprzedaży fani nabyli łącznie 2 mln biletów. Potem FIFA uruchomiła loterię, co dla Infantina też było powodem do dumy, twierdził bowiem, że na konto jego organizacji wpłynęło ponad pół miliarda zgłoszeń. Łatwo więc policzyć, że wystarczyłoby przyznać wejściówki co setnej osobie starającej się o nie i FIFA miałaby problem z głowy. Tak się nie stało, loteria przyniosła zysk ze sprzedaży jedynie ok. 1 mln biletów. Co oznacza, że dwa miesiące przed rozpoczęciem największego turnieju piłkarskiego czterolecia, w dodatku rekordowego pod względem rozmiaru, liczącego 40 meczów więcej niż poprzednia edycja, rozeszła się raptem połowa dostępnych wejściówek.

To już nikogo nie śmieszy, bo amerykańskie media regularnie raportują o panice wśród organizatorów, zwłaszcza odpowiedzialnych za część turnieju rozgrywaną w USA. Marazmowi wśród fanów w dużym stopniu winny jest klimat polityczny i z tym w przededniu mistrzostw trudno cokolwiek zrobić. Większym problemem wydają się jednak relatywnie wysokie ceny wejściówek. Co widać było na przykładzie loterii. To, że ktoś wylosował prawo zakupu zestawu biletów, nie znaczy, że zdecydował się wydać na nie pieniądze. A wydać musiałby niemało.

Magazyn „Time" przygotował zestawienie cen, wklejając je w szerszy kontekst gospodarczy. Najdroższe wejściówki – 11,5 mln dol. za sztukę, loża VIP na finale – można zignorować, bo niewiele mówią o sytuacji ogólnej. Ale już 1,3 tys. dol. za miejsca ze słabą widocznością na takim szlagierze, jakim będzie mecz Szkocji z Haiti? 2 tys. dol. za najtańszy bilet na amerykańskie otwarcie turnieju, mecz gospodarzy z Paragwajem? 9,2 tys. dol. za najtańszy bilet na finał? Nic dziwnego, że w 80% miast goszczących mecze mundialowe liczba miejsc zarezerwowanych w hotelach, jak informuje „Time", jest „sporo niższa od oczekiwanej".

Sytuacja raczej już się nie zmieni, nawet mimo interwencji polityków. Lewicowy burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani wynegocjował dla mieszkańców miasta bilety za kilkaset dolarów, ale to jedna lokalizacja. Wszędzie indziej trybuny najpewniej będą w połowie puste. I nie ma co się dziwić – fani futbolu chcą bowiem oglądać futbol, a nie produkt piłkopodobny.

Mateusz Mazzini

Pierwszy raz w historii mundialu odbędzie się halftime show, czyli występ muzyczny w przerwie finałowego spotkania, jak w Super Bowl.

Burmistrz Nowego Jorku wynegocjował dla mieszkańców miasta bilety za kilkaset dolarów.

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Z mądrością i godnością o głupocie

Jak przeuroczą okolicznością jest to, że niewielka objętościowo książeczka o głupocie wpada mi właśnie w ręce. Kryterium objętości jest w przypadku tej konkretnej tematyki ważne, za dużo o głupocie grozi rozmyciem tematu, osunięciem się w wodolejstwo – nie daj boże utonąć w zalewie słów tworzących morze głupot.

Książka Carla. M. Cipolli „Podstawowe prawa ludzkiej głupoty" unika raf pisania i takiego mówienia o głupocie, które może wychynąć ze zbędnego wielosłowia. Przebogata i wielowiekowa jest tradycja traktowania głupoty z niejaką powagą, poczynając od platońskich dialogów, przez greckie komedie i tragedie, po renesansową „Pochwałę głupoty" Erazma z Rotterdamu, który z mistrzowską wprawą kręcił retoryczne bączki: „Wiedziałam, że między wami żadnego nie ma do tego stopnia rozumnego albo raczej głupiego, owszem, słusznie mówię tak dalece mądrego, by innego był zdania. Stoicy nawet, chociaż przed gminem tysięcznymi potwarzami okrywają i poniewierają rozkosz, a podobno dlatego, aby odstręczywszy drugich, tym pewniej samym jednym nią się napawać i w niej rozpływać, chociaż mówię, starannie ukrywają swój do niej niepokonany pociąg, dziwna wszakże, jak w niej smakują. Niechże mi proszę powiedzą, któraż pora życia bez przyprawy rozkoszy, to jest głupstwa, nie jest nudna, smutna, przykra, ba, nawet nieznośna? A chociaż w tej mierze najlepszym jest świadkiem nieporównany Sofokles, który wyrzekł na moją pochwałę: życie bez rozumu to prawdziwa rozkosz".

Cipolla formułuje pięć podstawowych praw głupoty. Kiedy pisze: „Nikt z nas, nieustannie i nieuchronnie, nie docenia liczby głupców w otoczeniu", przywołuje echo przestrogi Stanisława Lema, że gdyby nie internet, nie mielibyśmy pojęcia, ilu idiotów nas otacza.

Głupota jest żywiołem demokratycznym, nie wyróżnia i nie pomija z racji jakichkolwiek innych cech, przymiotów czy statusów: „Prawdopodobieństwo, że pewna osoba jest głupia, nie ma związku z żadną inną cechą tej osoby". Nie chronią przed głupotą wykształcenie, majątek, przymioty urody, rozlewa się ona przez światy i środowiska niczym wiosenna wzbierająca rzeka.

Trzecie prawo podstawowe zostało nazwane dodatkowo złotym i brzmi następująco: „Głupi człowiek to osoba, która wyrządza szkodę innej osobie lub grupie osób, nie osiągając przy tym żadnych korzyści dla siebie, a nawet ponosząc stratę". I tu pojawia się celny komentarz dotyczący fenomenu konsekwencji ludzkich działań i myśli: „Większość osób nie postępuje konsekwentnie. W pewnych okolicznościach człowiek zachowuje się inteligentnie, a w innych ta sama osoba zachowuje się naiwnie. Jedynym ważnym wyjątkiem od tej reguły są osoby głupie, które zazwyczaj wykazują maksymalną skłonność do maksymalnej spójności w każdym obszarze swoich działań".

Dotkliwość i powszechność głupoty zdaje się szczególnie dojmująca, kiedy pochylimy się nad polityką i demokracją. „Wśród biurokratów, generałów, polityków, głów państwa i duchownych znajduje się złoty odsetek »σ« zasadniczo głupich ludzi, których zdolność do krzywdzenia innych niebezpiecznie wzrosła (lub wrasta) dzięki pozycji, którą zajmowali (zajmują). W systemie demokratycznym wybory powszechne są bardzo skutecznym narzędziem zapewniającym stabilne utrzymanie odsetka »σ« pośród ludzi będących u władzy. Należy pamiętać, że część głosujących jest głupia, a wybory są dla nich doskonałą okazją do wyrządzenia szkód wszystkim pozostałym, przy czym nie czerpią oni ze swojego działania żadnej korzyści. Osiągają ten cel, przyczyniając się do utrzymania poziomu »σ« głupców wśród ludzi władzy".

W rzeczywistości ludzkość to banda durniów.

Na czym polega fenomen zagrożenia płynącego ze strony głupców? „Głupcy są niebezpieczni i zgubni, ponieważ rozsądnym ludziom trudno jest sobie wyobrazić i zrozumieć głupie zachowanie. Inteligentna osoba może zrozumieć logikę bandyty. W przypadku osoby głupiej jest to absolutnie niemożliwe". Wedle Cipolli ludzie, którzy nie są głupi, nigdy nie doceniają szkodliwego potencjału osób głupich, choć obcowanie z nimi niemal zawsze okazuje się bardzo kosztownym błędem.

Konstatacje końcowe nie napawają optymizmem: „W rzeczywistości ludzkość to banda durniów". Czy bardziej uspokajająco brzmią słowa z przewrotnego traktatu Erazma?: „Jeżeli roztropność polega na doświadczeniu, to komuż to przysługuje zaszczyt jej tytułu, czy mądremu, który bądź to z poczucia wstydu, bądź to z nieśmiałości do niczego się nie bierze, czy głupiemu, którego od niczego nie odstrasza ani wstyd, bo go nie ma, ani niebezpieczeństwo, bo się go nie domyśla?".

Z głupkowatym pozdrowieniem zostawiam państwa na pastwę rozważań na temat bezdennej, powszechnej i wszechogarniającej ludzkiej głupoty, tu i teraz, tam i jutro, wszem i wobec. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Berło dla Giedroycia

Kandydatura ta wzbudziła mój sprzeciw. Rodzice nie wychowywali mnie w kulcie Wolnej Europy, paryskiej „Kultury” czy Głosu Ameryki

Rafał Skąpski

W 1988 r. rozpoczęła działalność Fundacja Kultury Polskiej, powołana z woli ponad 200 wybitnych twórców (od Magdaleny Abakanowicz do Teresy Żylis-Gary). W ich imieniu pod aktem powołania złożył podpis prof. Bogdan Suchodolski. Na przewodniczącego rady fundacji wybrany został prof. Stanisław Wisłocki, a na prezesa zarządu prof. Tadeusz Polak. Ja wszedłem w skład zarządu. W 1994 r. obaj panowie złożyli rezygnację. Szefem rady został Wacław Sadkowski, a wybory na prezesa wygrała ze mną Beata Tyszkiewicz. Od razu zaproponowała mi funkcję wiceprezesa, co przyjąłem.

W 1988 r. rozpoczęła działalność Fundacja Kultury Polskiej, powołana z woli ponad 200 wybitnych twórców. Kierowałem nią przez 17 lat.

Nie wchodząc w szczegóły, członkowie fundacji nie byli zadowoleni z prezesury Beaty T. Był to czas stagnacji. W 1998 r., gdy zostałem wiceprezesem Polskiego Radia, postanowiliśmy dokonać zmiany. Namówiłem Wacława Sadkowskiego, aby pod byle pretekstem złożył rezygnację. Równocześnie przekonałem Beatę, że powinna objąć tę funkcję, formalnie ważniejszą od sprawowanej. Zabieg przeszedł sprawnie, za co byłem wdzięczny przede wszystkim Wacławowi Sadkowskiemu. Od tej pory kierowałem fundacją przez 17 lat, aż do jej rozwiązania. Wacław został moim zastępcą.

Szukając z dyrektor fundacji Anną Nowakowską pomysłów na ożywienie naszej działalności, uznaliśmy, że może tym się stać m.in. doroczna nagroda dla twórcy z najszerzej rozumianych obszarów kultury. Prestiżowa. Zazwyczaj elementem prestiżu są pieniądze. Skąd je zdobyć? Kilkutygodniowe rozmowy z potencjalnymi sponsorami zaowocowały umową z BIG Bankiem Gdańskim (obecnie Bank Millennium). Zadeklarowano 100 tys. zł na samą nagrodę i finansowanie uroczystości jej wręczenia. Wielki sukces, nie było nigdy tak wysokiej nagrody dla twórcy kultury. Szukaliśmy właściwej nazwy odpowiedniej do tej kwoty. Złote Berło zaproponowała Anna Nowakowska i... tak została nazwana nasza nagroda. Elementem nagrody poza pieniędzmi powinna być jakaś statuetka. W tym przypadku najlepiej berło. Zaproponowałem na jego wykonawcę prof. Krzysztofa Nitscha. Każde z 17 bereł różniło się nieco od siebie, ale, co istotne, każde miało w głowicy inny szlachetny lub równie cenny kamień dopasowany przez autora do cech laureata.

Wybór kapituły

Pieniądze mamy zagwarantowane, Berło przygotowywane, kapituła powołana – brakuje jedynie laureata. Kapituła obradowała w składzie: Beata Tyszkiewicz jako przewodnicząca, Agnieszka Duczmal, Bogusław Kott (prezes banku) jako jej zastępca, prof. Aleksander Krawczuk, Wacław Sadkowski, prof. Andrzej Strumiłło i ja. W spotkaniach z głosem doradczym uczestniczyli Anna Nowakowska i dyrektor Wojciech Kaczorowski w imieniu prezesa Kotta. Obecny był także Jacek Sylwin, organizator gali nagrody.

Zanim zapadła jednomyślna decyzja, odbyło się kilka posiedzeń. Chyba Andrzej Strumiłło zaproponował Jerzego Giedroycia. Nie okazywałem tego, ale kandydatura ta wzbudziła mój wewnętrzny sprzeciw. Rodzice nie wychowywali mnie w kulcie Wolnej Europy, paryskiej „Kultury” czy Głosu Ameryki. Nie byli zagorzałymi ich przeciwnikami, raczej pozostawali obojętni na ich istnienie i lekko krytyczni wobec ich działalności. Wydaje mi się, że bliski był im pogląd, że łatwo krytykować PRL-owską rzeczywistość, pouczać nas i dawać dobre rady, mieszkając w RFN, Francji czy USA, bez znajomości polskich realiów, kontekstów i uwarunkowań. Nie akceptując wszystkiego, co się działo w PRL, mając krytyczny stosunek do wielu spraw, starali się, szczególnie po Październiku 1956, odnajdywać pozytywy nowej powojennej sytuacji. W domu nie słuchało się zagranicznych stacji radiowych, nie czytało paryskiej „Kultury”. Po raz pierwszy pismo to podsunęła mi jedna z „ciotek antykomunistek”. Czytałem z zainteresowaniem o nieznanych mi lub mało znanych faktach, jednak z dystansem do komentarzy i podtekstów.

Nie negując propozycji prof. Strumiłły, próbowałem zgłaszać inne osoby, jednak zauważyłem, że coraz więcej członków kapituły zaczyna podzielać jego zdanie. Cóż, i ja przychyliłem się, przecież nie będę pozostawał na przegranej pozycji.

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Złote Berło Fundacji Kultury Polskiej wręczyli Jerzemu Giedroyciowu (od lewej) Anna Nowakowska, Małgorzata Czyżewska, Rafał Skąpski i Beata Tyszkiewicz.

Senat RP ustanowił rok 2026 Rokiem Jerzego Giedroycia, aby uczcić 120. rocznicę urodzin (ur. 1906) oraz 25. rocznicę śmierci (zm. 2000).

Tym bardziej że przybliżyłem sobie, nieznane mi wcześniej, poglądy Giedroycia i z wieloma z nich znalazłem wspólnotę. Znając stosunek Giedroycia do krajowych wyróżnień – odmówił przyjęcia Orderu Orła Białego – poprosiłem Janusza Odrowąż-Pieniążka o wysondowanie Redaktora. Pamiętałem bardzo nieprzychylny pod adresem naszej fundacji artykuł Aliny Perth-Grabowskiej opublikowany w paryskiej „Kulturze" na początku lat 90. Wspomniała o nim członkom kapituły Anna Nowakowska.

Grabowska była oburzona, że powołana pod koniec lat 80. (a więc w PRL) fundacja nie tylko nadal działa, ale śmie prezentować polską kulturę w Niemczech. Chodziło o pierwszą po przemianach prezentację współczesnej polskiej kultury, pod nazwą „Dialog mit Polen", w Monachium. Okazało się jednak, że Giedroyc nie odmówił, zastrzegając, że po odbiór nagrody nie przyjedzie. Dyrektor Pieniążek szepnął mi z uśmiechem, że znaczenie miała informacja o finansowym elemencie nagrody. Laureat został wybrany bez głosu sprzeciwu. Muszę dodać, bo to ważne, że Giedroyc w celu dokonania przelewu należnej mu kwoty nagrody wskazał konto Instytutu Literackiego, a nie swoje prywatne.

Kapituła obradowała w składzie: Beata Tyszkiewicz, Agnieszka Duczmal, Bogusław Kott, prof. Aleksander Krawczuk, Wacław Sadkowski, prof. Andrzej Strumiłło i ja.

Koncert galowy

Oficjalnym pismem nawiązaliśmy kontakt z Jerzym Giedroyciem, uzgadniając niebawem trzy elementy związane z ogłoszeniem nazwiska laureata i wręczeniem Berła. Konferencja prasowa odbyła się w Studiu im. Agnieszki Osieckiej w Polskim Radiu. Stamtąd redaktor naczelny Programu III Piotr Kaczkowski połączył się z Maisons-Laffitte. Po przywitaniu się udostępnił mi mikrofon, abym mógł poinformować Redaktora o nagrodzie. Wywiązała się krótka rozmowa słyszana w Studiu Osieckiej, a co ważniejsze – także na antenie radiowej.

Drugi element to tzw. gala nagrody, konsekwentnie organizowana przy każdej edycji, choć za każdym razem z całkiem innym scenariuszem. W tym przypadku był to koncert w Filharmonii Narodowej. Janusz Olejniczak i Andrzej Jagodziński zagrali utwory Chopina, pierwszy oczywiście klasycznie, drugi jazzowe interpretacje. Zapowiadali Beata Tyszkiewicz i Marek Kondrat. Każdorazowo laureat wskazywał kogoś, kto honorowany był tzw. Małym Berłem i kwotą 10 tys. zł. Sugerowaliśmy, że powinien to być ktoś z młodego pokolenia, kto w swojej twórczości czy działalności wyznaje zbieżne z laureatem idee, niejako kroczy w ślad za jego myślą. Giedroyc wskazał Krzysztofa Czyżewskiego z Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów".

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Trzeci element, najważniejszy, to przekazanie Berła w ręce laureata w siedzibie Instytutu Literackiego w maju 1999 r. Zdecydowaliśmy, że polecimy w składzie: prezes Bogusław Kott i dyrektor Wojciech Kaczorowski z banku, a z fundacji Beata Tyszkiewicz, Anna Nowakowska i ja z żoną. Przyleciała także żona Krzysztofa Czyżewskiego – Małgorzata. Wszyscy na koszt banku, jedynie moja żona za nasze pieniądze.

Żona i ja byliśmy w Paryżu już dzień albo dwa wcześniej, pozostali mieli przylecieć w dniu spotkania i przyjechać do Maisons-Laffitte wprost z lotniska.

Wsiadając w Paryżu do podmiejskiej kolejki, wiedzieliśmy już, że samolot z Warszawy do Paryża ma dwugodzinne opóźnienie. A to oznacza, że o tyle później delegacja pojawi się przed budynkiem Instytutu Literackiego. Jedyna możliwość zawiadomienia gospodarza to zadzwonić do furtki, wejść do środka i oznajmić mu to. Naciskałem dzwonek z mieszanymi uczuciami, przypomniał mi się stosunek rodziców do niektórych działań emigracji, a jednocześnie miałem już coraz silniejsze uznanie dla działalności Giedroycia i jego poglądów. W porównaniu z Wolną Europą i Głosem Ameryki publikacje Instytutu Literackiego miały z reguły wysoki poziom warsztatowy i artystyczny.

Zamek w furtce odskoczył, usłyszeliśmy zaproszenie, aby od razu wchodzić do willi, bo drzwi są otwarte. Weszliśmy do ciemnego holu, z pokoju w głębi z lewej strony wyszedł elegancki starszy pan. Wyszedł nie jest określeniem adekwatnym, Giedroyc, cierpiący na rodzaj niedowładu nóg, miał kłopot z chodzeniem, nie podnosząc stóp, szurając nimi po podłodze, posuwał się do przodu, w naszym kierunku. Onieśmieleni, widząc legendę, zamarliśmy na chwilę. Giedroyc zbliżył się do nas, ukłonił mojej żonie i pocałował ją w dłoń. Ogarnęło mnie wzruszenie, poczułem magię tego miejsca. Redaktor zapraszał, by wejść dalej, ja wyjaśniłem, że spotkanie z powodu samolotu opóźni się o dwie godziny. „Zaczekamy na zewnątrz, zwiedzimy miasteczko i wrócimy tu razem", powiedziałem.

Redaktor zapraszał, ja oponowałem, wyszliśmy. Jakże ja teraz swojej decyzji żałuję. Straciłem dwie godziny niemal sam na sam z Redaktorem... Jaka szkoda.

Czas oczekiwania spędziliśmy na spacerze i kawie w pobliskiej kawiarence. Do Maisons-Laffitte wchodziliśmy już sporą grupą, co potem uniemożliwiło prowadzenie spokojnej rozmowy z laureatem. Po krótkiej, koniecznej części oficjalnej, polegającej na wręczeniu Berła (prezes Kott) i odczytaniu uzasadnienia (ja) „za życie i dzieło, za umysł i wizję, za hart ducha i prawość charakteru", zasiedliśmy do pysznych kanapek i kieliszka perlistego szampana.

Złote Berło zaproponowała Anna Nowakowska i tak została nazwana nasza nagroda. Statuetkę wykonał prof. Krzysztof Nitsch.

Z ciekawością rozglądałem się po salonie. Moją uwagę zwróciły niesalonowe regały wzdłuż ścian, a na nich poukładane równo stosiki gazet i periodyków. Każdy stosik to inny tytuł, wśród nich dostrzegłem najnowsze numery „Nie", „Przeglądu Tygodniowego" i „Trybuny".

Żona, Anna Nowakowska i Małgorzata Czyżewska rozmawiały z Zofią Hertz, przed której trudnym charakterem przestrzegano nas jeszcze w Warszawie. „Nic podobnego – powiedziała po spotkaniu żona – to bardzo miła i ciepła osoba". Podobną opinię usłyszałem od Anny Nowakowskiej. Widocznie pani Zofia szybko orientowała się, dla kogo ma być miła, a dla kogo nie. Podobną cechą wykazał się pies, domownik Maisons-Laffitte. Mimo przestróg pani Zofii, żeby na niego uważać, gdyż bywa agresywny wobec nieznanych mu osób, leżał potulnie pod stolikiem, zapewne wyczuwając, że rozmówczynie pani Zofii nie tylko lubią, ale i mają psy.

Listy Czapskiego

Panowie zgromadzili się przy innym stoliku, Beata Tyszkiewicz siedziała pośrodku, chłonąc rozmowy z obu stron. Mimo że siedziałem obok Redaktora Giedroycia, trudno było, aby rozmowa toczyła się tylko między nami. Udało mi się wspomnieć, że w resorcie przemysłu i handlu, w którym on był zatrudniony w końcówce lat 30., pracował w randze naczelnika brat stryjeczny mojego dziadka – Tadeusz Sągajłło. Giedroyc pamiętał nazwisko, obiecał mi poszperać w pamięci i odpisać. Mogło to jednak dotyczyć także mojego dziadka Witolda, wieloletniego generalnego dyrektora Warszawskiego Towarzystwa Kopalń Węgla i Hut Żelaza, prezesa ogólnopolskich organizacji górniczych i przemysłowych. Dziadek był również wiceprezesem Lewiatana. Giedroyc powiedział, że wydaje mu się, że Sągajłłowie jeszcze na Litwie, przed wiekami, byli skoligaceni z jego rodziną, obiecał podpytać o to swojego kuzyna Michała Giedroycia mieszkającego w Wielkiej Brytanii. Nie dał mi jednak kontaktu, a ja odłożyłem sprawę na później, co jakże często kończy się tym, że nie ma już kogo zapytać.

Z rozmowy z Redaktorem zapamiętałem jego odpowiedzi na dwa zadane mu pytania. Korespondent PR Marek Brzeziński był ciekaw, który moment z walk na froncie, podczas II wojny światowej, był dla naszego gospodarza najbardziej dramatyczny. „Ach, to było przed atakiem na… – tu padła nazwa miejscowości, której nie zapamiętałem – siedzieliśmy w okopach, ciemna noc, a nam zabrakło papierosów". Trzeba wiedzieć, że Giedroyc był namiętnym palaczem, podczas tego spotkania sięgał po papierosy raz po raz, zapalając jeden za drugim. Naszej rozmowie przysłuchiwał się prezes Kott, który w pewnym momencie postanowił się do niej włączyć: „Na pewno pan redaktor ma liczne kontakty z naszym wielkim rodakiem Janem Pawłem II?". „Nie utrzymuję żadnych", odparł krótko Giedroyc, ucinając temat. Jak widać,

eprasa.pl cc4bb0ecd4

nie wszyscy wiedzieli, że Redaktor był zdeklarowanym antyklerykałem.

W naszym spotkaniu, milcząco, uczestniczył brat Redaktora – Henryk. Nie zapamiętałem go siedzącego z nami. Wydaje mi się, że cały czas stał obok drzwi, czuwając, aby nie zabrakło nam kanapek lub szampana w czyimś kieliszku.

Serdeczne pożegnania sfinalizowało pamiątkowe zdjęcie przed wejściem do Maisons-Laffitte.

Redaktor napisał później do mnie kilka listów. Pierwszy dotyczył ewentualnych koligacji Giedroyciów z Sągajłłami. Redaktor informował mnie, że napisał w tej sprawie do kuzyna z Oksfordu. Odpowiedzi nie znam, śmierć Redaktora nastąpiła niebawem po tym liście. Ale wspomniał pan Jerzy o dobrej swojej znajomości z Edwardem Rosem, przedwojennym wiceministrem przemysłu. Był to także dobry znajomy dziadka Witolda, a jego córka Maria (po mężu) Skuncke, młodsza koleżanka mamy i jej siostry, była oficjalną tłumaczką rządu francuskiego i towarzyszyła w tej roli prezydentowi Charles'owi de Gaulle'owi podczas jego wizyty w Polsce.

W kolejnym liście Giedroyc wyrażał wysokie uznanie dla zamiarów Anny Górnej-Zając i jej męża Lubomira Zająca, reżyserów i scenarzystów filmu dokumentalnego „Bliscy a dalecy". Film ten, tworzony ze wsparciem Fundacji Kultury Polskiej, opisuje i analizuje relacje polsko ukraińskie w ciągu wieków. Filmowcy przedstawili Redaktorowi scenariusz i uzyskali zgodę na komentarz do filmu. Plany pokrzyżowała śmierć Giedroycia.

Inny list dotyczył jego niepokoju wobec pogłosek o możliwym wrogim przejęciu BIG Banku przez Deutsche Bank. Powód niepokoju wyjaśniały kolejne listy, w których Giedroyc informował mnie o zachowanych obszernych dziennikach Józefa Czapskiego. Były napisane niezwykle trudnym do odczytania pismem. Redaktor wskazywał ich wartość, miał świadomość kosztów i trudu ich odczytania. Miał nadzieję, że prezes banku zechce być sponsorem tego przedsięwzięcia, tym bardziej że swego czasu opłacił druk katalogu do wystawy obrazów Czapskiego w Muzeum Narodowym w Gdańsku. Notabene prezes nie podjął tematu.

Giedroyc w celu dokonania przelewu należnej mu kwoty nagrody wskazał konto Instytutu Literackiego, a nie swoje prywatne.

Sprawie tej Giedroyc poświęcił także telefoniczną rozmowę. Mimo braku sponsora prosił mnie o znalezienie kogoś, kto by rękopisy Czapskiego odczytał i przepisał, a w dalszej kolejności o wskazanie wydawcy.

Dziesięć lat później okazałem się dość sprawny w odczytywaniu zawiłych rękopisów, szkoda, że o tej nieodkrytej jeszcze umiejętności wtedy nie wiedziałem.

Rafał Skąpski



eprasa.pl cc4bb0ecd4

Krótka pamięć apologetów NSZ

Pamiętając o zbrodniach UPA nie można zapomnieć o Wierzchowinach

Andrzej Sikorski

6 czerwca minie 81. rocznica krwawej rzezi, jaką urządzili tzw. żołnierze podziemia niepodległościowego we wsi Wierzchowiny w powiecie krasnostawskim. Przeszło 300-osobowy oddział Narodowych Sił Zbrojnych pod dowództwem kpt. Mieczysława Pazderskiego „Szarego" wymordował ok. 200 mieszkańców, głównie kobiety i dzieci, tylko dlatego, że byli Ukraińcami i podejrzewano ich o sprzyjanie nowej władzy. Zbrodnia w Wierzchowinach była największą, do jakiej doszło w Europie tuż po zakończeniu II wojny światowej.

W Kancelarii Prezydenta RP zapytałem:

1. Czy Karol Nawrocki potępia zbrodnie, których dopuścili się Polacy na współobywatelach narodowości ukraińskiej w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu?

2. Dlaczego Karol Nawrocki nigdy nie uczcił pamięci osób, które zostały zamordowane przez tzw. żołnierzy wyklętych we wsi Wierzchowiny?

3. Jaki jest stosunek prezydenta do zbrodni w Wierzchowinach? Czy dla Karola Nawrockiego Mieczysław Pazderski jest bohaterem, czy zbrodniarzem?

Nie dostałem odpowiedzi, co jest wymowne. Zbrodnia w Wierzchowinach jest niewygodnym tematem dla najwyższego przedstawiciela władzy. Będąc prezesem IPN, Karol Nawrocki wyrzucił z pracy w lubelskim oddziale dr. Mariusza Zajączkowskiego, historyka zajmującego się problematyką stosunków polsko-ukraińskich w latach 1939-1947. Jako oficjalny powód usunięcia podano „zniewagę" prezesa IPN, tj. rzekome zamieszczanie w mediach społecznościowych inwektyw pod adresem Nawrockiego. Jednak faktyczna przyczyna była inna.

„Przede wszystkim za niewłaściwe z punktu widzenia polskich nacjonalistów piśmiennictwo naukowe i publiczne wypowiedzi na temat stosunków polsko-ukraińskich w latach 40. XX w. Czyli krytyczne ustosunkowanie się do jednostronnej narracji narodowej. (…) Na przykład wskazywanie, że Ukraińcy ginęli także z polskiej ręki", mówił Zajączkowski w rozmowie z „Gazetą Wyborczą".

Historyk podejmuje w pracach naukowych tematy niewygodne dla prawicy, m.in. zbrodnię AK w Sahryniu i zbrodnię w Wierzchowinach. A dla Nawrockiego, nacjonalisty i antykomunisty, spadkobiercy endeckiej ideologii nienawiści do obcych i wszelkich elementów podejrzanych, polska historia musi być obrazem martyrologii i chwały.

•

Właśnie skrajny nacjonalizm i zaciekły antykomunizm stały się przyczyną tragicznych wydarzeń w Wierzchowinach. Wiosną 1945 r. wraz z odejściem wojsk frontowych na zachód uaktywniły się na Lubelszczyźnie partyzanckie oddziały NSZ, czyli partyjnego wojska przedwojennych polskich zwolenników faszyzmu z Obozu Narodowo-Radykalnego, zasilonego byłymi żołnierzami Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, a nawet dezerterami z Wojska Polskiego. Prowadzono intensywne kursy ideologiczne (wymierzone w Ukraińców, Żydów, Sowietów i komunistów) i wojskowe, organizowano oddziały leśne.

Partyzanci musieli jednak z czegoś żyć. Łupili więc okoliczne wsie, ukraińskie i polskie, rabując odzież, obuwie, inwentarz i żywność. Zdarzały się mordy na gospodarzach. Na porządku dziennym były zabójstwa motywowane politycznie, a także nienawiścią narodowościową i wyznaniową. Zabijano Żydów, świadków Jehowy, członków PPR, milicjantów, tych, których podejrzewano o sprzyjanie nowej władzy, wziętych do niewoli żołnierzy WP i żołnierzy radzieckich.

Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie. Aby stać się ofiarą napaści, wystarczyło mieć inną niż polska narodowość i być wyznania odmiennego niż rzymskokatolickie. Zdarzało się, że za sprawą obco brzmiącego akcentu, nazwiska lub posądzenia o ukraińskie pochodzenie czy po prostu na tle rabunkowym mordowani byli polscy przesiedleńcy zza Buga uciekający z Wołynia przed UPA. Partyzanci NSZ przez kilka godzin bestialsko torturowali, a potem zamordowali ks. Bazylego Martysza, byłego naczelnego kapelana prawosławnego Wojska Polskiego, a jego ciężarną córkę ciężko pobili. Kobieta w wyniku obrażeń fizycznych i psychicznych poroniła.

W jednym z meldunków dowódca oddziału NSZ Bolesław Kulimowski „Sokół" pisał: „Zostały zlikwidowane wyrokiem śmierci osoby: czterech Żydów, osiem kobiet pochodzenia ukraińskiego, które szkodziły Polakom lub pracowały na ich szkodę, oraz 17 mężczyzn, również pochodzenia ukraińskiego, zlikwidowanych częściowo podczas akcji na transporty". Wspomniane akcje na transporty dotyczyły osób wysiedlanych do USRR lub powracających z robót przymusowych czy obozów koncentracyjnych w Niemczech. Czyli ludzie, którzy cudem przeżyli wojenną gehennę, ginęli z rąk polskich partyzantów…

•

W maju 1945 r., zaraz po zakończeniu wojny, tzw. Pogotowie Akcji Specjalnych lubelskiego okręgu

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Żołnierze PAS NSZ Okręgu Lubelskiego z oddziału mjr. Mieczysława Pazderskiego „Szarego" (siedzi w środkowym rzędzie, nad żołnierzem z MP 40), maj 1945 r.

NSZ, dysponujące kilkoma oddziałami partyzanckimi, zaplanowało pokazową pacyfikację wsi Wierzchowiny. Oficjalne motywy zapisano w meldunku jednego z dowódców akcji, por. Romana Jaroszyńskiego „Romana": „Sama wieś składa się z Ukraińców z wyjątkiem kilku rodzin polskich (...). Mieszkańcy wsi Wierzchowiny to sami konfidenci i byli tacy, a nawet większość, którzy pracowali w Resorcie lub w NKWD w postaci wywiadowców, (...) praca ich polegała na tym, aby zniszczyć jak najwięcej Polaków zdrowo myślących, znaczy takich, którzy byli i są przeciw obecnemu rządowi (...). Dowództwo Narodowych Sił Zbrojnych, aby położyć temu kres i zapobiec dalszemu mordowaniu Polaków i ich rodzin, wydało rozkaz, aby mieszkańców wsi Wierzchowiny co do jednego wymordować".

5 czerwca 1945 r. zgrupowanie NSZ pod dowództwem kpt. Mieczysława Pazderskiego „Szarego" ruszyło w kierunku Wierzchowin. Krótko przed akcją odbyła się odprawa kadry dowódczej, na której ustalono szczegółowy plan, po czym wydano rozkazy oddziałom zgrupowania. „Mieliśmy rozkaz ustnie powiedziany, że mamy zlikwidować ludność ukraińską i zabrać dobytek oprócz krów; co do zabijania ludności rozkaz był: bez wyjątku duże i małe dzieci", zeznał Eugeniusz Dudek „Sikorka", partyzant oddziału AS „Zemsty", w trakcie przesłuchania 26 sierpnia 1946 r. w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Chełmie.

6 czerwca partyzanci dotarli do Wierzchowin. Większość jechała na furmankach, kilku konno, niektórzy szli piechotą. Żołnierze NSZ byli ubrani w mundury WP, maszerowali ze śpiewem i kwiatami przypiętymi do mundurów. Mieszkańcy wsi przekonani, że to powracające z frontu oddziały regularnego wojska, witali ich śpiewem, kwiatami i poczęstunkiem. Część zgrupowania przeszła przez wieś i w pobliskim lesie zostawiła tabory. Część partyzantów otoczyła osadę, tak aby nikt nie mógł z niej się wydostać. Pozostali żołnierze NSZ zaczęli przeczesywać zabudowania i zabijać Ukraińców. Używano broni palnej, ale także pałek, noży, siekier i łopat. Zabito 194 osoby, w tym 45 dorosłych mężczyzn, pozostałe ofiary to kobiety i dzieci. Najmłodsze miało zaledwie kilka miesięcy. Oprócz wyznawców prawosławia zabito kilkunastu świadków Jehowy oraz kilku Polaków katolików. Jak wyglądała masakra, wiemy m.in. z relacji nielicznych sprawców, którzy zostali schwytani.

Serafin Kamilewicz „Wydra" zeznał: „W porze przedpołudniowej dojechaliśmy do wsi Wierzchowiny. Nie dojeżdżając do wsi, została zwołana jeszcze odprawa wszystkich dowódców i drużynowych. Odprawa ta trwała około 15-tu minut. Potem każda grupa otrzymała swoje zadanie, w tym czasie poszczególne grupy zaczęły okrążać wieś Wierzchowiny. Po okrążeniu wsi część bandy wkroczyła do wsi i zaraz rozpoczęła się strzelanina, to jest zabijanie z broni palnej cywilnej ludności wsi Wierzchowiny. Mord wsi Wierzchowiny trwał około 4-ch godzin, tak że wszystka ludność tej wsi, starcy, dorośli i małe dzieci zostały wymordowane w tym dniu przez bandę NSZ, w której ja też brałem udział z bronią palną (...). Podczas dokonanego mordu zostało zrabowane ze wsi Wierzchowiny konie, wszystkie świnie i krowy. Po dokonanym mordzie cała banda NSZ odjechała ze wsi Wierzchowiny w kierunku wschodnim do majątku Kasiłan".

Por. Roman Jaroszyński „Roman": „Byłem świadkiem, jak jedno dziecko niemowlę wyciągnął jeden z żołnierzy za nogi i wyrzucił przez zamknięte okno na jezdnię. Dziecko, brocząc we krwi, wiło się z bólu i tak zakończyło życie. Widziałem, jak kobieta starsza, która błagała o życie, została skatowana, zbita, wtrącona do piwnicy, po czym została zabita. Piwnica miała front od szosy, tak że mogłem to widzieć. Była jedna kobieta w ciąży, jakieś 7 może 8 miesięcy, bo to było już bardzo widoczne. Została również skatowana i zbita, tylko za to, że chciała ukryć męża gdzieś za szafą. Została zbita, skatowana, a następnie żołnierz oddał serię do niej, kierując w brzuch ze słowami:

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl cc4bb0ecd4

»Ukraińców nam w Polsce nie potrzeba«. Takich wypadków we wsi Wierzchowiny było bardzo dużo. Ogółem powiem, że 60% ludności wsi Wierzchowiny zostało nie zabitych, lecz zamordowanych".

A mordowano z okrucieństwem, śmierć często poprzedzały tortury. „To byli ludzie z oddziału »Sokoła« (…), którzy pod tym względem byli wyrafinowani i znali różne sposoby, jak bić, wiązać nogi na krzyż, ręce, katować itd. Był to bardzo męczeński sposób. (…) Widziałem, jak uderzył go (młodego Ukraińca podejrzewanego o posiadanie broni) tłuczkiem po głowie. Może nie słyszał, może go zamroczyło, może nie miał przytomności, żeby odpowiedzieć, ale nie czekali na odpowiedź, tylko ponownie został mu zadany cios i tak (zadawano ciosy) dotąd, aż umarł", mówił Jaroszyński.

Eugeniusz Dudek „Sikorka": „Nie wiem, ilu nasz oddział zabił ludzi, ale widziałem, że tam, gdzie był »Kostek« (Wacław Rybak), to na jednym podwórzu leżało 20 parę trupów przeważnie ludzi dorosłych, a »Biały« (prawdopodobnie chodzi o Wacława Lisa – przyp. A.S.) oprawiał się przeważnie z dziećmi. »Kostek« strzelał tylko z VISA, a »Biały« z pepeszy. Ja upiłem się bardzo po prostu do nieprzytomności i na Wierzchowinach nie zabiłem żadnego człowieka, tylko zajmowałem się ładowaniem mienia ludności, zabierając konie, wozy, świnie, zboże, ubranie itp. rzeczy. (…) Oddział nasz zabrał 6 par koni z wozami, 5 sztuk świń i butów dość dużo, jak później w prasie pisało, to miało być zamordowane 180-ciu ludzi na Wierzchowinach".

Zeznania Dudka potwierdził inny partyzant, Marian Lipczak „Doniec": „Przeważnie strzelano bez wyboru, od najmniejszych dzieci do starców, taki był rozkaz »Szarego«. (…) Byłem przy taborze w momencie, gdy jakiś mężczyzna w średnim wieku uciekł żytem; strzeliłem do niego z karabinu i zabiłem go, poza tym nikogo więcej nie zabiłem. Na naszym odcinku zostało zabitych do 80 ludzi, najwięcej ludzi zlikwidował oddział »Szarego«".

Stanisław Cygańczuk, polski mieszkaniec Wierzchowin, tak wspominał masakrę: „Ojciec woła sąsiada, Tywoniuka, żeby się u nas w stodole schował, bo to nie żadne wojsko tylko bandziory. A Tywoniuk, że się nie ma czego bać, bo niczego złego nie zrobił. Pośle tego widziałem, jak go zastrzelili. Kilku na raz strzelali, jeden się jeszcze ruszał, to go z krótkiej broni dobili. Jeszcze przygonili kobietę z małym dzieckiem, kazali jej stanąć pod wisznią i trrrach, zastrzelili. (…) Sąsiad woził trupy i mówił, że na końcu to jeszcze gwałcili kobiety i wbijali im w przyrodzenie flaszki".

Zdarzało się, że mordowani byli polscy przesiedleńcy zza Buga uciekający z Wołynia przed UPA.

Partyzanci NSZ byli tak zdegenerowani, że kazali mordować nawet dzieciom. „W oddziale »Szarego« było dwóch chłopców po jakieś najwyżej lat 15, jeden z nich nazywał się Kajtek, a drugi nie wiem, ale myśmy ich obu nazywali Kajtkami i (…) Kajtkowie brali udział w akcji w Wierzchowinach. Jeden z nich (…) przyszedł do żony i prosi, żeby mu dała co zjeść, bo jest głodny. Ale najpierw chciał się pochwalić przed żoną, jakiego to on bohatera odegrał w Wierzchowinach. Powiada tak do żony: »Mówię pani, dwoje staruszków tak się prosili, żeby ich nie zabijać, a ja ich szpadlem pozabijałem«, a żona się zdenerwowała i mówi do niego: »Ach ty zbóju! Zabieraj się stąd! Nie dostaniesz jeść!«. Zawstydził się i poszedł", wspominał Stanisław Nieworaj, mieszkaniec Majdanu Zahorodyńskiego.

•

Po wymordowaniu mieszkańców partyzanci przystąpili do rabowania gospodarstw. Odzież, bieliznę, obuwie, pościel, zapasy żywności oraz sprzęty gospodarstwa domowego załadowano na wozy i wywieziono. Zabrano też krowy, konie i świnie. Objuczone zdobyczą oddziały wyruszyły w kierunku wsi Sielec.

Wiadomość o wierzchowińskiej rzezi dotarła do Chełma, skąd wysłana została grupa pościgowa złożona z kilku funkcjonariuszy UB, kilkunastu milicjantów i 40 podchorążych szkoły oficerów artylerii WP wyposażonych w jeden transporter opancerzony z karabinem maszynowym. Wycofujący się partyzanci NSZ zastawili skuteczną zasadzkę. Pojmanych funkcjonariuszy UB i milicjantów wybili, podchorążych wcielili do swoich szeregów. Po niepowodzeniu tej akcji w pościg ruszyła na samochodach ciężarowych 160-osobowa grupa operacyjna radzieckiego 98. Pułku Pogranicznego NKWD, rekrutowana z doświadczonych żołnierzy frontowych.

Tymczasem oddziały „Szarego" dotarły do wsi Huta, gdzie urządziły festyn ludowy. Grała orkiestra, tańczono, pito, strzelano na wiwat, zorganizowano różne zabawy, takie jak wyścigi w workach czy zawody we wdrapywaniu się na słup nasmarowany tłuszczem. W nocy „Szary" był informowany o zbliżającym się pościgu, ale zlekceważył ostrzeżenie. Wczesnym rankiem 10 czerwca 1945 r. grupa pościgowa wkroczyła do wsi i po kilkugodzinnych walkach rozbiła w pył zaskoczone oddziały NSZ. Wieś została zrównana z ziemią. Poległo ok. 140 partyzantów, w tym „Szary" i większość dowódców. Część żołnierzy wyrwała się z osaczenia.

Choć zbrodnia w Wierzchowinach jest dobrze udokumentowana, liczni apologeci NSZ podważają niezbite dowody, snując fantasmagorie m.in. o tym, że za mord odpowiadają ubecy i była to prowokacja w celu zdyskredytowania patriotycznych partyzantów, albo że zbrodni dokonali miejscowi chłopi – ocaleli przesiedleńcy z Wołynia – w zemście za mordy na Polakach. W innej wersji umniejsza się skalę zbrodni do kilkunastu osób, rzekomych współpracowników aparatu bezpieczeństwa.

Andrzej Sikorski

Korzystałem z książki Mariusza Zajączkowskiego *„Wierzchowiny 1945"*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2023

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Oko w oko Tomasz Jastrun

Czyste zło

Dziki dokazują. Franek jechał na rowerze wąską ścieżką wśród krzewów – przypominam, że to nadal Warszawa. Nagle wyskoczył mu pod koła warchlak. Franek w ostatniej chwili zahamował. Przestraszony maluch zapiszczał, wtedy pojawiła się zaniepokojona matka. Mój synek zawsze drwił sobie z dzików, które stały się częścią naszego życia. Codziennie ćwiczy na siłowni, więc ma teraz okres poczucia wszechmocy – co to dla niego dzik. Na szczęście dał drapaka. To już przestaje być zabawne.

•

Po raz pierwszy od lat w sądzie. Jestem oskarżony o to, że napisałem na blogu, że moja była agentka Krystyna L. jest hochsztaplerką i mitomanką. Czekaliśmy na rozprawę dwa lata. Propozycja pojednania? Nie. Pojednać mogę się tylko z prawdą. A odsyłam do tekstu „Rola życia. Jak znani aktorzy wpadli w sidła agentki" Mateusza Baczyńskiego, dziennikarza śledczego, pracuje obecnie w Onecie. Sąd nawet mi się spodobał, bez grozy wielkiego urzędu. Wyznaczono kolejną rozprawę, dopiero ona daje możliwość powołania świadków. Moimi będą nabici w butelkę, też aktorzy żądający zwrotu pieniędzy, które nieostrożnie pożyczyli L., a to spore sumy.

Po latach czasami nie rozumie się swoich decyzji i poglądów.

•

Jeśli prawica dojdzie do władzy, a nie dojdzie bez Brauna, to prezes będzie miał podobną sytuację, jaką ma paranoik Netanjahu, trzymając w rządzie jeszcze większego paranoika Ben-Gwira. Podobnie potłuczony jak Braun, po prostu faszysta. Jego partyjka ma zaledwie kilku posłów w Knesecie, ale Netanjahu, który tylko ośmielił się zganić swojego ministra, ma skrępowane ręce, bez tych kilku głosów straci władzę. Wtedy czekają go rozliczenia, a nawet więzienie. Liberalni Izraelczycy – zapomina się, że jednak spora część populacji Izraela myśli jak my, choćby czytelnicy naszego tygodnika, czyli liberalnie – mają nadzieję, że jesienią prawica straci władzę. Jeśli tak się nie stanie, powariujemy, piszą moi znajomi.

Niestety, już coś się stało. To nie tylko śmierć tysięcy Palestyńczyków, to niechęć do Izraela na całym świecie, nie zawsze, ale czasami budowana na odwiecznym fundamencie antysemityzmu. Ben-Gwir, który upokarzał internowanych uczestników flotylli płynącej do Gazy i sycił się ich niedolą, to cudowny pokarm dla antysemityzmu – przypomina Żyda z nazistowskich karykatur, jak słodki sen antysemity. Viola z Jerozolimy pisze mi: „Nad tym bucem i idiotą wisi kilka wyroków, zresztą już siedział, a patrząc na niego, sama staję się antysemitką, podobnie jak wielu moich bliskich i znajomych. A motłoch go uwielbia".

•

Czytam autobiografię Zygmunta Baumana, niezwykle ciekawa. Najsłynniejszy w świecie polski eseista, socjolog, wyemigrował po 1968 r. na fali czystki antysemickiej. Wojnę jako bardzo młody człowiek przeżył w Sowietach. Potem okres współpracy z komunistami w strasznych czasach. Tłumaczy się z tego inteligentnie, ale nieufni i tak mu nie uwierzą. Sam bywa bezradny w wyjaśnianiu swoich wyborów w tamtym czasie. Miałem z tym do czynienia, przepytując wielu pisarzy, jak mogli wdepnąć w stalinizm. Po latach czasami nie rozumie się swoich decyzji i poglądów. Bauman, współtwórca pojęcia postmodernizmu, twórca terminu płynna nowoczesność, też nie zawsze sobie z tym radzi. Nie ma tak mądrego i uczciwego człowieka, by nie dał się nabrać na dobrze zbudowaną teorię popartą wielką presją historii.

Bauman zawsze był bardzo krytyczny w stosunku do polityki Izraela wobec Palestyńczyków. W 1968 r. osiadł w tym kraju, by po trzech latach wyjechać ze słowami: „Wolę być ofiarą nacjonalizmu niż jego nosicielem i praktykantem". W autobiografii pisze, jak traumy ofiar przekazywane z pokolenia na pokolenie powodują, że potomkowie ofiar mogą się stać oprawcami. Tak jest, ale skala nienawiści do Izraela ma teraz charakter obłędu, obłędnej przesady. Z Izraelem mamy zerwać kontakty kulturalne, ludzie piszą petycje, a z Koreą Północną je celebrować.

•

„Tusk to jest personifikacja zła w Polsce, to jest czyste zło", powiedział trzy lata temu prezes. Teraz mówi to samo, tylko że jest jeszcze gorzej. Jak to możliwe? Już nie starcza biednemu prezesowi słów i wyobraźni, by opisać, jak złowrogi jest Tusk i jego rząd. Jako że uważam Tuska za wybitnego polityka i uczciwego człowieka i podobnie uważają miliony Polaków, to my też jesteśmy czystym złem. I pomyśleć, taki kawał narodu jest porośnięty czystym złem. Wielu znanych historyków i politologów mówi, że doświadczamy najlepszego okresu w całej historii Polski. Jak sobie z tym poradzić i nie popaść w obłęd? Prezes sobie nie poradził i popadł. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Plac zabaw czy plac zakazów



Dzieci marzą o krzakach, patykach i błocie

Zuzanna Muszyńska

Samotny zwierzak kiwak w rogu podwórza, otoczony płotem, z matą amortyzacyjną zamiast gleby – tak wygląda „plac zabaw o zaostrzonym rygorze" w Kielcach, przedstawiony w materiałach urbanisty i socjologa Łukasza Harata i nazwany „izolatką dla jednego bardzo małego, bardzo grzecznego przestępcy". Przepiłowane i przedzielone płotem huśtawki przed blokiem przy ul. Owsianej w Poznaniu to z kolei zniszczony na polecenie właścicieli działki plac, który był miejscem zabaw całych pokoleń Poznaniaków, a dziś jest krajobrazem po bitwie stoczonej przez rodziców – i przegranej z chamstwem i chciwością.

Pomijając skrajności, polskie place zabaw są nowoczesne i bezpieczne. Jeżeli jednak zdarzy nam się na nich zobaczyć sfrustrowane monotonią zabawy dzieci, tudzież znudzonych rodziców, to warto zadać sobie pytanie, czy świat znów nam nie ucieka, i to w innym kierunku niż ten, gdzie rządzą wszechobecne maty i kolorowy plastik. W najlepszych projektach z myślą o dziecięcych zabawach wraca stare: przesiadywanie w krzakach, babki z piasku, błotne zupki i kotlety z liścia. Czyli wolna, nieskrępowana zabawa.

Nasz przyjaciel brud

W Finlandii błoto i mech stopniowo zastępują gumową matę amortyzacyjną. Fińscy uczeni mają przepis na lepsze dzieciństwo: dzikie place zabaw. Koniec z asfaltem, do przedszkoli wjeżdżają liście, czarna ziemia i martwe drzewo. W całym kraju 1 mln euro łącznie na dzikie place otrzymały 43 placówki. W przedszkolu Humpula w Lahti maluchy bawią się błotem. Teren wygląda jak działka rekreacyjna uprawiana przez dzieci: jest kompostownik, rosną ogórki, marchew, buraki, ziemniaki. Na miejsce, które pięć lat wcześniej służyło jako parking, nawieziono 10 m kw. leśnego runa, razem z jagodami i mchem.

Przedszkole bierze udział w trwającym od dwóch lat eksperymencie nadzorowanym przez Fiński Instytut Zasobów Naturalnych. Naukowcy monitorują aktywności i stan zdrowia 75 dzieci w wieku od trzech do pięciu lat, uczęszczających do zielonych placówek oraz do zwykłych. Po roku obserwacji okazało się, że zielone przedszkolaki mają na skórze mniej bakterii takich jak *Streptococcus* oraz silniejsze mechanizmy obronne, a ich mikroflora jelitowa wykazała obniżony poziom bakterii *Clostridium*, wywołującej przewlekłe stany zapalne jelit.

Naukowcy już wcześniej informowali, że wskutek kontaktu z naturą poprawia się funkcjonowanie układu immunologicznego w młodym organizmie. Pierwsze tysiąc dni życia, kiedy mózg i ciało rozwijają się najszybciej, to kluczowy czas. „Żeby nasz układ odpornościowy mógł nauczyć się zwalczać patogeny i bakterie,

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Małpi gaj na Wichrowym Wzgórzu w Poznaniu, uważany przez wielu za najlepszy plac zabaw w mieście.

musi mieć z nimi jakiś kontakt. Im bardziej oczyszczamy z roślin i zwierząt nasze otoczenie, tym bardziej stajemy się bezbronni. Idealnie byłoby, gdyby dzieci mogły każdego dnia kopać dołki w naturalnej glebie i bawić się w kałużach", zauważają naukowcy z Helsinek. Kiedy zgodnie z tezą o „naszych starych przyjaciołach" Marja Roslund z Uniwersytetu Helsińskiego stwierdza: „Choroby immunologiczne są kosztowne. Nawet niewielkie zmniejszenie obciążenia tymi chorobami jest dobre dla zdrowia narodowego i gospodarki", dla gości z Norwegii, Islandii i Danii to zachęta do uczenia się, jak odtworzyć fiński model u siebie.

Dzieciństwo bez guza

150-letnia historia placu zabaw zaczyna się od Spielplatzu. „Dzieci są jak małe kwiatki; są zróżnicowane i wymagają opieki, ale każdy jest piękny sam, i wspaniały, gdy widzi się go we wspólnocie rówieśników", mówił Friedrich Fröbel, założyciel pierwszego niemieckiego przedszkola (1837). Fröbel twierdził, że każde miasto powinno mieć plac zabaw. W połowie XIX w. w Berlinie dzieci bawiły się w wielkich piaskownicach. Wraz z wynalezieniem samochodu w 1886 r., kiedy ulice stały się niebezpieczne dla dzieci, pojawiła się potrzeba organizowania miejsc przeznaczonych do zabawy. Ale XIX w. to przede wszystkim czasy skradzionego dzieciństwa. Dzieci z rodzin robotniczych, zanim wprowadzono zakaz pracy nieletnich w fabrykach, korzystały z przywileju szkolnego i dodatkowo pracowały. Wszechobecne choroby i bieda sprawiły, że zaczęto szukać sposobów na zapewnienie im lepszego startu. W programie XIX-wiecznej szkoły nie było WF, powstawały więc place ćwiczeń. Pierwszy plac na ziemiach polskich założył dr Henryk Jordan w Krakowie w 1889 r.

W 1921 r. angielski przemysłowiec Charles Wicksteed otworzył 25-hektarowy park w modelowej wiosce z zapleczem rekreacyjnym dla pracowników fabryk. Przypisuje mu się wynalezienie takich sprzętów jak huśtawki, zjeżdżalnie i karuzele. W 1943 r. podczas niemieckiej okupacji powstał w Danii pierwszy w Europie przygodowy plac zabaw, z deskami, gałęziami, oponami, kamieniami i kartonami. Jego krytycy potępili go jako „miejsce chaosu i anarchii". Dzieci natychmiast go pokochały. Po II wojnie światowej śmieciowe (albo robinsonowe) place stały się powszechne również w Szwajcarii. Pierwszy powstał w Zurychu z myślą o ochronie dzieci przed ruchem ulicznym.

Pierwsza publikacja norm bezpieczeństwa z 1976 r. dla placów zabaw w Niemczech miała zaledwie osiem stron i zawierała minimalne wymagania dotyczące barierek, maksymalną wysokość upadku, minimalną jakość podłoża oraz zalecała regularne kontrole. Kilkakrotnie nowelizowana, ewoluowała do Normy Europejskiej EN 1176, obowiązującej do dziś (w Polsce PN-EN 1176 i PN-EN 1177 to w sumie kilkaset stron). W USA połowa placów w 2000 r. nadal miała huśtawkę, ale w 2004 r. już tylko co dziesiąty. Przyczyną były rosnące obawy dotyczące bezpieczeństwa, choć według amerykańskiej Komisji ds. Bezpieczeństwa Produktów huśtawki stanowią przyczynę zaledwie 2% wypadków. Tu warto wspomnieć, że trampoliny, uwielbiane przez dzieci, przyczyniły się według Niemieckiego Towarzystwa Ortopedii i Chirurgii Urazowej do gwałtownego wzrostu liczby wypadków: operacje są dwukrotnie częstsze w przypadku urazów związanych ze skokami na trampolinach niż wskutek innych aktywności dzieci. Mimo to rodzice je kupują, a dzieci skaczą.

Miejskie i przedszkolne place zabaw należą do terenów przyrodniczo ubogich, bez zagajników czy dzikich zarośli.



Przepiłowane rok temu huśtawki na placu przy ul. Owsianej w Poznaniu.

Szwajcarski spielplatz-portal.ch wymienia preferencje użytkowników placu: dla dzieci to zjeżdżalnia (z dozwolonym wchodzeniem pod prąd), huśtawka (relaks albo akrobacje), a najlepiej drzewka, powalone pnie, gałęzie, kamienie, szyszki, piasek i woda. Rodzice na pierwszym miejscu stawiają bezpieczeństwo (żadnych górek i budynków, za którymi znikają dzieci, ławki w centralnym miejscu, obowiązkowo ogrodzenie, nawierzchnia z gumowej maty) oraz dostęp do toalety. Eksperci radzą: nie przesadzać z zasadami bezpieczeństwa, siniaki i guzy należą do

eprasa.pl cc4bb0ecd4

zdrowego rozwoju, a jeśli rodzic nie ufa projektantom placu, wskazane byłoby, żeby sam wypróbował przynajmniej niektóre jego elementy.

Bezpieczeństwo, obok inkluzywności, zrównoważonego rozwoju i ochrony przeciwsłonecznej, to wiodące wyzwania dla projektantów placów. Ale nadmierne skupienie się na bezpieczeństwie nie jest dobrym kierunkiem. Dziś największym ryzykiem jest to, że dzieci dorastają bez żadnego ryzyka.

Pułapka sejfityzmu

Pod koniec lat 80. XX w. skradziono dzieciom dzieciństwo po raz drugi. Jonathan Haidt, psycholog społeczny z Uniwersytetu Nowojorskiego, opisuje w „Rozpieszczonym umyśle", jak w porównaniu z poprzednimi pokoleniami najmłodsi przedstawiciele milenialsów i dzieci z pokolenia Z utracili możliwość bawienia się bez nadzoru rodziców. U dzieci, podobnie jak u innych ssaków, do dokończenia procesu rozwoju połączeń nerwowych w mózgu potrzebna jest wolna zabawa. Dzieciom jej pozbawionym grozi, że staną się mniej kompetentnymi – fizycznie i społecznie – dorosłymi.

Plac zabaw jako miejsce „fitnessu dla najmłodszych" nie spełnia poznawczo-badawczych i społecznych potrzeb dzieci.

Za odchodzenie od nieskrępowanej zabawy odpowiadają m.in. przesadny lęk przed porwaniem dziecka przez kogoś obcego, rosnąca rywalizacja w procesie edukacji oraz spadek nacisku na rozwój umiejętności fizycznych i społecznych.

Haidt powołuje się na przypadek Lenore Skenazy, „najgorszej mamy w Ameryce". W 2008 r. ta nowojorska dziennikarka, matka dwojga dzieci, pozwoliła, by jej ośmioletni syn Izzy sam pojechał metrem. Wyposażony w mapę, bilet, banknot 20-dolarowy i trochę drobnych Izzy w ciągu 40 minut trafił samodzielnie ze sklepu do domu. Był przeszczęśliwy i chciał to koniecznie powtórzyć. Kobieta opisała to w mediach i szybko zyskała miano najgorszej matki w kraju. Dała synowi tyle niezależności, ile sama otrzymywała w latach 70., kiedy poziom przestępczości był dużo wyższy. Według niej współczesny model wychowania charakteryzują paranoja i nadopiekuńczość.

Korzenie sejfityzmu, czyli wyolbrzymiania zagrożeń oraz fetyszyzowania bezpieczeństwa, sięgają wczesnych lat 80. W maju 1979 r. sześcioletni Etan Patz przekonał rodziców, żeby pozwolili mu przejść samemu dwie przecznice do przystanku, z którego autobus zabierał go do szkoły. Nigdy nie wrócił do domu, a jego ciała nigdy nie odnaleziono. Nowy Jork obwieszono plakatami z podobizną chłopca, jego rodzice błagali w wieczornym wydaniu wiadomości o informacje na temat syna. Jednak dopiero drugie morderstwo, do którego doszło w 1981 r., dało początek ruchowi na rzecz ochrony dzieci przed obcymi, który miał na zawsze zmienić amerykańskie dzieciństwo.

Sześcioletni Adam Walsh, pozostawiony na chwilę bez opieki przez mamę, został porwany przez seryjnego zabójcę. Dwa tygodnie później jego szczątki znaleziono w kanale wodnym 200 km od sklepu, w którym zaginął. Ojciec chłopca poświęcił życie na ratowanie innych dzieci przed tym, co spotkało jego syna. Domagał się reformy prawa, wyprodukował film telewizyjny „Adam" oraz serię „America's Most Wanted" o nierozwiązanych sprawach kryminalnych. Odegrał kluczową rolę we wprowadzeniu nowatorskiej metody umieszczania na kartonach z mlekiem zdjęć zaginionych dzieci pod napisem „Missing". Na pierwszych kartonach znajdowała się podobizna Etana Patza. W telewizji kablowej, hicie lat 80., pojawiły się kanały informacyjne prowadzące całodobowe relacje z porwań i zaginięć dzieci. Rodzice uwierzyli, że jeśli spuszczą z oczu pociechy, mogą je stracić. Tymczasem według badań ChildStats.gov z 2018 r. odsetek dzieci porwanych przez obcą osobę to zaledwie 1% dzieci zgłoszonych jako zaginione, czyli 100 spośród 70 mln nieletnich w USA.

Wszystkie zalety swobodnej zabawy (radość, niezależność, wytrwałość, rozwiązywanie problemów) uważane są za błahe w porównaniu z krzywdą, jaka może spotkać dziecko, jeśli nie ma nas przy nim. Zdaniem Lenore Skenazy rodzice stosują myślenie dychotomiczne: jeśli coś nie jest w 100% bezpieczne, to jest niebezpieczne. Ci zaś, którzy chcieliby dać dzieciom więcej swobody, są poddawani naciskom innych rodziców, szkół i prawa, dlatego czuwają nad pociechami bardziej, niż tego by chcieli.

Szkolny wyścig szczurów i jego wpływ na koniec wolnej zabawy opisuje Jonathan Haidt w „Niespokojnym pokoleniu". Czy to nie oburzające, alarmuje, że przeciętny amerykański uczeń szkoły podstawowej ma 27 minut długiej przerwy dziennie, a w najlepiej strzeżonych więzieniach federalnych Stanów Zjednoczonych więźniowie mają zagwarantowane dwie godziny spacerniaka? Dzieciom stopniowo odbierano dzieciństwo, odkąd w 1983 r. w raporcie Nation at Risk napisano, że w testach zostają w tyle za rówieśnikami z innych krajów. Polepszenie wyników w matematyce i angielskim stało się narodową obsesją, kosztem WF, muzyki i przerw. W 2013 r. Amerykańska Akademia Pediatryczna biła na alarm: długa przerwa jest kluczowa nie tylko dla zdrowia psychicznego oraz rozwoju społecznego, ale też dla zdolności poznawczych". Haidt kreśli obraz lepszej rzeczywistości, którą jesteśmy winni dzieciom i wnukom i która przypomina PRL-owskie dzieciństwo. Jego filary to szkoła bez telefonu, dłuższe przerwy, lepsze boiska i place.

Polskie place i nieplace

Dr hab. nauk pedagogicznych Jolanta Zwiernik z Uniwersytetu DSW we Wrocławiu w artykule „Przedszkolny plac zabaw z perspektywy dzieci" przytacza opinie grupy trzy-, pięciolatków, które poproszono o zrobienie zdjęć ważnych dla nich miejsc zabaw. Najfajniejsze okazały się krzaki i drzewa; „taka dziura

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Plac zabaw na warszawskim Bemowie.

w krzakach" to miejsce, gdzie dzieci uruchamiają wyobraźnię i lecą w kosmos. Albo też miejsce, gdzie wisi się głową w dół, kiedy nikt nie pilnuje. Cztero- i pięciolatki, poproszone o zaprojektowanie wymarzonego placu, chcą piaskownicy, huśtawki, stolika i miejsc do siedzenia, piasku i wody, ogródka oraz możliwości obserwacji owadów. Nieplac (miejsce do zabawy bez specjalnych sprzętów) dzieci opisują jako boisko do skakania na skakance i trawnik, na którym można obserwować mrówki czy robić gwiazdę.

„Place zabaw usytuowane w polskich miastach i miasteczkach, mimo że w założeniu są terenami dziecięcej zabawy, są projektowane przez osoby dorosłe bez udziału dzieci", zauważa Jolanta Zwiernik. „Duża liczba urządzeń do huśtania, wirowania, wspinania się, zjeżdżania i pozbawiony roślinności teren do biegania sprawiają wrażenie, że w przekonaniu projektantów dominującą potrzebą dzieci (…) jest ruch". Plac jako miejsce „fitnessu dla najmłodszych" nie spełnia poznawczo-badawczych i społecznych potrzeb małych dzieci. Zarówno miejskie, jak i przedszkolne place należą do terenów przyrodniczo ubogich. Często są pozbawione krzewów, zagajników czy dzikich zarośli, a pojedyncze wysokie drzewa nie dają dzieciom schronienia przed wzrokiem opiekunów.

Prof. Zwiernik piętnuje obowiązujący w niektórych przedszkolach zakaz zabawy patykami (patyk uznawany jest za pierwszą w dziejach zabawkę), korzystania z drewnianego domku umieszczonego na podwyższeniu czy – w przypadku najmłodszych dzieci – opuszczania piaskownicy. Niezwykle stabilne urządzenia, pozbawione ruchomych elementów, którymi dzieci mogłyby manipulować, nie pozwalają na urozmaicenie repertuaru zabaw i podejmowanie innych ich rodzajów, bardziej angażujących poznawczo i emocjonalnie niż zabawy ruchowe. Wyłożone syntetycznym materiałem podłoże to kolejny powód monotonii – uniemożliwia kopanie dołków w ziemi i zgłębianie jej tajemnic czy przećwiczenie, jak sobie radzić z upadkiem.

Korzystanie z placu obwarowane wieloma regułami to dowód, że dorośli nie wierzą w rozsądek dzieci. „Bezpieczeństwo dzieci na placach zabaw to niezwykle ważny aspekt ich aktywności, nie może ono jednak kolonizować dziecięcej zabawy i sprawiać, że plac zabaw stanie się terenem kojarzonym z nudą", konkluduje prof. Zwiernik.

Z pamiętnika matki nomadki

Z Wichrowego Wzgórza w Poznaniu, które w latach 90. było betonową pustynią, wyjechaliśmy z roczną córką do USA. Na amerykańskich placach jej miłość do patyków zderzyła się z zakazem: „Don't play with a stick!". Czujni rodzice nie odstępowali dzieci na krok. W szkołach, telewizji i książeczkach straszono obcym. Dojazd do placu możliwy był wyłącznie samochodem. Bandy dzieci na rowerach, jeżdżące szerokimi ulicami, oglądało się tylko w filmach. Sześć lat później przenieśliśmy się do Kanady. Kiedy na placu zabaw przy szkole w ottawskiej dzielnicy Beaverbrook wycięto wszystkie drzewa, mąż napisał skargę do lokalnej gazety. Nie każdy wie, że w Kanadzie latem bywa tyle stopni na plusie, ile zimą na minusie – dobrze ponad 30. Plac zamienił się w patelnię.

Syn od 2003 r. miał znacznie łatwiejszy start w Niemczech – do większości zdjęć pozował z kijkiem, czasem z dwumetrową gałęzią. Na nowym osiedlu domów jednorodzinnych nikt nie martwił się o place, na których niemieckim zwyczajem obowiązywała przerwa obiadowa oraz inne czasowe ograniczenia. Dzieci bawiły się w krzakach, na łąkach, chłopcy grali w ulicznego hokeja. Niemieckie dzieci wołały do mnie „mamo" – wszak wychowywała je „cała wioska".

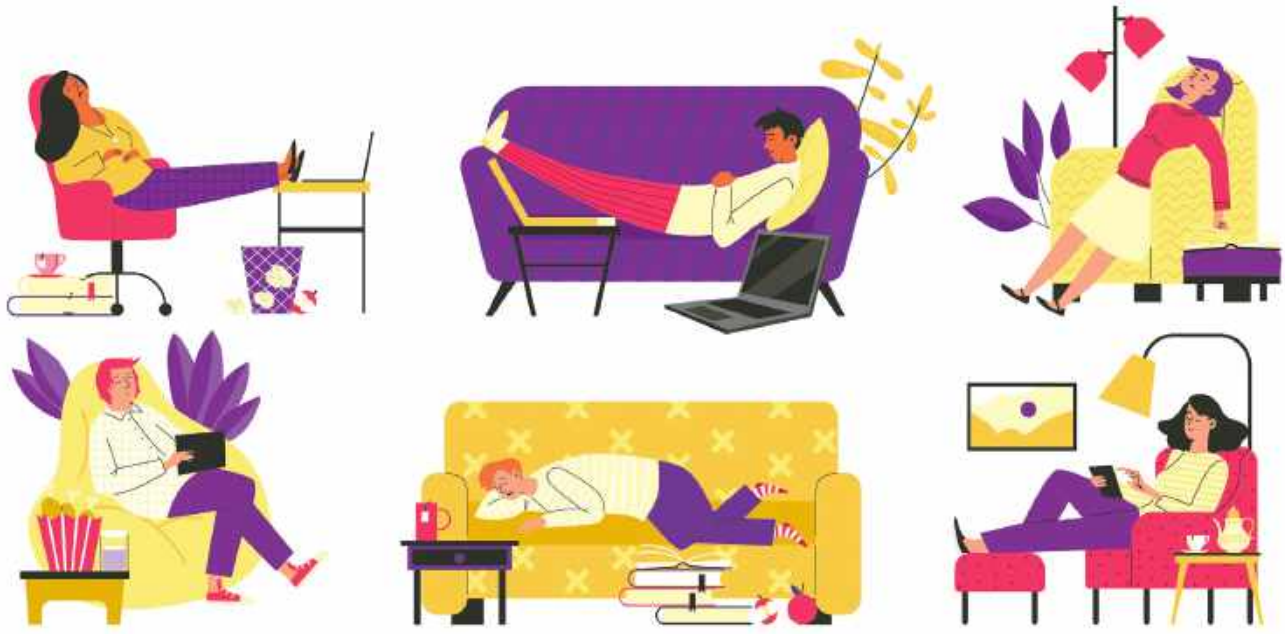
Dziś na Wichrowym Wzgórzu jest nowiutki małpi gaj, uważany przez wielu Poznaniaków za najlepszy plac w mieście. Fikuśne konstrukcje linowe, piaszczyste podłoże, dostatek cienia. Obok plenerowa siłownia i stoły do ping-ponga, czyli propozycje dla rodziców. W sobotnie popołudnie plac tętni życiem. Rodzice wpatrzeni w smartfony oblegają ławki, kilkoro trzyma się blisko dzieci. Któryś z ojców wspina się, nie bez trudu, na najwyższą wieżę linową, sięgającą czwartego piętra bloku. Na szczycie strzela sobie selfika. Jakiś maluch przed nim dostał się w to samo miejsce znacznie sprawniej. Dziewczynka woła do mamy, że chce siusiu. W pobliżu placu są dwie mobilne toalety, niestety znajdują się na terenie orlika ogrodzonego płotem. Mama wysadza małą pod drzewem. Dziewczynka wraca na plac z przemoczoną nogawką. Pyta: „Mamo, będziemy tu aż do wieczora?".

Wszystko lepsze od nieskrępowanej zabawy ze smartfonem w domu.

Zuzanna Muszyńska

FOT. ZUZANNA MUSZYŃSKA (2), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Człowieku, leń się!

Kultura kapitalistyczna wmawia nam, że lenistwo to problem

Kornel Wawrzyniak

Ponad 90 lat temu Bertrand Russell w głośnym eseju „Pochwała lenistwa" przekonywał, że to właśnie czas wolny jest jednym z fundamentów postępu cywilizacyjnego. Trudno jednak nie zauważyć pewnego drobnego szczegółu – przez większość historii ów czas wolny był luksusem zarezerwowanym dla nielicznych, opłacanym ciężką pracą i potem mas ludzi pracujących. Russell pisał o tym jak o cieniu przeszłości, który pada na jego współczesność. Dziś brzmi to raczej jak komentarz do wczorajszych wiadomości. Niechęć do lenistwa nie jest przypadkowa, ponieważ stanowi ono rysę na starannie wypolerowanym micie, wedle którego to ciężka praca ma nas kiedyś zbawić – a przynajmniej zapewnić emeryturę.

ABC lenistwa

Wielki Słownik Języka Polskiego definiuje lenistwo jako cechę kogoś, kto nie ma chęci do działania i komu trwanie w bezczynności sprawia przyjemność. Lenistwo pozostaje w relacji znaczeniowej z takimi synonimami jak nieróbstwo i próżniactwo. Przeciwstawia mu się zaś słowo pracowitość. Już na poziomie znaczeń i ich przeciwieństw przyzwyczajono nas do myślenia, że lenistwo, a nawet chwila wytchnienia, to zwykła strata czasu, coś, czego należy się wstydzić i unikać.

Prawda okazuje się jednak przewrotna. Świadome nicnierobienie bywa dziś aktem zdrowego rozsądku. Eksperci nie mają wątpliwości: odpuszczenie od czasu do czasu działa na naszą korzyść – obniża poziom stresu, reguluje ciśnienie i pozwala złapać oddech w świecie ciągłej produktywności. Jeden leniwy dzień w tygodniu nie jest więc plamą na honorze, lecz inwestycją w dobre samopoczucie. Oczywiście jak zawsze granica między odpoczynkiem a tzw. nieróbstwem wymaga wyczucia. Za Arystotelesem wypada powiedzieć, że nawet w lenistwie trzeba znać umiar.

Prof. Marcin T. Zdrenka, autor książki „O gnuśności. Studium lenistwa i jego kontekstów", twierdzi m.in., że historia bezczynności zatoczyła pewne koło. Zaczęło się od wymiaru pozytywnego, czyli starożytnych myślicieli, a skończyło na złym próżniactwie, rozlanym na całe konsumpcyjne i roszczeniowe społeczeństwo. Ale romantyczna wizja myślicieli antyku również ma ciemną stronę. Praca była wtedy domeną niewolników i rzemieślników, co miało zapewniać wolnym obywatelom czas na uczestnictwo w życiu politycznym oraz działalność intelektualną. De facto dzięki nieróbstwu klasy uprzywilejowanej powstały demokratyczne idee, za które dziś ludzie są w stanie oddać życie. Podwaliny hasła „Liberté, égalité, fraternité" (wolność, równość, braterstwo) położył system żerujący na pracy niewolniczej.

Jak widać, z lenistwem związanych jest wiele paradoksów. Od filozoficznych aż po te natury czysto praktycznej. Być leniwym jest dziś wyjątkowo trudno. Wyobraźmy

eprasa.pl cc4bb0ecd4

sobie, jak wygląda modelowy leniwy dzień. Mówimy tu o czymś niemal wywrotowym, bo o wzięciu wolnego i… nierobieniu absolutnie niczego. Nawet z listy „do zrobienia", gdzie mamy sekcję, w której przewidzieliśmy np. nadgonienie domowych porządków. To dzień bez zerkania na służbowe mejle nawet „na chwilkę" i bez odbierania telefonów, bo ktoś w pracy zapomniał, że wzięliśmy wolne. Zamiast tego: cały dzień w piżamie, kilka drzemek, ulubiony serial, trochę bezproduktywnej twórczości, jedzenie bez pilnowania kalorii i wreszcie te wszystkie małe przyjemności, które nie zwiększają wydajności ani o jeden punkt procentowy.

Świadome nicnierobienie bywa dziś aktem zdrowego rozsądku.

Życie w kłamstwie

Okazuje się jednak, ku zaskoczeniu wyznawców Excela i tabeli z KPI (kluczowy wskaźnik efektywności), że taki dzień to nie cywilizacyjna katastrofa, lecz całkiem sensowny mechanizm przetrwania. Mózg dostaje przerwę od nieustannego „muszę", ciało ma szansę się zregenerować, a człowiek – choć dla kapitalistów brzmi to podejrzanie – przestaje funkcjonować wyłącznie jako zasób. W efekcie zmniejszamy ryzyko wypalenia zawodowego i całego pakietu „atrakcji" wywołanych przez chroniczny stres. Jeśli kogoś dopadają w taki dzień wyrzuty sumienia z powodu „zerowej produktywności", to uspokajam: problem nie leży w tobie, lecz w samej definicji produktywności. Bo wbrew popularnej narracji danie sobie od czasu do czasu, kolokwialnie rzecz ujmując, siana ze wszystkim nie jest żadną oznaką słabości, to dbanie o swoje zdrowie, a tym samym – i tu niespodzianka – o swoją wydajność w pracy.

Ponad 20 lat temu w książce „Witaj lenistwo. O sztuce i konieczności obijania się w pracy" Corinne Maier obnażyła fakt, że praca w korporacji nie ma wiele wspólnego z samorealizacją. Raczej przypomina wielki mechanizm, w którym pracownik jest drobnym elementem. Autorka podkreśla, że wielu pracowników średniego szczebla funkcjonuje bez realnych szans na awans czy spełnienie ambicji, a jedynym rzeczywistym celem pracy pozostaje wypłata. W tym ujęciu praca etatowa jawi się jako coś bliskiego „współczesnemu niewolnictwu", a cała ideologia firm to jedynie fasada podtrzymująca wiarę maluczkich w system.

Pokrywa się to z obserwacjami Bertranda Russella, który pisał, że ludziom wtłacza się poczucie, że praca jest obowiązkiem, a system nagradza ich za cnotę pracowitości, a nie za to, co wytwarzają: „Oto moralność państwa niewolniczego praktykowana w okolicznościach zupełnie niepodobnych do tych, w jakich powstała. Nic dziwnego, że doprowadziła do katastrofalnych wyników".

Publikacji książki Corinne Maier towarzyszył spory skandal – była uderzeniem wprost z wnętrza systemu. Autorka była ekonomistką zatrudnioną w dużej francuskiej korporacji. Za najbardziej kontrowersyjne uznano zaś to, że Maier namawia do „strategicznego lenistwa". Polega ono na minimalnym zaangażowaniu i unikaniu odpowiedzialności, nadmierna gorliwość bowiem niczego w życiu pracownika nie zmienia, jedynie wzmacnia system. Rozsądniejszą strategią okazuje się zachowanie dystansu i budowanie pozycji określanej jako „bezpieczna niewidzialność". Pracę należy zaś traktować instrumentalnie. Jedynie jako źródło dochodu.

W tym ujęciu lenistwo przestaje być wadą, a staje się formą cichego oporu wobec absurdów współczesnego świata pracy. Przypomina to zachowanie bohaterów kultowego serialu „M.A.S.H.", którzy wykorzystują wojskowe dżipy do prywatnych celów.

Złote rady

Na straży piętnującego lenistwo status quo stoją tymczasem tytuły quasiekonomiczne. Zatroskany Business Insider i jemu podobne podsuwają w tekstach pomysły, jak radzić sobie z lenistwem. A ono traktowane jest podobnie jak przeziębienie. Rzeczony tytuł pilnuje nie tylko naszego czasu w pracy, ale też czasu wolnego. W domyśle – nawet odpoczynek musi być aktywny. „Lenistwo potrafi wziąć górę nad ambicją. Pomyśl, znów po pracy nie poszedłeś na siłownię, nie wyniosłeś śmieci, nie zrobiłeś nic pożytecznego. Spędziłeś za to mnóstwo czasu na Facebooku, obejrzałeś kilka seriali i jutro prawdopodobnie spędzisz dzień podobnie. Jak to zmienić?", głosi nagłówek.

Widać, że podejście do pracy wylewa się na życie. Powielany jest schemat, w którym zawsze trzeba być pożytecznym i wydajnym, bo to praca definiuje jednostkę. Człowiek jest zredukowany do biologicznej funkcji przetwarzania i powtarzalnej pracy. A jego życie kręci się wokół zaspokajania codziennych potrzeb i konsumpcji.

Eksperci nie mają wątpliwości: odpuszczenie od czasu do czasu działa na naszą korzyść, obniża poziom stresu i reguluje ciśnienie.

Retoryka lenistwa jako grzechu została wyparta we współczesnym dyskursie menedżerskim przez nazbyt psychologiczne ujęcie tematu. Terminy takie jak gnuśność i nieróbstwo zastąpiono w korponowomowie przede wszystkim walką z prokrastynacją. Z definicji to nawykowe, nieuzasadnione odkładanie ważnych zadań na później. Najczęściej zamienia się je na czynności mniej istotne lub przyjemne. W większości przypadków definicja prokrastynacji zawiera też

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cc4bb0ecd4

zastrzeżenie, że nie jest ona lenistwem. Często wynika z perfekcjonizmu i strachu przed porażką.

Naprawdę mamy uwierzyć, że większość pracowników odkłada pracę na później ze względu na ponadprzeciętną ambicję? A może po prostu wielu z nas czuje bezsens pracy w wymiarze, o jakim mówiła Hannah Arendt w „Kondycji ludzkiej"? Według filozofki na tytułową kondycję składają się trzy niepowiązane ze sobą aktywności: działanie, wytwarzanie i praca. To pierwsze postrzegane jest jako najszlachetniejsze. Wymaga międzyludzkiej interakcji i ma charakter autoteliczny, czyli jest celem samym w sobie. To tutaj realizuje się wolność i pluralizm jednostek. Wytwarzanie odróżnia się od działania właściwie głównie tym, że jest intencjonalne. Na samym końcu stawiana jest zaś praca, przypisana czystej konieczności, jako środek do zaspokajania żądz i zwierzęcych potrzeb ludzi.

Arendt zauważyła, że odwrócono hierarchię, a pracę zmieniono w cel najwyższy jako drogę do samorealizacji. Jednakże współczesny człowiek, zdaje się, zaczął znów dostrzegać, że jest jedynie trybikiem w wielkiej maszynie. To szybko prowadzi do poczucia bezsensowności wykonywanej roboty. Bardzo dobrze widać to w podejściu pokolenia Z do rynku pracy, co opisywałem na łamach „Przeglądu" w tekście „Podcinanie skrzydeł zetkom" (nr 11/2026), uzasadniając, że roczniki wchodzące dziś na rynek pracy nie nabierają się już na „kulturę zapierdolu".

A żeby utrzymywać wiarę w to, że praca jest najważniejszą wartością w życiu, tytuły ekonomiczne atakują nas złotymi radami, pełnymi zwrotów z języka biznesu. Weźmy na warsztat poradnik cytowanego już Business Insidera z 10 nawykami zwalczającymi lenistwo. Szkoda miejsca na wszystkie zawarte tam mądrości, przedstawię tylko te „najgłębsze" myśli. Jeśli nie chce ci się czegoś robić, zawrzyj sam ze sobą umowę i zaplanuj sobie na to czas. Ten magiczny sposób sprawi, że nastawisz swój umysł na osiągnięcie celu. Kolejna rada na lenistwo to pójść na trening, który da energię do działania. A jeśli nie chce ci się iść na siłownię, umów się tam ze znajomym – w obawie przed utratą twarzy (bo tylko ludzie bez honoru nie idą pomachać hantlami) pójdziesz na pewno. Jeszcze bardziej absurdalny zdaje się przykaz siadania pomiędzy najpracowitszymi ludźmi w biurze. Przecież od razu zarazimy się od nich chęcią do pracy! Poza tym należy zamieniać „muszę" na „chcę", bo najzdrowszą postawą życiową jest, jak wiadomo, bezustanne okłamywanie samego siebie, kiedy widzimy bezsens egzystencji.

W tym dyskursie lenistwo bierze górę nad ambicją, o której utrzymanie trzeba walczyć. Piętnuje się nawet bezczynność domową – w miejscu, które z definicji jest przeznaczone do odpoczynku. Tymczasem lenistwo dające chwilę oddechu nie jest porzuceniem ambicji. Nie są to przeciwstawne siły, bo przecież można lenić się ambitnie. Weźmy choćby kontemplowanie sztuki lub rozmyślania podczas wylegiwania się na kanapie. Ba! Chwila odpoczynku jest momentem do refleksji, bo, jak zauważa Bertrand Russell, „w rzeczywistości dokonywanie zmian w położeniu materii, choć w pewnej mierze konieczne dla naszej egzystencji, żadną miarą nie może być uznane za jeden z ostatecznych celów życia ludzkiego. W przeciwnym razie każdego robotnika drogowego musielibyśmy stawiać wyżej od Szekspira".

Przeciwstawianie przez kapitalizm „szczerej i prawdziwej pracy fizycznej" pracy intelektualnej również jest bezpiecznikiem, który sprawia, że niewielu zastanawia się chociażby nad zasadnością wykonywanej pracy czy swoimi prawami pracowniczymi.

Mózg dostaje przerwę od nieustannego „muszę", ciało ma szansę się zregenerować, a człowiek przestaje funkcjonować wyłącznie jako zasób.

Co odpowiedzą obrońcy „kultury zapierdolu"? Najpewniej sięgną po znany slogan, który ma zastąpić wszelką refleksję: „Jeśli robisz to, co kochasz, nie przepracujesz ani jednego dnia". Wynika z niego, że skoro czujesz zmęczenie pracą, najwyraźniej wybrałeś ją źle. Jeśli jesteś nią znudzony – zapewne wykonujesz ją bez pasji. A jeśli masz dość… Cóż, najwyraźniej problem leży w tobie. Tylko że ta sentencja zawiera sprzeczność. Z jednej strony, słyszymy, że każda chwila bezproduktywności to grzech, a nawet czas wolny należy „zagospodarować". Z drugiej – mamy tak bardzo kochać pracę, aby przestać ją odczuwać. Dochodzimy do osobliwej sytuacji: mamy nie być leniwi, ale najlepiej tak się zatracić w pracy, żeby przestać czuć, że coś robimy. I tym sposobem, oddając się w całości pracy, stajemy się kompletnymi nierobami. Właśnie z „miłości" do pracy.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl cc4bb0ecd4



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dzieciństwo było wtedy, kiedy wszyscy jeszcze żyli. Oprócz tych, którzy nie żyli od zawsze – dziadków nie zdążyłem poznać. Ten od strony ojca owiany był aurą legendarnego dobra. „To był święty człowiek…", powiadano, a półgębkiem, na stronie dodawano: „…że tyle lat wytrzymał z twoją babcią". Zabrał go rak wątroby, zanim dożył wieku emerytalnego. Ten po kądzieli wypadł z okna kilka miesięcy przed moim narodzeniem, w dzieciństwie słyszałem, że podczas mycia szyb, w młodości ktoś mi doniósł, że zasnął po pijaku z papierosem w ręku i podczas ucieczki przed pożarem pomylił okno z drzwiami.

W domu nie palił nikt; wujaszek złota rączka, co to wyrabiał cuda najrozmaitsze z kawałka blachy, jak już sobie wyrobił popielniczkę, to z czasem nauczył się popalać, żeby mieć co strzepywać. Ale na naszym piętrze, w mieszkaniu rodziców, palili tylko goście. Długo myślałem, że mam supermoc wyczuwania gości nawet dawno po ich wyjściu – matka wietrzyła co prawda mieszkanie po odwiedzinach, ale i tak czuło się jakieś zaburzenie w powietrzu, jakiś nieznany zapach, a ja, durne niewiniątko, nie miałem skąd wiedzieć, że to od dymu.

Siostra mamy pracowała w kiosku w Rudzie Śląskiej, a konkretnie na Wiyrku, blisko kopalni, uwielbiałem u niej przesiadywać i podawać towary – pieniędzy nie pozwalała mi tknąć. Zakochałem się w zapachu farby drukarskiej, lubiłem siedzieć w tej ciasnej przestrzeni otoczony mnogością gazet – kiosk był taką bezpieczną kapsułą w miejskiej dżungli, można było przez szyby obserwować ludzi, który nie mieli bezpośredniego dostępu do wewnątrz, musieli się schylać nad ladę i przez prostokątny otwór powiedzieć, co chcą kupić. Nie chodziło więc o sam zapach liter, tylko o światło dzienne, w przeciwnym razie marzyłbym o byciu księgarzem, a przecież jako dziecko chciałem być kioskarzem – do księgarń docierało za mało światła. Uwielbiałem też tę potencjalną przygodność, w księgarni można było sprzedawać tylko książki, a kiosk stwarzał tyle możliwości – gazety, szampony, płyny do golenia, nawet jakieś tandetne zabawki, kiosk to było prawie tysiąc i jeden drobiazgów, ale prędko okazało się, że i tak wszyscy kupują jedynie papierosy i zapałki, więc szybko mi się znudziło. Górnicy zaraz po szychcie, w drodze do domu, namiętnie kupowali papierosy i kurzyli, a potem kucali, choć może w odwrotnej kolejności, palili po to, żeby przestać kaszleć, bo świeże powietrze drażniło ich drogi oddechowe.

Mąż ciotki zmarł na raka płuc z papierosem w zębach, ciocia odziedziczyła po nim emeryturę górniczą, już nie musiała pracować w kiosku. Sama też kopciła jak parowóz, ale swojego raka doczekała się dopiero 40 lat później, wujkowi chyba pomogła domieszka pylicy.

Nigdy nie chciałem być dorosły, właściwie do dzisiaj nie chcę – dorosłych za moich czasów rozpoznawało się po tym, że śmierdzieli papierosami, może dlatego nigdy nie ciągnęło mnie do fajek. Pociągu do alkoholu nie miałem po kim odziedziczyć, ojciec za rzadko wracał do domu w takim stanie, że nie mógł trafić kluczem do dziurki, dlatego to złowieszcze skrobanie o zamek, które wspominają dorosłe dzieci alkoholików jako preludium do piekielnych awantur, dla mnie było raczej zabawne; pijany domownik był u nas ciekawostką przyrodniczą.

Nie oznacza to, że przeżyłem dzieciństwo szczęśliwe, ale jakieś szczęście da się z tego tortu wykroić, całkiem spory nawet kęs – im człowiek starszy, tym łacniej zapomina o tym, co było dotkliwe, bo przecież chciałby jeszcze być dzieckiem, chciałby, żeby wszyscy jeszcze żyli, chciałby, aby jego istnienia wciąż się kategorycznie domagano, aby się o nie niepokojono, aby nad nim czuwano. Nawet jeśli czasem domagano się zbyt kategorycznie, zbyt impulsywnie karcono – nie dam rady wyprzeć pamięci o bólu po laniu od ojca, pamięci o strachu przed laniem, byłem bowiem dzieckiem bitym, choć z dzisiejszej perspektywy sądzę, że raczej bijanym. Napisałem o tym powieść, którą nagradzano, pobrałem więc odszkodowanie, ojcu wybaczyłem, acz nie bez trudu, bo nie bił z niechęcią, aby wymierzyć karę za moją niesubordynację – bił nienawistnie, z wściekłością w oczach i impetem, bo to, co przeskrobałem, było tylko pretekstem do bicia za wszystko, co mu się w życiu nie udało.

Nic tak jednak nie bolało jak kłótnie rodziców, parzące uszy i serce także długo po tym, jak przestałem być dzieckiem. Diapazon ich negatywnych emocji mnie przerażał, bałem się katastrofy rozpadu, choć potem już właściwie o niej marzyłem, bo wiedziałem, że ci ludzie nie mogą żyć ze sobą i zarazem nie potrafią się od siebie uwolnić. To mnie na całe życie naznaczyło, natchnęło do tego, by raczej zakładać i rozkładać kolejne rodziny, niźli przez całe życie męczyć się w związku wypalonym, niszcząc psychikę sobie i bliskim, a najbardziej dzieciom.

Kiedy zanadto rozczulam się nad sobą i do dziecięctwa tęsknię, dość mi przypomnieć sobie wieczne kłótnie rodziców. „Nie kłóćcie się", prosiłem bezskutecznie, a potem już tylko zatykałem uszy. ■

eprasa.pl cc4bb0ecd4

MONO W JĘZYKACH OBCYCH

Teatr jednego aktora wraca do Krakowa



Pan Tadeusz

Tomasz Miłkowski

Niemiecki krytyk Dieter Topp po obejrzeniu „Pana Tadeusza" na Krakow Fest 2026, Międzynarodowym Festiwalu Monodramu, nazwał wykonawcę, Mateusza Nowaka, królem polskiego monodramu. Porównał jego pozycję w polskim teatrze jednego aktora do pozycji króla monodramu brytyjskiego, którym w jego przekonaniu jest Pip Utton. To coś więcej niż komplement, bo oznacza, że epos Adama Mickiewicza przemówił do krytyka, który nie zna języka polskiego, a mimo to odczuł jego urodę.

Nie pokrzepiamy serc

Mateusz Nowak występował w Krakowie poza konkursem jako jeden z dzisiejszych majstrów gatunku. Do pozycji mistrzowskiej szedł z ruchu amatorskiego, debiutując monodramem „Teatralność" (2011), za który podczas toruńskiego festiwalu teatrów jednego aktora został nagrodzony Szczeblem do Kariery. Nagrodę tę zainicjował i wylansował Wiesław Geras, dyrektor najważniejszych festiwali monodramu, starając się za jej pośrednictwem wydobywać z cienia najbardziej obiecujące talenty objawiające się w ruchu teatrów jednego aktora.

Zanim Nowak zdecydował się na debiut w teatrze jednoosobowym, przez kilkanaście lat brał udział w konkursach recytatorskich, zbierając na nich kilkadziesiąt nagród. Kiedy był już gotów, razem ze Stanisławem Miedziewskim, reżyserem i współscenarzystą wszystkich jego monodramów, przygotował „Teatralność".

Po debiucie kolejnymi monodramami potwierdził swoje dyspozycje aktorskie w tym specyficznym gatunku, zdobywając liczne laury na międzynarodowych festiwalach, szczególnie za głośny spektakl „Od przodu i od tyłu" według książki Karola Zbyszewskiego pod tym samym tytułem, ukazującej proces rozpadu szlacheckiej Rzeczypospolitej. To opowieść o polskich omamieniach, prywacie, korupcji, bigoterii i krótkowzroczności, która ma nie tylko walor pouczającej lekcji historii. Unosi się nad nią duch Gombrowicza z jego krytycznym, groteskowym ujęciem polskości.

> Teatr jednego aktora należy do najbardziej pojemnych form współczesnej sceny.

Podobną aurę tworzy Nowak w monodramie według „Pana Tadeusza", który wcale nie jest miłą gawędą ku pokrzepieniu serc, jak mogłoby się wydawać; zawiera sporo akcentów o gorzkiej wymowie, dalekich od radosnego delektowania się przeszłością. Scenariusz został zamknięty ramami epopei: od inwokacji do epilogu, choć wiele wątków siłą rzeczy zostało pominiętych, jak choćby malownicze grzybobranie, barwny obraz zaścianka, zajazd i bitwa czy dramatyczna spowiedź Jacka Soplicy. Podobnie rzecz się ma

eprasa.pl cc4bb0ecd4


Deep voices

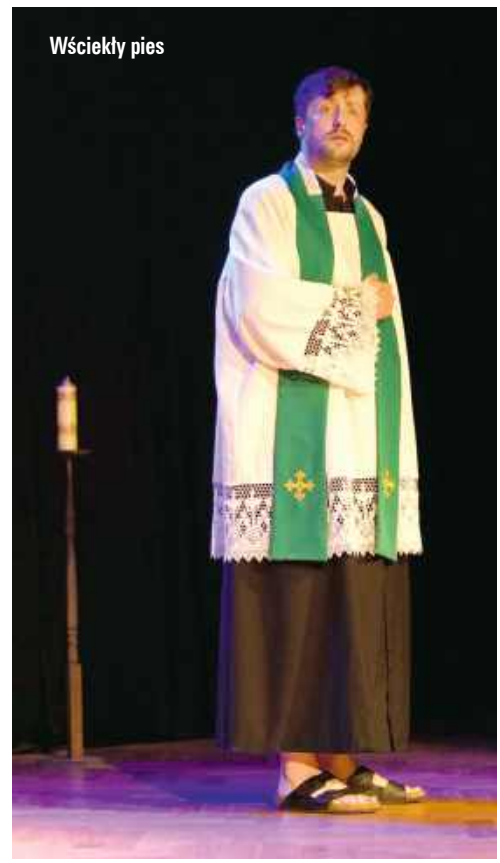
z postaciami, nawet tak soczystymi jak Gerwazy czy Jacek Soplica vel ksiądz Robak, dla których niemal nie starczyło miejsca.

W głównych rolach obsadzone zostały inne postacie, które kolorową kreską maluje Mateusz Nowak: Telimena, Zosia oraz Pan Tadeusz, Sędzia, Wojski i Jankiel. Historia tak skomponowana wysunęła na plan pierwszy starcie między Polską odchodzącą, sklerotyczną krainą dawnych obyczajów szlacheckich (Wojski), i Polską nowej wspólnoty (Jankiel), między krainą patriarchatu (Sędzia, Pan Tadeusz) i kiełkującą emancypacją (Telimena, Zosia). Powstała świetnie skrojona opowieść z brawurowo wykonanymi koncertami Wojskiego i Jankiela.

Eros przebudzony

„Pan Tadeusz" w Krakowie był na deser. Podobnie jak pokaz monodramu o Haroldzie Clurmanie, legendzie amerykańskiego aktorstwa, „Let it Be Art" w wykonaniu Ronalda Randa (USA) i premiera spektaklu krakowskiego teatru KITE (granego jak zwykle w tym teatrze po angielsku) „Ministry of Internal Control", wyraźnie nawiązującego do „Policji" Sławomira Mrożka. To właśnie założyciel i dyrektor KITE Theater Zien Rashad i jego żona Monika Hess-Rashad stoją za Krakow Fest. To oni zapewnili mu odpowiednią oprawę, sponsorów i międzynarodowy zasięg, korzystając z patronatu miasta Krakowa, ale i Międzynarodowego Instytutu Teatralnego, a także, co ważne, życzliwych twórców, takich jak Jolanta Sutowicz, mająca za sobą bogate doświadczenie kilońskiego festiwalu Thespis.

Sam zamysł międzynarodowego spotkania twórców teatru jednoosobowego zasługuje na życzliwy komentarz. Gatunek ten należy do najbardziej pojemnych form współczesnej sceny. Tymczasem po zaniechaniu organizacji festiwalu WROSTJA, będącego przez wiele lat pulsującym centrum życia festiwalowego teatrów jednego aktora w Polsce i w Europie (ostatni festiwal we Wrocławiu pod dyrekcją Wiesława Gerasa odbył się w 2017 r.), powstała luka. Monika i Zien próbują ją wypełnić. Wprawdzie impreza nie jest kontynuacją WROSTJA, ale tchnie podobnym duchem współpracy międzynarodowej i międzypokoleniowej.


Wściekły pies

Pochodzący z Egiptu Zien Rashad korzysta ze swoich kontaktów na Bliskim i Dalekim Wschodzie, będących wciąż atrakcyjnym kierunkiem choćby ze względu na sporadyczność wymiany kulturalnej. Nie zaniedbuje przy tym kierunków tradycyjnych. Dlatego na krakowskim festiwalu spotkali się artyści i krytycy z aż 17 krajów, w tym spora grupa spoza Europy (Korea Południowa, Jordania, Egipt, Emiraty Arabskie, Turcja, USA). Nie zabrakło reprezentantów Europy – z Bułgarii, Hiszpanii, Estonii, Litwy, Niemiec, Rumunii, Wielkiej Brytanii i oczywiście Polski.

Twórcy festiwalu opatrzyli go podtytułem „Eros Awakened" (Eros przebudzony). „Eros – tłumaczą – pojawia się tu nie jako temat. Lecz jako siła – impuls ku spotkaniu, napięcie między jednostką a światem, potrzeba bycia widzianym i słyszanym. Nie znosi różnic, lecz umożliwia bliskość mimo ich istnienia".

Gęsty od zdarzeń program Krakow Fest, ze szczególnie celebrowaną ceremonią otwarcia, wypełniały warsztaty, imprezy towarzyszące, ale przede wszystkim spektakle, które stanowią jądro każdego festiwalu. Organizatorzy zadbali o stworzenie przyjaznej atmosfery spotkania, zapewnili jego dokumentację i prezentację wszystkich uczestników. Podczas otwarcia wręczono specjalne nagrody uznania festiwalu, otrzymali je Ronald Rand i Lidia Bogaczówna, znakomita aktorka od lat związana z Teatrem Słowackiego. Był to jasny sygnał, że w centrum zainteresowania Krakow Fest pozostanie sztuka aktorska i konfrontacja estetyk wywodzących się z różnych źródeł.

Do konkursu międzynarodowa komisja selekcyjna zakwalifikowała siedem spektakli z Bułgarii, Hiszpanii, Jordanii/Szwajcarii, Korei, Polski, Rumunii i Turcji. Najwyższe

FOT. PATRYCJA ZAGAJA (3)

eprasa.pl cc4bb0ecd4

uznanie międzynarodowego jury zyskał eksperymentalny monodram rumuńskiej aktorki Andrei Tanase „#notI" na podstawie tekstów Samuela Becketta.

Jej spektakl był próbą przeniesienia rzeczywistości zapisanej przez Becketta w epokę multimedialną – dlatego projekcje wideo stały się naturalnym tłem dialogowym dla aktorki poszukującej swojej tożsamości, usiłującej scalić fragmentaryczne doświadczenia w sensowną całość. Przedstawienie przepojone jest uczuciem niepokoju i niepewności, lękiem przed nadchodzącym jutrem. Liczy się w nim bardziej aura tajemnicy istnienia niż odpowiedź na pytanie, kim jest bohaterka.

Nagrody, nagrody

Nagrodę dla najlepszej aktorki wywiozła z Krakowa jordańska artystka (mieszkająca w Szwajcarii) Tahani Salim za spektakl „Deep Voices", nawiązujący do realiów wojny w Gazie. Scenariusz oparty został na dokumentach i autentycznych wspomnieniach, ukazujących, jak wojna dzień po dniu odmienia egzystencję cywilów niemających z nią nic wspólnego. Niweczy dzieciństwo, niszczy więzy rodzinne. Emocjonalnej opowieści towarzyszą sugestywne zdjęcia dokumentalne ilustrujące życie pod narastającą presją zagrożenia.

Nagrodę dla najlepszego aktora odebrał Sebastian Słomiński, związany z warszawskim niezależnym Teatrem Pijana Sypialnia. W teatrze jednego aktora zaistniał od niedawna, spektaklem „Wściekły pies" na podstawie reportażu Wojciecha Tochmana, przygotowanym pod reżyserską ręką Marcina Bortkiewicza (nagrodzonego przez jury za reżyserię). Spektakl zaczyna się homilią młodego kapłana, która okazuje się jego spowiedzią – ksiądz dokonuje publicznego coming outu. Jego dramat polega jednak na wewnętrznej niezgodzie na nieheteronormatywność, na swoistym moralnym rozdwojeniu. Próbuje wyzwolić się z tej pułapki. Słomiński wydobywa odcienie tego zmagania sugestywnie, jednając sobie empatię widzów.

Werdykt jury wskazał wywołujące najsilniejsze wrażenie „przebudzenia Erosa" na tym festiwalu, choć warto pamiętać o innych osobach uczestniczących w przeglądzie. Odsłoniły one dramat samotności z innej perspektywy, jak koreańska aktorka Kim Dongsoon w monodramie „The Understanding of Fandom" o przejmującej drodze do porozumienia matki z córką czy szkocka aktorka i zarazem autorka Cat Johnston, w monologu „Dear Wendy" przedstawiająca walkę bohaterki o każdy oddech.

Organizatorzy Krakow Fest zrobili pierwszy krok w stronę budowy w Krakowie ośrodka międzynarodowej wymiany teatru jednoosobowego. Nie od razu jednak Kraków zbudowano – czy taki ośrodek rzeczywiście powstanie, czas pokaże. To ważne nie tylko dla higieny i rozwoju gatunku, ale także dla widzów śledzących twórczość teatralnych samotników.

Tomasz Miłkowski

Mirosław Baka z Nagrodą im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego



Laureat Nagrody Boya Mirosław Baka oraz Alina Kietrys i Tomasz Miłkowski.



To już 51. laureat Nagrody Boya, przyznawanej od 70 lat przez polską sekcję Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych/Klub Krytyki Teatralnej SDRP za wybitne osiągnięcia w dziedzinie teatru. Jej pierwszym laureatem został w 1957 r. Kazimierz Dejmek za odwilżowy spektakl „Święto Winkelrida", o czym przypomniał przewodniczący klubu Tomasz Miłkowski.

Podczas uroczystego spotkania w Domu Dziennikarza (25 maja) wnikliwą laudację wygłosiła Alina Kietrys, która później poprowadziła rozmowę z laureatem, utrzymaną w osobistym tonie. Mirosław Baka mówił o swojej pracy w teatrze i filmie, o nauce warsztatu, o bliskiej więzi z widzem oraz przyjaźniach łączących go z aktorami Teatru Wybrzeże.

Redaktor naczelny „Przeglądu" Jerzy Domański, gratulując laureatowi, nawiązał do twórczości Boya, która mimo upływu czasu wciąż jest tak żywa i gorąca. Choć Boy żył i tworzył w ciekawych czasach, dzisiaj pewnie zdumiałby się, spotykając na swojej drodze takie przeszkody jak niejeden polityk.

„Przegląd" składa Mirosławowi Bace serdeczne gratulacje.

(tm)

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl cc4bb0ecd4

NA EKRANACH

Faraon kontra faraon

Na Bliskim Wschodzie egipskie kino znają wszyscy. Jego fenomen sprawił, że egipski dialekt jest zrozumiały w każdym kraju arabskojęzycznym. Nic więc dziwnego, że ekranowemu prezydentowi Egiptu marzy się, by powstał o nim film, który pokaże go „zgodnie z prawdą", czyli jako wybitnego wodza, stratega, herosa. Zagrać ma go sam „faraon ekranu", uwielbiany przez tłumy George El-Nabawi (magnetyczny Fares Fares). George'owi wydaje się, że może wszystko, że powie tylko słowo, a świat zatrzęsie się w posadach. My w Polsce jednak wiemy, że co wolno wojewodzie,



to nie egipskiemu aktorowi, więc niespecjalnie nas zaskoczy, że na planie filmowym układ sił gwałtownie się zmienia. Reżyser Tarik Saleh dobitnie nam przypomina, że tam, gdzie politycy pchają się do naszego życia, nawet bożyszcza tłumu nie mogą czuć się pewnie. A że mówi o tym w konwencji thrillera, osaczenie bohatera, próba złamania i podporządkowania go wybrzmiewają donośnie i przejmująco, nawet jeśli momentami film gubi tempo.

Artur Zaborski

„Orły republiki", reż. Tarik Saleh, prod. Dania/Francja/Szwecja, w kinach od 5 czerwca

KURTYNA W GÓRĘ

Ojciec matka tunel strachu



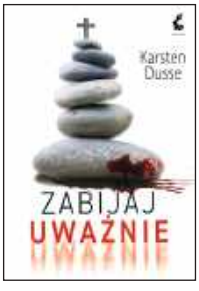
Po pięciu latach Paweł Demirski wraca do teatru, by opowiedzieć Hamletem o nieprzepracowanej żałobie po człowieku i po epoce.

Wyreżyserowane przez Remigiusza Brzyka przedstawienie jest długie, bo mieści wiele wątków z twórczości Demirskiego. Prócz żałoby po Ojcu, inżynierze pracującym przy budowie okrętów (zachwycający Zbigniew Kaleta), którego potransformacyjna Polska wyrzuciła za burtę, i skomplikowanej relacji z Matką (Małgorzata Gałkowska), która sama straciła w dzieciństwie ojca i dorastała w cieniu wojennych traum rodziców, również stratę pierwszej miłości, dojrzewanie, kryzys męskości, wreszcie rozczarowanie światem, teatrem, własnymi wyborami. Tłem są przemiany ustrojowe roku 1989 i rozczarowanie ich owocami, konsumowanymi przez wąską grupę uprzywilejowanych kosztem milionów. Dostaje się też współczesnej kulturze terapii, która miała być lekiem na egzystencjalną pustkę, okazała się zaś hodującą egoistów religią późnego kapitalizmu. Dużo tego, chwilami za dużo. Są piękne i przejmujące sceny, jak wyśnione spotkanie z Ojcem, w którego pogubieniu i bezbronności na chwilę odnajduje siebie bohater, świetnie grany przez Kamila Pudlika, czy rozmowa z głęboko niezrozumianą Matką. Są znakomite role, także w drugim planie – Roman Gancarczyk jako Wujek Klaudiusz, bogaty badylarz, Przemysław Przestrzelski jako Rozenkranz, kumpel z osiedla, komentujący akcję sceniczną rapowymi wersami. Są dowcipne kostiumy Mariki Wojciechowskiej. Ale są w nim też niestety oczywistości i dłużyzny.

Michał Centkowski

Paweł Demirski, „Mam coś w głębi nie do przedstawienia. HAMLET", reżyseria Remigiusz Brzyk, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, premiera 23 maja 2026

MIĘDZY OKŁADKAMI



Karsten Dusse
Zabijaj uważnie

tłum. Mateusz Borowski
Sonia Draga, Katowice 2026

Macie poczucie, że praca pożera wam życie prywatne? Ciało reaguje bólem na stres? Do tego kłótnie w związku? Być może potrzebujecie treningu uważności. Jego skuteczność demonstruje nam adwokat śmieciowego klienta pewnej szacownej kancelarii, czyli mafiosa. Nie żaden tam consigliere, to inne kręgi kulturowe, po prostu facet, który za dobre pieniądze ma wyciągać brutalnego bandziora z każdego łajna, w które ten był łaskaw się wpakować. Osiągnięcie work-life balance w tym przypadku będzie trudne, ale motywuje miłość ojcowska. Tę bohater wymyślony przez niemieckiego pisarza traktuje śmiertelnie poważnie. Egzemplifikacja zasad mindfulness jest tu dość makabryczna, za to czarny humor w niezłym gatunku. Piętrzą się absurdalne sytuacje – np. najlepszą łapówką okazuje się miejsce w przedszkolu. Oczywiście to pierwszy tom, bo przejęte niechcący mafijne imperium będzie wymagało wiele uważności.

Aleksandra Pańko

WYDARZENIE

72. OKFA Ogólnopolski Konkurs Filmów Niezależnych

Konin, 4-7 czerwca

Cztery dni potrwa w Koninie najstarszy w Polsce festiwal kina niezależnego, offowego i amatorskiego. Jego tradycja sięga 1953 r. Tu właśnie można spotkać wybitnych młodych filmowców, tu debiutowali m.in. Krzysztof Zanussi, Paweł Maślona czy Piotr Domalewski. 56 najlepszych filmów krótkometrażowych z całej Polski oceni jury zawodowe i jury młodzieżowe. Na chętnych czekają warsztat scenariopisarski i pokazy specjalne oraz spotkania z Marianem Dziędzielem i Anką Sasnal, „Has na nowo" – wystawa plakatów Andrzeja Pągowskiego, Artur Żmijewski i ballady Leonarda Cohena. Szczegóły: **okfa.ckis.konin.pl.**

(bdo)



Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. HAWA, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl cc4bb0ecd4



Nagroda Główna – Andrzej Czyczyło „Dwa plemiona" („Czas na Opole")



Nagroda Honorowa – Rafał Skwierawski „Weto" („Polityka")

VIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS NA RYSUNEK
im. Aleksandra Wołosa rozstrzygnięty!

Nagroda Specjalna – Grzegorz Bąkowski „Zarzucili mi defraudację" („Przegląd")



MUZEUM KARYKATURY

Muzeum Karykatury w Warszawie ogłosiło laureatów konkursu na najlepszy rysunek prasowy. W tym roku Nagrodę Główną im. Aleksandra Wołosa otrzymał Andrzej Czyczyło za pracę „Dwa plemiona" („Czas na Opole"). Nagrody Specjalne przyznano wieloletniemu współpracownikowi „Przeglądu" Grzegorzowi Bąkowskiemu za pracę „Zarzucili mi defraudację" oraz Monice Wyłodze za pracę „Suitcase" (Facebook). Nagrodę dla mecenasa rysunku prasowego w Polsce otrzymał tygodnik „Angora".

eprasa.pl cc4bb0ecd4





Nagroda Honorowa – Mirosław Stankiewicz „Jazda bez trzymanki" („Angora")

PRASOWY

Nagroda Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury – Maciej Maćkowiak „Cyja to rakieta" (Facebook)





Nagroda Redaktora Naczelnego Bez Wierszówki – Magdalena Wosik „The latest fake NEWS, sir!" (Facebook)

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Hierarchia zapisana na czole

U pukeko status społeczny widać gołym okiem

Joan E. Strassmann



Fascynujący i dobrze zbadany ptak gniazdujący wspólnotowo żyje w Nowej Zelandii. Pukeko to podgatunek modrzyka ciemnego. Sama angielska nazwa – *swamphen*, czyli kurka bagienna – dobrze oddaje ich naturę: z wyglądu przypominają dalekich przodków kury, chodzących na długich, „kurzych" nogach. Pukeko należą do rodziny chruścieli (*Rallidae*), blisko spokrewnionej z kurakami (*Phasianidae*). Tak jak inne chruściele, nie mają błon pławnych, choć większość życia spędzają w pobliżu wody. Ich nogi mają barwę różową lub czerwoną, a między oczami ciągnie się mięsista, czerwona „tarczka". Upierzenie na grzbiecie i skrzydłach jest brązowo-czarne, podczas gdy pierś i szyja błyszczą głębokim granatem (…). Pod ogonem widać czyste, białe pióra. (…)

Pukeko żyją w grupach złożonych z kilku samców i jednej lub dwóch samic. Jak u innych gatunków rozmnażających się wspólnotowo, samice składają jaja do jednego gniazda, a następnie razem z samcami zajmują się młodymi. Różnica polega jednak na tym, że – w przeciwieństwie do kleszczojadów, gdzie każda samica ma swojego partnera – u pukeko panuje zupełna swoboda: wszyscy kojarzą się ze wszystkimi. I to dosłownie. Samice od czasu do czasu kopulują z innymi samicami, a samce – z samcami. (…)

Podobnie jak u kleszczojadów, pisklęta pukeko nie wykluwają się jednocześnie. Inkubacja rozpoczyna się przed złożeniem ostatnich jaj, przez co pierwsze wyklute pisklęta rosną i jedzą, zanim późniejsze w ogóle się wyklują. Te wcześniejsze często pochodzą z jaj samicy dominującej. Ta przewaga ma kontynuację – te pisklęta dorastają szybciej i częściej same stają się dominujące w swoich grupach. Późniejsze jaja często w ogóle się nie wykluwają. Asynchronia znoszenia jest częstsza, gdy w grupie jest więcej niż jedna składająca samica.

Można by zapytać, dlaczego w ogóle toleruje się obecność „podrzędnych" samic. Okazuje się, że samce spędzają więcej czasu na wysiadywaniu, gdy jaj jest więcej, a mogą nawet porzucić gniazdo, jeśli jest ich niewiele. Czy powinno dziwić, że samiec porzuca małe gniazdo? Robi to tylko wtedy, gdy ma lepsze możliwości. Poza tym mniejsze gniazda oznaczają nie tylko mniej potomstwa – są też gorzej chronione. Pukeko są silnie terytorialne, a większe grupy skuteczniej bronią swoich granic.

Terytoria mają kluczowe znaczenie dla sukcesu pukeko, ponieważ młode opuszczają gniazdo bardzo wcześnie (zaledwie kilka dni po wykluciu), choć wciąż całkowicie zależą od dorosłych. Ci prowadzą je w mniejszych podgrupach do tymczasowych, gniazdopodobnych schronień. Podział na takie podgrupy zmniejsza ryzyko, że drapieżnik je znajdzie i pożre całe potomstwo naraz.

Jak u wielu gatunków społecznych, pukeko mają „odznaki dominacji" – cechy wizualne sygnalizujące rangę i ułatwiające rozwiązywanie konfliktów. W ich przypadku jest to tarczka czołowa – jaskrawoczerwony, mięsisty twór rozciągający się od dzioba po przestrzeń między oczami. Jej wielkość bezpośrednio odzwierciedla pozycję w hierarchii. Cody Dey wraz z zespołem postanowił sprawdzić to eksperymentalnie, manipulując wielkością tarczki w sezonie lęgowym w Tāwharanui Open Sanctuary w Nowej Zelandii. Nie skrzywdzili przy tym żadnego ptaka – po prostu pomalowali czarną farbą brzegi tarczki, tak by zlewała się z piórami i wydawała mniejsza. W grupie kontrolnej krawędzie malowano na czerwono, w naturalnym dla nich odcieniu, by upewnić się, że to nie sam zabieg powoduje zmianę zachowania. Po tygodniu ptaki ponownie złapano i zmierzono tarczki – farba w większości się starła.

Zgodnie z przewidywaniami ptaki z większymi tarczkami były wyżej w hierarchii. Te, którym „wizualnie" zmniejszono tarczkę, częściej padały ofiarą ataków, wyzwań i demonstracji ze strony innych członków grupy, polegających na unoszeniu skrzydła w górę. Co zaskakujące, na koniec badania okazało się, że u ptaków, którym tarczki pomniejszono optycznie, faktycznie się one fizjologicznie skurczyły. Najwyraźniej reagowały na sygnały społeczne i zmianę swojego statusu w grupie. Hierarchie ułatwiają pukeko zajęcie się trudną sztuką wspólnotowego rozrodu, zamiast stale walczyć.



Fragmenty książki Joan E. Strassmann *Społeczne życie ptaków*, tłum. Szymon Drobniak, Copernicus Center Press, Kraków 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Ważni i nieważni

Jak ta maszyna działa? To pierwsze pytanie, które zadaje sobie nowy ambasador po przybyciu na placówkę. Chce wiedzieć, jak funkcjonuje MSZ i rząd, jaki jest proces decyzyjny, do kogo z daną sprawą trzeba się udać.

Teoretycznie powinny mu w tym pomagać różne organigramy, które pokazują, kto za co odpowiada. Ale to tylko teoria. Zresztą coraz mocniej podważana. Oto przykład, o którym najgłośniej – amerykański Departament Stanu. Marco Rubio rozpoczął w nim rewolucję, wiadomo – dominują tu urzędnicy o poglądach demokratycznych. No i co mamy? Z informacji Agencji Reutera możemy się dowiedzieć, że 109 ze 195 stanowisk ambasadorów USA na świecie jest obecnie nieobsadzonych. A z tych 86 mianowanych ambasadorów tylko 9% to dyplomaci zawodowi. Resztę stanowią polityczni nominaci – albo darczyńcy kampanii, albo przez nich wskazani. Tak jak Tom Rose, który – jak sam powiedział – nominację zawdzięcza wstawiennictwu miliarderki Miriam Adelson, wdowie po magnacie kasynowym z Las Vegas Sheldonie Adelsonie, należącej do największych darczyńców Partii Republikańskiej.

Wiadomo, w USA prezydenci wysyłają na stanowiska ambasadorów różne zasłużone osoby, w nagrodę. Ale do tej pory amatorom przydzielano mniej znaczące placówki. Teraz – przeciwnie, amatorami, i to już sprawiającymi wielkie kłopoty swoimi wypowiedziami, są ambasadorzy we Francji i w Izraelu. Nie można tego samego powiedzieć o ambasadorach w Moskwie i Kijowie, bo… ich nie ma. Tam placówkami kierują chargé d'affaires.

To pokazuje, że tradycyjne kanały dyplomatyczne w USA już nie funkcjonują, że decydują tzw. dojścia. Sprawy załatwia się poprzez Jareda Kushnera, zięcia prezydenta Trumpa, albo poprzez szefową personelu Białego Domu. Albo, tak było w przypadku amerykańskiej wizy dla Zbigniewa Ziobry, poprzez Christophera Landaua, zastępcę sekretarza stanu. To na jego polecenie Ziobro dostał wizę. I nie ma co się dziwić, bo to gorący zwolennik ruchu MAGA i przeciwnik Unii Europejskiej. Który twierdzi, że państwa unijne „prowadzą działania szkodliwe dla interesów USA", więc „nie możemy udawać, że jesteśmy partnerami".

Na tym tle Polska jawi się wręcz wspaniale. Wprawdzie też nie ma ambasadorów w połowie placówek, ale chargé d'affaires kierujący nimi to zawodowcy, często z najwyższej półki.

Trochę inaczej wygląda natomiast kwestia funkcjonowania naszego MSZ, bo nie wszystko wygląda tam jak w organigramie. Radosław Sikorski nie jest przywiązany do biurokratycznych reguł, lubi też iść na skróty. Najlepszy przykład to Biuro Ministra. Teoretycznie miało być ciałem do bieżącej obsługi ministra, a okazało się, że stoi ponad departamentami.

Tak było przecież za czasów dyrektora biura, Cezarego Króla, który funkcjonował w MSZ jako wolny elektron, załatwiając sprawy dla ministra. Ponieważ znał w MSZ każdego, zwracał się bezpośrednio do osób, których wiedzy lub opracowań potrzebował, i w ten sposób działał. Skutecznie, minister był zadowolony, reszta jakby mniej.

Tak to jest w naszym MSZ, że nie tytuł, ale różne nieformalne układy decydują. Tę prawdę potwierdzają nawet niektórzy wiceministrowie, ważni tylko z nazwy. Ale to już inna opowieść.

Attaché

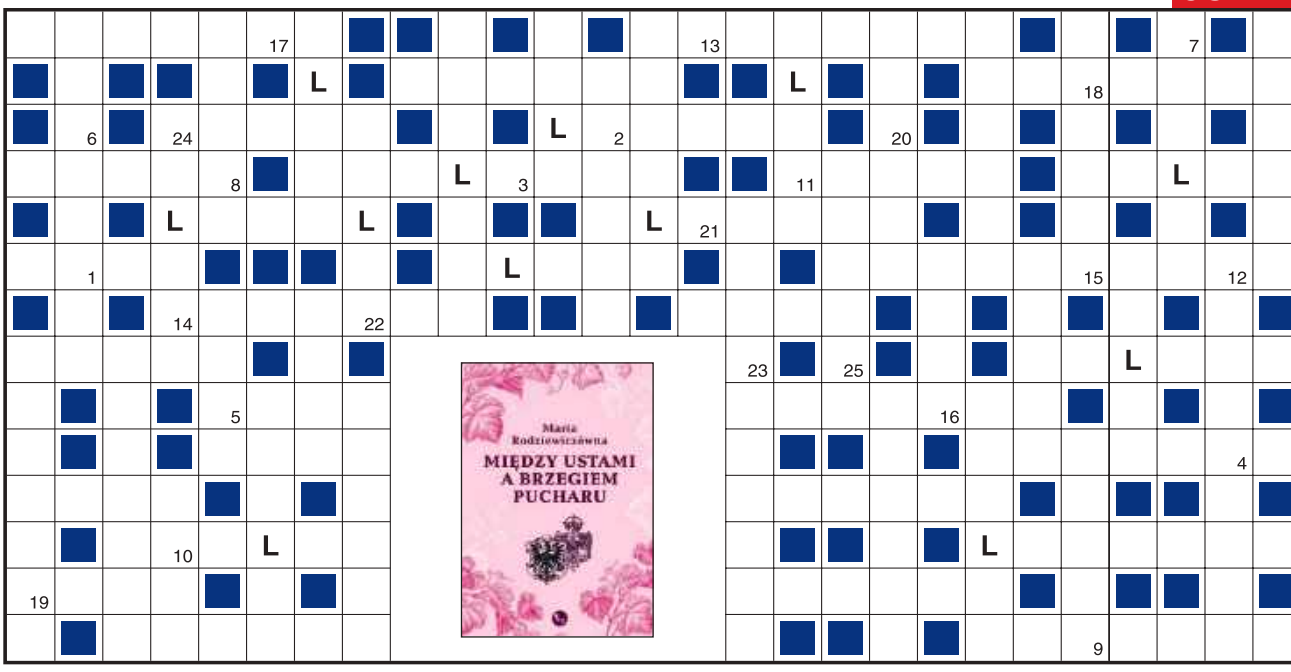


Żarliwe serce kibica Arsenalu? W takim stroju burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani uczestniczył na Bronksie w modlitwie z okazji Święta Ofiarowania, Id al-Adha. 27 maja 2026 r.

FOT. AP PHOTO/ EAST NEWS

eprasa.pl cc4bb0ecd4

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- minerał o działaniu ściągającym i aseptycznym
- nad nim Chabarowsk
- sznur do ściągania wroga z siodła
- czarodziejka z eposu Tassa i opery Lully'ego
- narzędzie do odkręcania kasety rowerowej
- przechowalnia toreb podróżnych
- błotnisty, zarośnięty staw
- oklepane zdanie
- aktor Opania lub żużlowiec Zmarzlik
- bliższa mu koszula
- budząca śmiech nietypowość, dziwaczność
- dodatek do kawy zbożowej
- do szarlotki, piernika, słodkich bułeczek
- …szczęścia – zawsze mu się powodzi
- gaz przyśpieszający dojrzewanie owoców
- zbity materiał na kapelusze, berety
- zachowuje się ordynarnie
- składnik ciężkich gleb lub policjant potocznie
- poręczyciel
- pokrywa skocznie narciarskie latem
- wynik mnożenia
- pracownik administracji od spraw gospodarczych
- tytułowa rola Veróniki Forqué u Almodóvara
- dzwonowaty krój spódnicy
- popęd seksualny
- mieszkanie lub inne pomieszczenie użytkowe
- pustak szklany
- pośredniczy w transakcjach giełdowych
- państwo ze stolicą w Lilongwe
- Długi w nazwie chińskiej rakiety
- kąpielisko nad Bałtykiem i jeziorem Jamno
- tytułowa bohaterka Zoli
- uparty intruz
- oznaczona na mapie kolorem zielonym
- ziemno-wodne gryzonie, których hodowli zakazano
- toczące się sejmowe, kongresu, jury
- uderzyć na niego – z gwałtownym zamachem w poziomie
- brzozowate drzewo siedlisk wilgotnych
- …na lampę to abażur
- cała, naga lub święta
- sprawozdanie składane przełożonemu
- w nim wyzwalana energia jądrowa
- imię piosenkarki Pisarek
- rozwijana do zasłaniania
- miasto z zabytkową kopalnią Ignacy
- wczytany obraz
- o żabi… – bardzo blisko
- skrzeczące, czarno-białe ptaki
- masowego przekazu lub finansowe
- zestawienie z rubrykami
- miejsce handlu starociami, byle czym
- uczucie, które wywołuje rozłąka
- maszyna do przecierania kłód
- klub sportowy z Oświęcimia
- tkanina podobna do aksamitu
- fragment wkomponowany w większą całość
- oddzielony od morza mierzeją
- mechanizm do znikania ze sceny
- pomieszczenie gospodarcze w sklepie
- spec stawiający kaflowy piec
- najwyższy stopień w marynarce handlowej to kapitan …wielkiej
- ptak lub dźwig

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

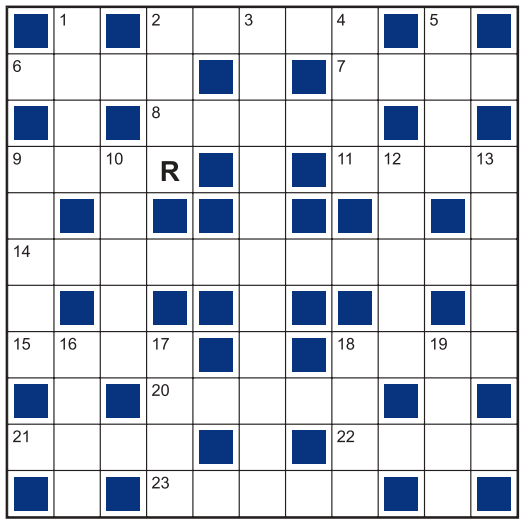
Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1276". Do rozlosowania książki „Między ustami a brzegiem pucharu" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 czerwca 2026 r.

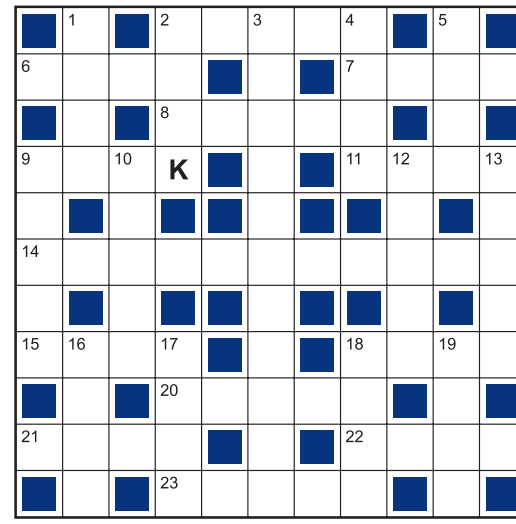
Rozwiązanie „JOLKI-1273" z nr. 20: *Zapytać zawsze można.*
Nagrody otrzymują: Łukasz Dziekuć-Malej z Gdańska, Andrzej Sokolnicki z Głogowa, Halina Zuchowska z Sanoka.

eprasa.pl cc4bb0ecd4

ALBO-ALBO

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.





Poziomo:
2) Grek walczący pod Trają ■ skamandryta Julian
6) …Dammera, krzew z różowatych ■ jednostka masy, mała ilość
7) smakuje nim ouzo ■ część Warszawy z Narodowym Instytutem Kardiologii
8) elegancik, goguś ■ wielka ilość, wielki zasięg, rozmiar
9) polski pies gończy ■ szał i żądza mordu
11) 78% powietrza ■ o doświadczonym i przebiegłym
14) poniżenie, zniewaga ■ świetlówka
15) Titanic lub Endeavour na dnie ■ kraj z Bagdadem
18) pakt, w którym Trump sieje ferment ■ plama na honorze, obraza
20) botaniczny lub powieściowy tajemniczy ■ na nich transportowany ranny
21) żartobliwie o skocznym tańcu ■ klocki z Danii
22) schodki na statek ■ błagała jajko, by było głupsze
23) za jego biegun uchodzą Suwałki ■ żubrowa, cytrynowa lub pampasowa

Pionowo:
1) smykałka, zdolności ■ płynie do Ystad
2) biały puder do pielęgnacji skóry ■ rzymski Eros
3) grafik, plan pracy ■ dmie w róg w orkiestrze
4) Smocza lub Michalika w Krakowie ■ lek do smarowania
5) kusa spódnica ■ z niego mąka i wódka
9) oznaka choroby ■ …Kalinowskiego, gryzoń z Peru
10) solidne wsparcie jak skaliste podłoże ■ główna tętnica
12) turban ■ nie chciała Niemca
13) koncertowa zespołu ■ motto życiowe, wyznawane zasady
16) czepia się psiego ogona ■ wczuwa się, kto stawia się w czyjejś
17) folder z plikami do usunięcia ■ kopci w świecy
18) sieć zastawna jak pionowa zapora ■ z kurczaka lub żabie
19) senne widzenie, upiór ■ płynny tłuszcz z ryb

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

							4	
		4	3				7	6
	8				1			9
3	1		8	2				5
6	5							2
4		2	6		3	8		7
2			5		6			
8	7	9		3		6		
1	6		9				2	

ŚREDNIE

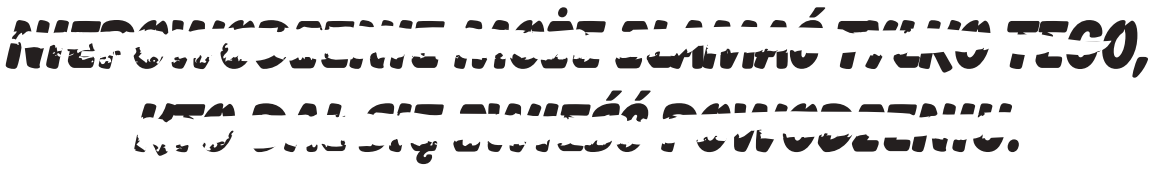
	1			6		2		
2	6	8				9	3	
4		5				1		
					2			
	9	6	1		5			
			4			7	5	
5			6	8				2
	8	3		4			7	
1					7	8	6	

TRUDNE

6							9	
	1			8				5
5		8		9				1
	7		5					
				2	6			9
				1	9	6	7	
			2		3			
	5					1	2	
3		2	8		1	5		

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl, której autorem jest Seneka.



Rozwiązania na s. 65

eprasa.pl cc4bb0ecd4







PENETRACJE

ADAM MICHNIK,
REDAKTOR NACZELNY „GAZETY WYBORCZEJ”

Czy Jaruzelski miał rację, wprowadzając stan wojenny?

– Uważam, że to była grecka tragedia. Każdy był skazany na odgrywanie swojej roli. Jaruzelski ze swojego punktu widzenia miał rację. Ci, którzy patrzyli na Polskę z boku, ale chcieli dla Polski dobrze, w gruncie rzeczy aprobowali stan wojenny. Ale byli też tacy ludzie, którzy tego zaaprobować nie mogli w imię tego, co po stanie wojennym. I ja do nich należałem. Zawsze mówiłem tak: wywodzę się ze środowiska i z pokolenia, które nigdy tego nie zaaprobuje. Ale staram się zrozumieć. To zresztą mi bardzo ułatwiało później moje kontakty z Jaruzelskim. Spotykaliśmy się często, chodziliśmy do knajpy. I wydaje mi się, że go rozumiałem. Moim zdaniem on się zachował z niezwykłą lojalnością w stosunku do wolnej Polski. On nie szkodził, tylko pomagał, gdzie mógł, tam pomagał. W tym sensie to była odwrotność Nawrockiego, który tylko szkodzi.

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA,
MARSZAŁEK SENATU

Nie jestem łagodna. Po prostu nie jestem chamska i agresywna. Jeśli jestem w stu procentach przekonana do swoich racji, nie ustępuję, nie rezygnuję i nie poddaję się. Uważam jednak, że stanowczość jest czymś zupełnie innym niż agresja, której dzisiaj tak dużo w życiu publicznym. W mojej ocenie obrażanie kogoś nie spowoduje, że poczuję się silniejsza, ani nie przekonam go do swoich racji. To raczej objaw słabości, kiedy nie ma argumentów. Wszystko można powiedzieć w kulturalny sposób, a siła to nie pokazywanie pazurów i brutalności. Wracając do moich pradziadków… to nie ich zasługa, że poświęciłam się polityce, ale moją zasługą będzie, jeśli nie przyniosę ich nazwisku wstydu. Dostałam kapitał, którego nie mogę zmarnować.

DANUTA STOLAREK,
RUSYCYSTKA

Dużą grupę więźniarek w stalinowskich obozach w Kazachstanie stanowiły żony, matki i najbliższe krewne osób powszechnie znanych i pełniących najwyższe stanowiska w państwie. (…) Najczęściej była to tzw. gwardia leninowska, ale też ludzie, którzy awansowali za czasów Stalina. Mieli nie zapominać, komu zawdzięczają karierę, która z kaprysu wodza skończy się w najlepszym przypadku więzieniem. Do najgłośniejszych nazwisk należały żony W. Mołotowa, M. Kalinina, A. Poskriobyszewa. Żona M. Tuchaczewskiego Jewdokija Goriewa w obozie spędziła osiem lat, w tym czasie przesłuchiwano ją 216 razy i zmuszano do przyznania się do szpiegostwa na rzecz Polski, pozbawiano racji żywnościowych. Kiedy nie osiągnięto efektu – została rozstrzelana. Los zesłańców nie ominął dwu sióstr i bratowych oraz córki marszałka.

BARTEK ZIEMSKI,
HIMALAISTA

Miałem wykupione pozwolenie na Everest, więc zdecydowałem się na kolejny atak. 19 maja zdobyłem najwyższą górę świata i zjechałem z niej na nartach. Na wszystkie ośmiotysięczniki trzeba wykupić pozwolenie. Ceny są uzależnione od wysokości. Everest jest wyjątkowy, specjalny, więc bardzo drogi. Podstawowa cena to 15 tys. dol., ale dochodzi zgoda na zjazd na nartach – 2 tys. dol. Jeszcze tzw. koszt oficera łącznikowego, kogoś, kto siedzi w bazie i pilnuje, czy wszystko jest w porządku – kolejne 3 tys. dol. plus inne koszty. Everest jest oblegany, największym dla mnie problemem było, by go zdobyć i zjechać na nartach nie w tłumie ludzi. (…) Miałem sporo szczęścia, w czasie ataku szczytowego spotkałem zaledwie garstkę ludzi, ale jak zjeżdżałem, to widziałem już przerażający tłum ludzi idący na Przełęcz Południową. Super, że z tej przełęczy zjeżdżałem inną drogą.

FOT. AMEM (3)

eprasa.pl cc4bb0ecd4

ROZWIĄZANIA

■	D	■	A	C	H	A	J	■	Ż	■
G	R	A	M	■	A	■	A	N	Y	Ż
■	Y	■	O	G	R	O	M	■	T	■
O	G	A	R	■	M	■	A	Z	O	T
B	■	O	■	■	O	■	■	A	■	R
J	A	R	Z	E	N	I	Ó	W	K	A
A	■	T	■	■	O	■	■	Ó	■	S
W	R	A	K	■	G	■	U	J	M	A
■	O	■	O	G	R	Ó	D	■	A	■
P	L	Ą	S	■	A	■	K	U	R	A
■	A	■	Z	I	M	N	O	■	A	■

■	P	■	T	U	W	I	M	■	M	■
I	R	G	A	■	A	■	A	N	I	N
■	O	■	L	A	L	U	Ś	■	N	■
A	M	O	K	■	T	■	Ć	W	I	K
G	■	P	■	■	O	■	■	A	■	R
U	P	O	K	O	R	Z	E	N	I	E
T	■	K	■	■	N	■	■	D	■	D
I	R	A	K	■	I	■	N	A	T	O
■	Z	■	N	O	S	Z	E	■	R	■
L	E	G	O	■	T	■	T	R	A	P
■	P	■	T	R	A	W	A	■	N	■

ŁATWE

9	3	1	7	6	5	2	4	8
5	2	4	3	9	8	1	7	6
7	8	6	2	4	1	5	3	9
3	1	7	8	2	9	4	6	5
6	5	8	4	1	7	3	9	2
4	9	2	6	5	3	8	1	7
2	4	3	5	7	6	9	8	1
8	7	9	1	3	2	6	5	4
1	6	5	9	8	4	7	2	3

ŚREDNIE

9	1	7	3	6	8	2	4	5
2	6	8	5	1	4	9	3	7
4	3	5	7	2	9	1	8	6
7	5	4	8	3	2	6	9	1
8	9	6	1	7	5	3	2	4
3	2	1	4	9	6	7	5	8
5	7	9	6	8	3	4	1	2
6	8	3	2	4	1	5	7	9
1	4	2	9	5	7	8	6	3

TRUDNE

6	2	4	1	3	5	7	9	8
7	1	9	6	8	2	4	3	5
5	3	8	4	9	7	2	6	1
9	7	6	5	4	8	3	1	2
1	4	3	7	2	6	8	5	9
2	8	5	3	1	9	6	7	4
4	6	1	2	5	3	9	8	7
8	5	7	9	6	4	1	2	3
3	9	2	8	7	1	5	4	6

NIEPOWODZENIE MOŻE ZŁAMAĆ TYLKO TEGO,
KTO DAŁ SIĘ ZWIEŚĆ POWODZENIU.



Aby język giętki…

PÉTER MAGYAR O ROSYJSKIM GAZIE

Sądzę, że kiedy wojna się zakończy, cała Unia Europejska powróci do zakupu rosyjskiego gazu, bo jest on tańszy.

RAFAŁ KALUKIN O IPN

W pozostawionym przez Nawrockiego folwarku nic nie działa jak należy.

PROF. WŁODZIMIERZ ANIOŁ O POPULIZMIE

Nie przesadzałbym z odpornością Polaków na populistyczne uwodzenie.

WOJCIECH SZOT O OLDZE TOKARCZUK

Jest mi przykro, że ktoś, kto pozycjonuje się jako autorytet w sprawach nie tylko literackich, tak bezrefleksyjnie mówi o AI, największym w historii zagrożeniu dla twórczości.

JAROSŁAW KUŹNIAR O ZWOLNIENIACH

Zapowiedź zwolnienia 12% załogi RASP (Onet, „Newsweek", „Forbes", „Fakt") brzmi boleśnie.

MARTA MANOWSKA
O ŻYCIU NA EMERYTURZE

Za 18 lat zamierzam jeździć, podróżować, zbliżać się do ludzi i uprawiać seks.

AGATA KULESZA
O MECHANIZMIE OBRONNYM

Trudno mnie dotknąć, wyprowadzić z równowagi, zranić, ale równocześnie nie jest łatwo do mnie się zbliżyć.

ANNA SENIUK O SZCZĘŚCIU

Jest kometą, chwilą, błyskiem, który trzeba zauważyć i zapamiętać.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl cc4bb0ecd4

Obrazy ludzkiej natury


Royale


Ruffled

Centralnym motywem twórczości Dominika Jasińskiego jest ludzkie ciało – nośnik doświadczeń, symboli i emocji. Intensywna kolorystyka, ekspresyjna linia oraz bogata ornamentyka nawiązują do estetyki secesji i Młodej Polski. Wizerunki balansujące pomiędzy pięknem a deformacją, delikatnością a siłą są jednocześnie współczesnym komentarzem do kondycji człowieka. Wystawa „Obrazy ludzkiej natury / Framing Human Nature" jest refleksją nad tożsamością, emocjonalnością i relacjami między tym, co zewnętrzne, a tym, co ukryte.

V.A. Gallery Poland
Poznań-Wysogotowo, ul. Wierzbowa 162
do 21 czerwca


Maybe


Q1 Breeze

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cc4bb0ecd4

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA

Capitalne LATO

Gramy przez całe wakacje!

- kultowe komedie w gwiazdorskiej obsadzie
- bogata oferta spektakli dla dzieci i młodzieży
- komfortowe, klimatyzowane sale teatralne
- orzeźwiające koktajle i letnie drinki



KUP BILET

www.teatrcapitol.pl

T·E·A·T·R CAPITOL E·V·E·N·T·S

ZRÓB Z NAMI EVENT!

FOKSAL 11 BY TEATR CAPITOL TO MIEJSCE STWORZONE DLA NIEZAPOMNIANYCH SPOTKAŃ I PRESTIŻOWYCH WYDARZEŃ



- **DOSKONAŁA LOKALIZACJA**
  W SAMYM SERCU WARSZAWY
- **SPEKTAKLE I SHOW NA WYŁĄCZNOŚĆ**
  UNIKALNE DOŚWIADCZENIA DLA TWOICH GOŚCI
- **SPEKTAKULARNE GALE I KONFERENCJE**
  WYDARZENIA, KTÓRE ROBIĄ WRAŻENIE
- **ELEGANCKIE IMPREZY FIRMOWE**
  SPOTKANIA W WYJĄTKOWEJ OPRAWIE

KONTAKT EVENTY@TEATRCAPITOL.PL / EVENTY@FOKSAL11.PL

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl cc4bb0ecd4

OSTATNIA CZĘŚĆ GŁOŚNEJ TRYLOGII

Gęsty od emocji thriller z FARESEM FARESEM w roli głównej



ORŁY REPUBLIKI

reżyseria TARIK SALEH

(MORDERSTWO W HOTELU HILTON, CHŁOPIEC Z NIEBIOS)

W KINACH OD 5 CZERWCA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA